

Dawid Krawczyk CYRK POLSKI



W serii ukazały się ostatnio:

Lene Wold *Honor. Opowieść ojca, który zabił własną córkę*

Wolfgang Bauer *Nocą drony są szczególnie głośne. Reportaże ze stref kryzysu*

Filip Skrońc *Nie róbcie mu krzywdy*

Maciej Czarnecki *Dzieci Norwegii. O państwie (nad)opiekuńczym* (wyd. 2)

Karolina Baca-Pogorzelska, Michał Potocki *Czarne złoto. Wojny o węgiel z Donbasu*

Maciej Wasielewski *Jutro przypłynie królowa* (wyd. 2)

Anna Sulińska *Wniebowzięte. O stewardesach w PRL-u* (wyd. 2)

Anna Sulińska *Olimpijki*

Wojciech Górecki, Bartosz Józefiak *Łódź. Miasto po przejściach*

Lidia Ostałowska *Farby wodne* (wyd. 2)

Albert Jawłowski *Miasto biesów. Czekać na powrót cara*

Peter Pomerantsev *Jądro dziwności. Nowa Rosja* (wyd. 2)

Ilona Wiśniewska *Hen. Na północy Norwegii* (wyd. 2)

Swietłana Aleksijewicz *Ostatni świadkowie. Utwory solowe na głos dziecięcy* (wyd. 2)

Patrick Radden Keefe *Cokolwiek powiesz, nic nie mów. Zbrodnia i pamięć w Irlandii Północnej*

Piotr Lipiński *Kroków siedem do końca. Ubecka operacja, która zniszczyła podziemie*

Karolina Przewrocka-Aderet *Polanim. Z Polski do Izraela* (wyd. 2 zmienione)

Katarzyna Surmiak-Domańska *Ku Klux Klan. Tu mieszka miłość* (wyd. 2 zmienione)

Ludwika Włodek *Gorsze dzieci Republiki. O Algierczykach we Francji*

Peter Robb *Sycylijski mrok* (wyd. 2)

Ojczyzna dobrej jakości. Reportaże z Białorusi, pod red. Małgorzaty Nocuń (wyd. 2)

Elizabeth Pisani *Indonezja itd. Studium nieprawdopodobnego narodu* (wyd. 2)

Barbara Seidler *Pamiętajcie, że byłem przeciw. Reportaże sądowe* (wyd. 2)

Tomasz Grzywaczewski *Wymazana granica. Śladami II Rzeczypospolitej*

Jacek Hołub *Żeby umarło przede mną. Opowieści matek niepełnosprawnych dzieci* (wyd. 2)

Piotr Lipiński *Cyrankiewicz. Wieczny premier* (wyd. 2)

Birger Amundsen *Harald. Czterdzieści lat na Spitsbergenie*

Swietłana Aleksijewicz *Cynkowi chłopcy* (wyd. 4)

Małgorzata Sidz *Kocie chrzciny. Lato i zima w Finlandii* (wyd. 2)

Ewa Stusińska *Miła robótka. Polskie świerszczyki, harlekiny i porno z satelity*

Marcelina Szumer-Brysz *Wróżąc z fusów. Reportaże z Turcji* (wyd. 2)

Andrzej Brzeziecki, Małgorzata Nocuń *Łukaszenka. Niedoszły car Rosji* (wyd. 2 zmienione)

W serii ukazały się m.in.:

Aleksandra Łojek *Belfast. 99 ścian pokoju* (wyd. 2 zmienione)

Peter Hessler *Pogrzebana. Życie, śmierć i rewolucja w Egipcie*

Dawid Krawczyk

Cyrk polski



Wołówiec 2021

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.



Projekt okładki Agnieszka Pasierska

Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Fotografia na okładce © by Dawid Żuchowicz / Agencja Gazeta

Copyright © by Dawid Krawczyk, 2021

Opieka redakcyjna Jakub Bożek

Redakcja Ewa Charitonow

Korekta Sabina Szczerbuk, Ewa Saska

Skład Agnieszka Fryszak / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8191-190-0

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.

czarne.com.pl

📍 Wydawnictwo Czarne

@ @wydawnictwoczarne

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:

ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa

tel. +48 22 621 10 48

Wołowiec 2021

Wydanie I

Spis treści

Seria

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Polska jest gdzie indziej

CZĘŚĆ I

Zabiorą! Zabiorą to, co myśmy dali!

To nie jest tak, że nie znam tych piosenek

Selfie na burzy mózgów

Wyleje? Tu zawsze wylewa, ale nie zawsze jest kampania

Wygrana na wyjeździe

CZĘŚĆ II

Przepowiednia pułkownika Leonarda

Wielki żółty kaczor

Zagłosuj na tajską boginię z Piły

Robię to dla Władka

Z władzą trzeba się znać

Prawnuczka

Czy chcemy być polskimi Polakami?

Zasługujemy na więcej

CZĘŚĆ III

Przykaz, żeby nie cieszyć się za bardzo

Pauza. Teraz poważnie

Niech żyje Polska! Niech żyje Andrzej Duda!

Chodź, tygrysie, scena jest twoja!

Czy z tym pincet plus da się coś zrobić?

CZĘŚĆ IV

W kagańce nas chcą poubierać

Samotne pożegnanie
Jest robota do zrobienia!
Ktoś lepszy niż ja
Normalni ludzie, mówili „dzień dobry”
Wychować syna w Polsce, po polsku, na Polaka
Oddaj mnie pan moją tutkę!
Żeby tylko się nie chcieli mścić!
Wiadomo, kto głosuje za granicą

Podziękowania

Przypisy

Polska jest gdzie indziej

W sobotni wieczór siedziba TVP przy Woronicza wygląda na opuszczoną. Szklana kosmiczna konstrukcja głównego budynku oświetlona, ruchome drzwi działają, ale w środku nie widać żywego ducha. Dopiero po chwili zza szerokiej recepcji wychyla się ochroniarz i przywołuje mnie ospałym ruchem dłoni. Nie pyta o nic, tylko wymownie unosi brwi i rozkłada ręce.

– Dobry wieczór, przyszedłem na nagranie programu *Studio Polska*, na widownię – tłumaczę się.

– To nie tu. – Rozsiada się w fotelu. – Budynek F. Wyjdzie pan, pójdzie za nasz budynek w prawo, przez parking, i będzie.

Jest. Od frontu kilku mężczyzn na papierosku. Rozświetlają ciemny parking płomieniem zapalniczki.

– Tak, *Studio Polska* to tutaj. Trzeba wejść, wypełnić formularz i poczekać.

W środku mam wrażenie, że znalazłem się nieproszony na czyjejs domówce. Wszyscy dobrze się znają. Jedni żartują sobie w grupkach, drudzy siedzą po kątach i coś szepcą.

– Siema!

Ktoś macha mi ręką przed twarzą.

– A nie widziałam cię tu jeszcze – mówi kobieta, trochę dziwnie pobudzona, ale nastawiona zdecydowanie przyjaźnie. – Ja tu sobie dzisiaj przysłałam towarzysko, bo ci powiem, że mam, kurwa, bana na wejście do studia już. Przypał jestem. Dwadzieścia trzy. Dwaaa-dziejsia-czy – powtarza bełkotliwie, bezwiednie zdradzając, że sobotnią zabawę zaczęła trochę wcześniej. – Dwadzieścia trzy razy byłam na widowni, ale robię za dużo dymu, to mnie już nie wpuszczają. Chuj z tym, mogę sobie teraz przynajmniej piwko dziabnąć! – śmieje się serdecznie.

O nic nie muszę prosić. Sama oferuje, że opowie mi, co się tutaj dzieje.

– Tam przy szatni siedzą opłaceni. Sześćdziesiąt zeta dostają za to, że przyjdą. Statyści. Z nikim nie gadają, nic ich nie obchodzi, tylko kasa. Tutaj są pokrzywdzeni przez wymiar sprawiedliwości. Komendant panią oszukał i ją z mieszkania wykwaterował czy coś. Ubezpieczalnia nie chciała wypłacić odszkodowania. Byli w sądzie, nic nie dostali. Stracone sprawy.

Tutaj młodzież od Korwina, tam komuniści i my, dobra zmiana. – Uderza się w pierś.

– Po kolei, spokojnie. Wszyscy muszą przejść przez bramkę do wykrywania metali. – Pół godziny przed startem zmęczeni ochroniarze przepuszczają nas jedno za drugim. – Nogi i ręce szeroko. Opróżnić kieszenie. Zapraszam do studia.

– No to siema! – żegna się Pani Przypał, którą ochroniarze odprowadzają do wyjścia.

Studio ustawione *à la* nieduży amfiteatr. Pośrodku scena, na której wystąpią prowadzący. Pierwszy rząd zarezerwowany dla gości: polityków, publicystów, zawodowych krzykaczy, góra dla publiczności. Siadam z brzegu, a zaraz obok mnie łysy grubawy facet. Ściska w dłoni plastikową teczkę na dokumenty. Dla bezpieczeństwa kładzie ją z dala ode mnie. Mości się chwilę, poprawia zmechacony sweterek, dociska krawat. Przyszyty wąs bierze między palec wskazujący i kciuk, rozciąga, wyrównuje. Patrzy na mnie z góry.

– A ty za kim jesteś? – pyta.

Wiem dobrze, że odpowiedź na to pytanie może być poprawna lub niepoprawna. Tak jak Legia czy Polonia, Wisła czy Cracovia, pis czy antypis. Ale i tak próbuję się wymigać:

– Nie, ja to tak poobserwować przyszedłem. Widziałem w internecie, że zapraszają do udziału w programie.

Nie przestaje patrzeć podejrzliwie. Marszczy brew, myśli, czy już chce dać mi spokój, czy jeszcze nie. Niestety.

– No czy za tym LGBT, czy przeciw? Bo ja sobie, na przykład, tego nie życzę. Wiesz, jak to działa? Teraz lekcje w szkołach, a jutro ja czy ty będziemy musieli przy ścianie chodzić, żeby nas nie... – Zamiast poszukać słowa, podskakuje dwa razy na siedzisku w kopulacyjnym ruchu.

– Aha, to nie wiedziałem – odpowiadam szczerze.

Na szczęście kłopotliwą wymianę zdań przerywają nam prowadzący, którzy wchodzą do studia. Magdalena Ogórek staje pośrodku, za chwilę dołącza do niej Jacek Łęski.

– No, jak się nam Ogóreczek dzisiaj wystroiła! Aż miło popatrzeć! – Mój tymczasowy sąsiad lustruje ją z góry na dół.

Podobają mu się zwłaszcza cieliste szpilki. Tak się rozochocił, że spocone dłonie musi wytrzeć o spodnie.

Przegląd tematów dzisiejszego show: Jarosław Kaczyński broni na spotkaniu wyborczym wolności w internecie. Geje obrażają papieża, bo 2 kwietnia, w rocznicę śmierci świętego Jana Pawła II, organizują spotkanie na temat: „Jeden partner przez całe życie czy co tydzień jeden?”. W Warszawie na posiedzenie rady miasta przychodzą rodzice, którzy uważają, że Światowa Organizacja Zdrowia zmusza ich dzieci do masturbacji; czoła stawia im ekipa wyposażona w tężowe flagi i Mateusza Kijowskiego. Posłanka pis-u zapowiada „strefy wolne od LGBT”. Trzaskowski oskarżony o jakieś lewe reklamy na autobusach w trakcie kampanii samorządowej. I wisienka na torcie: film z chłopakami jeżdżącymi na hulajnogach po pomniku smoleńskim.

– Myślę, że to kolejny dowód na to, że kampania do Parlamentu Europejskiego będzie wyraźnym starciem dwóch systemów wartości. Od nas zależy, który zwycięży – mówi Ogórek.

Za chwilę zaczyna się zabawa. Gość obok mnie klaszcze tym żywiej, im większy jest harmider. Za każdym razem kiedy pada słowo „gej”, podnosi się i krzyczy: „Pedał! Nie gej, he, he!”. Kilka siedzisk dalej wychudzony mężczyzna w za dużej marynarce podnosi obrazki ze świętymi i macha, polując na uwagę operatorów.

Ludzie, których Pani Przypał określiła jako pokrzywdzonych przez wymiar sprawiedliwości, siedzą zaraz pode mną. Szykują się do jakiejś akcji. Kiedy dyskusja tonie w powtarzanych jak mantra: „Ja panu nie przerywałem”, „Nie przerywaj” i „Zamknij ryj”, głos wreszcie dostaje publiczność.

– Mój partner był to po prostu jest gej. Ma większe prawa do mojego dziecka, mimo że jest karany prawomocnym wyrokiem. Dziecko ma chorobę sierocą i jest więzione – mówi ze łzami w oczach kobieta z burzą czarnych loków.

Kiedy kończy, na scenę wjeżdża starsza pani na wózku inwalidzkim.

– Trzy i pół roku temu oficer wojewódzkiej komendy policji w Łodzi włamał się dwukrotnie do mojego wiatogarażu. Wywiózł mój samochód. Policja była, ale nie zrobiła nic, bo to ich kolega. Po dwóch godzinach wróciłam tam o dwóch kulach łokciowych...

– Ta sprawa była już omawiana. Teraz chcemy zamknąć naszą rozmowę o pomnikach – wkracza Ogórek.

Babka na wózku się nie daje. Prowadząca robi kilka kroków w bok, ale kobieta od wiatogarażu łapie za uchwyty przy kołach i wjeżdża w nią ze

złością.

Przez cały program prezenterzy mieli temat gejów i lesbijek, którzy do spółki z prezydentem Trzaskowskim chcą deprawować dzieci.

– Koniec już z tymi gejami! Nikt nie chce o tym słuchać! – krzyczy w końcu wkurwiony facet spośród publiczności, zrywając się na równe nogi.

Dostaje brawa, ale to wszystko.

Ekipa pokrzywdzonych przez wymiar sprawiedliwości po raz ostatni próbuje przejąć program.

– Zrobili ze mnie inwalidkę! – woła kobieta na wózku.

– Proszę pani, nie udzieliłam pani głosu. Muszę krzyczeć, chociaż prosiłam, żebym nie musiała tego robić. Szanowna pani, otrzymała pani głos w naszym programie co najmniej sześć razy na przestrzeni historii *Studia Polska*! – wrzeszczy Ogórek.

Harmider wykorzystuje lider pokrzywdzonych i zaczyna przemawiać.

– Przygotowałem testament, bo straszy się mnie dzisiaj, że albo zostanę powieszony, albo mnie zabiją w wypadku. Ale ja się nie boję. Mam w dupie swoje życie! Mnie interesuje tylko byt mojego narodu! Proszę mnie zabić! – drze się na całe gardło pan Jerzy.

Jestem na tyle blisko, że widzę gotujące się na jego czerwonym czole krople potu.

* * *

Po raz pierwszy obejrzałem *Studio Polska* w marcu 2018 roku.

Późnym wieczorem mały telewizorek ustawiony na taborecie nie odbierał dobrze żadnego kanału. Na TVP Info śnieżyło akurat najmniej. Leżałem na rozklekotanym łóżku w nieotynkowanym budynku przy drodze do Białegostoku i przeżywałem swoją reporterską porażkę.

Przez cały dzień jeździłem od domu do domu, od plebanii do plebanii, zaglądałem do sklepów spożywczych i wystawałem na przystankach pekaesu w okolicach Kulesz Kościelnych, Starych Wnor, Sokół i Kobylina-Borzym. Pola po horyzont, kościoły z pomnikami księdza Popiełuszki i drewniane chałupy.

Kiedy PiS dochodził do władzy w 2015 roku, wygrywając najpierw wybory prezydenckie, a później zdobywając większość w parlamencie, to właśnie w podlaskich gminach mógł liczyć na rekordowe poparcie.

Dziewięciu na dziesięciu mieszkańców głosowało tutaj na partię Jarosława Kaczyńskiego.

Przyjechałem, bo chciałem się dowiedzieć, jak oceniają rządy dobrej zmiany i czy są zadowoleni ze swojego wyboru. Zmęczony już byłem publicystyką zalewającą gazety i portale. Im bardziej autorzy przekonywali, że oto odkrywają prawdziwą polityczną duszę Polek i Polaków, tym bardziej działało mi to na nerwy. Wyłącznie spekulacje, fantazje, wyobrażenia, wszystko pisane przy biurku. Trochę bezczelnie, a trochę naiwnie wierzyłem, że oto ja, reporter, udam się do matecznika partii władzy, zapytam: „Dlaczego Pis?”, i obwieszcze światu odpowiedź. Okazało się to dużo trudniejsze, niż się spodziewałem.

– Byli już tutaj z Polsatu. Starczy.

– Jak pan ciągle nie wiesz, dlaczego ludzie głosują na Pis, to nie mamy o czym gadać.

– Od kogo jesteś?

– Z Warszawy? To nie.

– Dla kogo to?

– O nie, z lewicowymi mediami nie gadam!

– A poszedł mi stąd!

Pod koniec dnia na dyktafonie miałem sporą kolekcję takich kilkosekundowych wypowiedzi. Do rozmowy nie udało mi się namówić nikogo.

Odpuściłem po zmierzchu, wsiadłem w furę. W głośnikach na drzwiach zagrał radiowy dzingiel – dziennikarz niskim głosem zapraszał właśnie jakieś mądre głowy do dyskusji o polaryzacji mediów, bańkach informacyjnych i o tym, że „nie potrafimy ze sobą rozmawiać”. Po całym dniu odbijania się od drzwi byłem przekonany, że akurat o polaryzacji wiem trochę więcej niż publicyści powołujący się na taksówkarskie mądrości.

Resztki energii spożytkowałem na walnięcie w guzik, który wyłączył to smętne pitolenie.

Samochód wypełniły ledwie słyszalne pomruki silnika, mrok na dobre rozlał się po podlaskich polach. Idealna sceneria, żeby zanurzyć się w poczuciu porażki, której właśnie doświadczałem. Cała robota psu w dupę. Zero materiału. Żeby od rana do wieczora nie namówić nikogo nawet na chwilę dłuższej rozmowy? Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło.

Kiedy pytali skąd i od kogo, odpowiadałem szczerze. Nie będę kłamać. Bo po pierwsze nieszczególnie potrafię, a po drugie mają prawo wiedzieć, z kim rozmawiają. Pracowałem wtedy na etacie w Krytyce Politycznej i zaczynałem współpracę z warszawską „Wyborczą”.

Walę się na wyro w pokoju wynajętym za trzy dychy – telewizor na taborecie i prysznic z plastikową zasłonką. Ciepła woda ma być dopiero z rana, zasięgu sieci brak, więc jedyna dostępna rozrywka to telewizja.

Wciskam guzik na pilocie obłożonym foliowym kondomem, wskakuje TVP Info. Do odbiornika najpierw dociera obraz. Nie słysząc dźwięku, ale już widzę na ekranie, że jest grubo. Zbliżenia na twarze targane emocjami, jak na barokowych malowidłach. Machanie łapami, szydercze śmiechy, wzajemne wygrażanie palcami. Nad skaczącymi sobie do gardeł ludźmi próbuje zapanować Magdalena Ogórek, rzucając srogie spojrzenia usadzonym wokół sceny.

W końcu głośniczki powstają z martwych i wydają z siebie chrypienie. Słyszę wyzwiska, obelgi, lżenie, odsądzanie oponentów od czci i wiary. W kulminacyjnym momencie oskarżenia o mordowanie dzieci.

W tamtym odcinku *Studia Polska* natrafiłem na dyskusję o czarnym proteście, feministycznych demonstracjach przeciwko zaostreniu prawa aborcyjnego. W studiu było jakieś trzydzieści osób – wkrótce potem dowiedziałem się, że przed telewizorami ponad sześćset tysięcy.

Tydzień w tydzień późnym sobotnim wieczorem ludzie siadają i słuchają przez półtorej godziny regularnego darcia ryja. Prowadzący chodzą od gościa do gościa, prowokują, a kiedy spośród wrzasku nie da się już nic wyłowić, teatralnie dyscyplinują rozgrzanych do czerwoności publicystów i polityków. Trochę Jerry Springer, trochę *Rozmowy w toku*, trochę zapasy w kisielu.

Do dzisiaj ciekawi mnie, ile osób, z tych, które nie chciały ze mną gadać tamtego dnia, odpaliło sobie wieczorem w zaciszu domowym *Studio Polska*. Jeżeli tak wyobrażały sobie media i rozmowę o polityce, w sumie nie ma co się dziwić, że mnie pogoniły.

Następnego dnia wróciłem zrezygnowany do Warszawy. Na jakiś czas odpuściłem sobie reportaż o wyborcach Prawa i Sprawiedliwości. Wtedy nie miałem pomysłu, jak namówić ich do politycznych zwierzeń.

Okazja nadarzyła się dopiero rok później. W maju 2019 roku miały się odbyć wybory do Parlamentu Europejskiego, w październiku do Sejmu i Senatu, a w maju 2020 roku wybory prezydenckie. Dwanaście miesięcy,

trzy kampanie. Takiego sezonu politycznego nie było od lat. Karuzela właśnie ruszała. Byłem pewien, że gdy się w końcu zatrzyma, będziemy jej mieć serdecznie dosyć.

Wiosną postanowiłem, że pojadę w trasę za wszystkimi ugrupowaniami, choć od samego początku nie zamierzałem przeznaczać na każde tyle samo czasu. Interesowało mnie przede wszystkim Prawo i Sprawiedliwość – żyjemy wszak w świecie fantazji, lęków i marzeń elektoratu PiS-u, niezależnie od tego, przy którym nazwisku stawiamy znak „X” na kartach wyborczych. Ostatecznie zdecydowałem, że każdej politycznej ekipie poświęcę przynajmniej rozdział w tej książce, ze wskazaniem na partię rządzącą i jej fanów.

Cel pozostał ten sam: dowiedzieć się bezpośrednio od wyborców, dlaczego głosują tak, jak głosują. Za co jednych polityków kochają, a drugih nienawidzą. Nie miałem żadnych ukrytych intencji, nikogo nie zamierzałem obsmarowywać, nikogo wybielać. Bo tak wyobrażam sobie dziennikarską robotę. Nawiasem mówiąc, dziennikarzy zaangażowanych, którzy na własne życzenie sprowadzili się do roli żołnierzy w politycznej wojnie, naoglądałem się wystarczająco po obu stronach barykady, również w trakcie pracy nad tą książką. Na szczęście nigdy nie znalazłem w sobie ambicji, żeby zasilić ich szeregi.

Kiedy na zdezelowanym telewizorku obejrzałem odcinek *Studia Polska*, zapragnąłem czegoś jeszcze: nie tylko poznać motywacje wyborców, ale i dowiedzieć się, czy mają one jakikolwiek związek z tym, co właśnie zobaczyłem. Jak ten cały polityczny cyrk wpływa na ludzi po drugiej stronie ekranu? Nie chodziło mi wyłącznie o sobotni program na TVP Info; to przecież niejedyne miejsce, w którym ludzie skaczą sobie do oczu podjudzani przez polityków. YouTube jest pełen fragmentów telewizyjnych widowisk, w których jeden polityk „masakruje” drugiego. Na Twitterze bluzgi leją się praktycznie bez przerwy. Niestety przywykliśmy, że publicyści potrafią zaangażować się w konflikt polityczny z większą gorliwością niż partyjni działacze i bez żenady wchodzić w rolę doradców jednej czy drugiej formacji na łamach swoich tygodników i gazet.

Znam zarówno dziennikarzy, jak i polityków, którzy żyją w przeświadczeniu, że pisząc cokolwiek w prasie czy w sieci, momentalnie wpływają na rzeczywistość. Wierzą, że jeśli podzielą się z odbiorcami jakąś „odkrywczą” refleksją, ci pójdą i zagłosują tak, jak życzy sobie redakcja

czy partia. Zawsze miałem problem z uwierzeniem w tak pojmowaną siłę mediów – i tradycyjnych, i społecznościowych.

Pewnie dlatego, kiedy wreszcie znalazłem się na widowni *Studia Polska* osobiście, daleki byłem od paniki. Skutecznie wyparłem myśl, że ta jatka może mieć aż tak ogromny wpływ na wybory. Po nagraniu programu siedziałem na stacji metra, od wrzasków bolał mnie łeb i czułem się tak, jakby przy uchu wybuchła mi petarda. W głowie dudniły mi wyłącznie słowa podnieconego faceta obok: „Pedał! Nie gej, he, he!”. Ale wciąż nie wierzyłem, że te setki tysięcy osób przed telewizorami są w stanie uznać dzieciaki skaczące na hulajnogach po pomniku smoleńskim za symbol „starcia dwóch systemów wartości”, do czego namawiała Ogórek. Pomysł „stref wolnych od LGBT” wydawał mi się wtedy jakimś marginalnym wariactwem. Tym bardziej nie sądziłem, że ktokolwiek poza prowadzącymi uwierzy, że geje dyskutują w Gdańsku o swoim życiu seksualnym akurat 2 kwietnia, żeby obrazić świętego Jana Pawła II.

Po ponad roku spędzonym na kampanijnych imprezach, konwencjach i piknikach wiem już, że się myliłem.

Pod koniec mojej podróży codziennie spotykałem ludzi, którzy uwierzyli nie tylko w to, że geje obrażają Matkę Boską i papieża Polaka, ale też że do spółki z lesbijkami, osobami biseksualnymi i trans chcą zmuszać czterolatki do masturbacji. Na wieczorze wyborczym kończącym kampanię prezydencką jakiś facet pokazał mi kij przygotowany „na tych LGBT” – na wypadek gdyby przegrał Andrzej Duda. Kiedy rozmawiałem z właścicielem owej broni, już kilkadziesiąt gmin w Polsce zdążyło podjąć uchwały, w których sprzeciwiały się „ideologii LGBT”.

Jak do tego doszło?

Nie stało się to z dnia na dzień. Zwłaszcza że pierwsze wyjazdy na kampanijne pikniki raczej utwierdzały mnie w przekonaniu, że troski wyborców nie mają wiele wspólnego z lękami podsycanymi przez polityków. Im jednak większa niepewność wkradała się do sztabu Prawa i Sprawiedliwości, tym więcej słychać było ze sceny o gejach i lesbijskach próbujących przeprowadzić zamach na tradycyjną polską rodzinę. Kaczyński wykorzystał te obawy do mobilizacji elektoratu już przed wyborami parlamentarnymi. Jednak dopiero kiedy w objazd kraju wyruszył Andrzej Duda, wybuchła prawdziwa panika moralna. A rzeczywistość szybko dogoniła świat wykreowany w studiach Telewizji Polskiej. W ruch poszły pięści, kije, a nawet butelka po domestosie i słoik buraków.

Reportaże zebrane w tej książce nie odpowiadają na pytanie, jak wygrać w Polsce wybory. Nie ma tu także podpowiedzi, jak wybory przegrać. Politycy są cytowani przeze mnie tylko wtedy, kiedy naprawdę muszę to zrobić (mieliście dużo innych okazji, żeby dowiedzieć się, co mają do powiedzenia). Rozmawiałem głównie z wyborcami. Na podstawie tych rozmów powstała opowieść o kampaniach wyborczych w latach 2019–2020 i politycznej histerii, która opanowała kraj na kilkanaście miesięcy.

Część I

Zabiorą! Zabiorą to, co myśmy dali!

Czerwona galareta na wierzchu ciastka trzęsie się samotnie na talerzyku, kiedy rosłe chłopcy rzucają ciężkimi statywami o drewniany parkiet sali Sokoła w Krakowie. Napis wymalowany na suficie głosi: „Wspólna moc zdoła nas tylko ocalić”.

– Raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa. – Flegmatyczny gość o fizjonomii patyczaka testuje mikrofon.

To szef biura prasowego pis-u Krzysztof Wilamowski. Nie jest karierowiczem, nie ma parcia na szkło. Nie przyczepił się do partii na fali wyborczych zwycięstw. Od lat pokornie wykonuje swoje zadanie, stojąc między dziennikarzami a ugrupowaniem. Kilka lat wcześniej w Sejmie bronił ówczesnego wicemarszałka Ryszarda Terleckiego z taką ofiarnością, że wdał się w bójkę z facetem próbującym zadawać niewygodne pytania. Teraz widzę go na tle kilkumetrowej, pokrytej tkaniną ścianki z napisem „Polska sercem Europy”, naprzeciwko telewizyjnych kamer.

– Dźwięk okej! – krzyczą operatorzy.

Teraz obraz. Wilamowski jest wysoki, dużo wyższy od bohatera konferencji, która ma rozpocząć się za jakąś godzinę. Żeby kamery mogły porządnie nastawić ostrość na twarz, obniża pozycję, wykonując półszpagat za pulpitem z mikrofonami. Widać, że to nie pierwszozna. Jego ścięgnięta i mięśnie muszą dokładnie pamiętać, kiedy napiąć się i zatrzymać, żeby głowa wylądowała na wysokości głowy prezesa Kaczyńskiego.

– Jest dobrze, Krzysiu, dzięki! – potwierdzają operatorzy zza kamer.

Pół godziny przed planowanym startem goście zasiadają za stołami z galaretą. Średnia wieku mocno emerycka. Jak zwykle. Emerycy i renciści zjawili się na specjalne zaproszenie sztabu i mają robić za scenografię do przemówień wodza oraz partyjnych kandydatów do europarlamentu: wicepremier Beaty Szydło i brukselskiego weterana, profesora Ryszarda Legutki.

– Podobno dzisiaj mają wypłacać te trzynastki – podsłuchuję. Obok mnie przez telefon nadaje dziennikarka. – Jak to: jakie trzynastki? Jarkowe. Trzynaste emerytury. Dlatego sobie tu sprowadzili tych emerytów. Wypłacali już wcześniej, ale dzisiaj mają pojawić się na kontach. Nie

puszczaj tego jeszcze, tylko się przygotujcie, nie mam tego potwierdzonego na sto procent – instruuje.

Jest po czterdziestce. Zmęczona życiem. Zmęczona robotą, zmęczona polityką, zmęczona dziećmi, zmęczona redakcją. Odpękała takich wydarzeń tyle, że nawet gdyby została zwolniona, przychodziłaby dalej, z przyzwyczajenia. Nie występuje przed kamerą, nie lajwuje, zasłuchana w słowa prezesów, przewodniczących, premierów, żeby wybrać to, co najważniejsze, spisać i przesłać do redakcji. Pewnie za kilka lat uda się ją zrobotyzować, ale na razie wygrywa nierówną walkę o etaty z maszynami. Gatunek na wymarciu. Przez lata naoglądała się polityków wijących się jak piskorze, naginających rzeczywistość, mijających się z prawdą i wyprzedzających ją na trzeciego na podwójnej ciągłej. Znieczulica *level hard*.

– Za piętnaście minut będą wchodzić. – Napakowany i opalony oficer Służby Ochrony Państwa przekazuje informacje koledze. Poprawia mikrofon w uchu i uklepuje kręcone włosy obficie wysmarowane brylantyną.

– Są w budynku – mówi ochroniarz do mikrofonu ukrytego w mankiecie.

Kaczyński wchodzi do sali pewny, zadowolony. Życzliwi dopatrzyliby się nawet uśmiechu. Ubrany jak zwykle na czarno-biało: czarna marynarka, czarny krawat, biała koszula. Klasyczna pogrzebowa elegancja.

Fotoreporterzy maltretują palcami spusty migawek, odprowadzają obiektywami bohaterów konferencji do stołu. Emeryci i renciści są zaskakująco spokojni. Brawa oszczędne, daleko im do wiecowego: „Ja-ro-sław! Ja-ro-sław!”.

Konferansjer zaraz po dzień dobry oznajmia, że dzisiaj na konta emerytów spłynęły pierwsze przelewy trzynastek. Zmęczona życiem reporterka wali w klawisze laptopa. Prezes pis-u wchodzi na mównicę.

Mina groźna, brew zmarszczona. Wytacza najcięższe działa.

– Jeśli nasi oponenti polityczni dojdą do władzy, zabiorą to, co myśmy dali. Co można przewidzieć, to będzie po prostu tak, że mówiąc najkrócej i prosto, żeby nikt nie miał wątpliwości, o co chodzi: zabiorą!

Słowa prezesa niosą się po sali, echem wypełniają dramatyczną pauzę.

– No to się zaczęło – mówi z zadowoleniem zmęczona życiem reporterka. – Jest cywilizacja, jest lewactwo. Zabiorą! – Puszcza do mnie

oko. – Zabiorą, zabiorą, zabiorą! – śmieje się w głos, przedrzeźniając prezesa.

Kampania ruszyła.

To znaczy oficjalnie ruszyła jakieś dwa tygodnie wcześniej, ale jak na razie dość ślamazarnie snuła się poza nagłówkami, sporadycznie lądując na pasku. Jak gdyby wszyscy się czaili, badali, co zagra, a co nie. Wyraźnego wroga, z którym trzeba walczyć o przetrwanie, jeszcze nie wykreowano.

W sali krakowskiego Sokoła Kaczyński już wie, co chce powiedzieć w kampanii: Prawo i Sprawiedliwość dotrzymuje obietnic, trzynasta emerytura to przelew na koncie, a nie obietnica wyborcza, polityczni oponenti zagrażają rodzinie, Polsce, Europie i światu. Stawką w nadchodzących wyborach nie jest europarlament, ale losy cywilizacji.

To wszystko to jednak tylko dodatki do najważniejszego hasła: ZABIORĄ! Kto? Oni. Co zabiorą? „To, co myśmy dali”.

* * *

Pojechałbym zobaczyć, jak wygląda ten plan zabioru Polski. Ale nie mam za bardzo dokąd. Kampania Koalicji Europejskiej jest ślamazarna i nudna. Grzegorz Schetyna od niechcienia zwołuje raz na jakiś czas briefing prasowy. Publikowane co kilka dni w gazetach sondaże wskazują wprowadzić na wygraną KE, ale to chyba nie powód, żeby sobie odpuszczać?

– Bo to jest taka partia i tacy, kurwa, wyborcy – mówi mi w przypływie szczerości jeden z kampanijnych macherów Platformy Obywatelskiej. Wpadliśmy na siebie dwa tygodnie przed wyborami, w jednym z tak zwanych modnych miejsc stolicy. Tacy, czyli jacy? – Tacy, co to nie chcą, żeby było zbyt kontrowersyjnie. Im mniej robimy, tym lepsze mamy sondaże. Nie możemy być wyraziści, bo zaraz ktoś nam odpadnie. I pieniędzy nie mamy tyle co pis. – Zrezygnowany macha ręką.

– A Tusk nie chce wrócić i zostać zbawcą Polski? – podpuszczam.

Macher tylko wymownie wzrusza ramionami. A później oddaje się późnowieczornym hulankom w modnym miejscu stolicy.

To nie jest tak, że nie znam tych piosenek

Droga wojewódzka numer 631 leci przez Marki, Biedocin, Nieporęt. Jadę na północ. Na poboczach można kupić seks i jagody – przy zjazdach do lasu stoją na zmianę pracownice seksualne i kobieciny z fioletowymi słoikami. Co parę kilometrów na kilkumetrowych banerach zdjęcia wielkiego gada. To serocka restauracja reklamuje steki z krokodyla.

Od tygodnia chodzą słuchy, że w weekend pis ma zjechać się do Pułtusa na kampanijny piknik. W najbardziej odważnych fantazjach dziennikarze kreślą obraz dwudniowej imprezy partyjnego aktywu. Ma być wieczorna popijawa i *Majteczki w kropeczki* w wykonaniu Bayer Full.

Dwa dni przed piknikiem biuro prasowe Prawa i Sprawiedliwości gasi plotki oficjalnym programem majówki: będzie Bayer Full, nie będzie popijawy. Występ legendy disco polo to tylko z pozoru muzyczny kwiatek do kozucha. Skaptowanie Świerzyńskiego, lidera zespołu, jest w kampanijnej wojnie pis-u z PSL-em o wieś jak zdobycie chorągwi przeciwnika.

Przez lata Świerzyński popisywał się lojalnością jako członek partii ludowców. W 1995 roku przygrywał walczącemu o prezydenturę Pawlakowi, później sam wielokrotnie startował w wyborach parlamentarnych i zaganiał wyborców do urn. W modnym seledynowym garniturze tańczył na scenie i śpiewał do mikrofonu:

Złe rządy były w kraju, pożoga wszędzie, gwałt,
Popielea myszy zjadły, już nikt nie liczył strat.
Trza kmiecia wziąć na rządy, zawyrokował lud,
Tak powstał pierwszy w świecie demokratyczny cud.

I refren:

Na wybory, rodacy, by nie głodował nikt,
Nie z prawicy, lecz z pracy, dobrobyt jest i byt.
Na wybory, Polacy, Zielonym dajcie głos,
Nie lewicy, lecz naszemu, na Pawlaka oddaj głos.

W 2019 roku najpierw udzielił kilku wywiadów, w których krytykował PSL za przystąpienie do Koalicji Europejskiej. „Zielona koniczyna [...] stała się bardzo tęczowa. [...] Nawet najlepsze małżeństwa się rozstają. Nie ma co z tego powodu robić jakichś tam tragedii” – powiedział w rozmowie z RMF FM. Aż w końcu w lutym rzucił legitymacją.

Od razu zgłosili się do niego przedstawiciele PiS-u.

Teraz za sceną przymierza białą marynarkę, w której wystąpi zaraz po politykach partii rządzącej.

Pułtusk to na wyborczej mapie Prawa i Sprawiedliwości miejscówka idealna. Z centrum Warszawy przy dobrych wiatrach można dojechać tam w godzinę. Rządową limuzyną na bombach pewnie w pół. Niecałe dwadzieścia tysięcy mieszkańców, wystarczająco prowincjonalnie, żeby zdystansować się od wielkomiejskiego blichtru. Szyldy Sklepu Mięsnego u Darka, Baru Krokietek (w menu głównie pizza), SKOK-u Stefczyka i Chemii z Niemiec krzyczą z peryferyjną dumą: „Tu jest Polska!”. Nieduży Pułtusk PiS-owi dobrze się kojarzy – w 2015 roku to właśnie stąd Beata Szydło wyruszyła Szydłobusem po wyborcze zwycięstwo.

Słońce w zenicie. Kolejka do wejścia na piknik ciągnie się kilkadziesiąt metrów, od zamku do Rynku. Strażacy kłócą się, jak zaparkować swój wypucowany wóz, przez co ściągają na siebie uwagę stojących.

- Patrz, jaki czyściutki!
- Nowiutki, jak z salonu.
- Ten czerwony lakier się lśni jak na jakimś porszaku.
- A te rury jak się świecą! Ach!

Litania zachwyty pod adresem czerwonego cuda nie ma końca. Kiedy na scenę wejdzie premier Morawiecki, dorzuci do tych kolejkowych uniesień jeszcze kilka komplementów dla heroicznych strażaków.

– Gdyby nie minister Kowalczyk, nie byłoby tego wozu. On i wójt gminy załatwili – mówią mi. W styczniu, zaraz po odbiorze, witali go czerwonymi flarami i szampanem.

Zanim wszyscy pognają po kiełbasę, watę cukrową i kiszzone ogórki, trzeba wysłuchać przemówienia prezesa. Wejście Kaczyńskiego poprzedza batalistyczna muzyka. Spokojnie pasowałaby do *Gladiatora* albo innego hollywoodzkiego hitu błąkającego się po wieczornej ramówce Polsatu.

Sondaże publikowane w ostatnich dniach pokazują, że PiS nie może być pewien zwycięstwa. Wyniki kilku ostatnich badań wskazują, że słupek Koalicji Europejskiej jest minimalnie wyższy od słupka Prawa

i Sprawiedliwości. Zaskakująco dobre notowania ma również Konfederacja – Krzysztof Bosak do spółki z Grzegorzem Braunem, Liroyem i Kają Godek budują kampanię na sprzeciwie wobec amerykańskiej ustawy 447. Zobowiązuje ona administrację USA do monitorowania starań w celu uregulowania statusu prawnego majątku ofiar Holokaustu, o który nie wystąpili spadkobiercy. Konfederaci od tygodni opowiadają, że to sposób na przymuszenie polskiego rządu, by wypłacił Żydom potężne odszkodowania. Dlatego dla wyborców, którzy odpływają od partii władzy w prawo, prezes przygotował coś na zachętę. Mówi enigmatycznie, jak zwykle, ale w tłumaczeniu na język prosty i zrozumiały komunikat brzmi następująco: Pis nie zamierza oddawać Żydom niczego. A jeśli ktoś ma coś komuś oddać, to Niemcy Polkom i Polakom.

Kończy zadowolony. Zgodnie z planem na scenie ma się za chwilę pojawić Bayer Full.

– To nie jest tak, że ja nie znam tych piosenek. Może nie wszystkie, ale wiele znam. I wcale się tego nie wstydzę. Tylko ludzie, którzy mają kompleksy, takich rzeczy się wstydzą, a ja kompleksów nie mam. I wy, państwo, nie macie kompleksów. – Prezes uśmiecha się zawadiacko i po prezydencku macha tłumowi na do widzenia.

– Pułtusk! Jak się bawicie!? – Na estradę wbiega Świerzyński w białej marynarce z czarnymi paskami. Klaszcze, a tłum zaczyna tańczyć do pierwszych dźwięków płynących z keyboardu. – Hop! Hop! Hop!

Koncert koncertem, ale pęta kiełbasy, nawet na patriotycznym pikniku, nie ciągną się w nieskończoność. Od dobrego kwadransa cały zamek pachnie grillowanym mięsem, kolejka stoi po nie – od dwóch. Nie mam wyboru, zajmuję miejsce w tej ludzkiej stonodze wijącej się na dziedzińcu.

– Bo wie pan, kolejka to jest jednak ważna rzecz – słyszę od starszej pani w garsonce, tuż za moimi plecami.

– Przepraszam najmocniej. Wepchnąłem się? – pytam uprzejmie, choć jestem pewien, że się nie wepchnąłem.

– Och nie, wszystko w porządku. Tak tylko mówię, bo wczoraj takie rzeczy w Warszawie się działy... Nie uwierzy pan!

Pani bardzo chce się podzielić spostrzeżeniami, więc szerokim uśmiechem zachęcam ją do zwierzeń.

– Byłam na tej paradzie wojskowej – zaczyna. – Lubię jeździć na takie wydarzenia, takie patriotyczne. Samoloty były, czołgi, no pięknie po prostu. A po paradzie wojskowej co jest najlepsze? – pyta retorycznie, a mnie robi

się głupio, że nie wiem. Przelatuje mi przez myśl zimna wódka, ale zostawiam ten alkoholicki domysł dla siebie. – Grochówka wojskowa! – niemal wykrzykuje moja rozmówczyni. – Kolejka jeszcze dłuższa była niż tutaj. Ale stoimy z mężem jak pan Bóg przykazał, czekamy na swoją kolej, każdy chce zjeść.

– Wcinali się pewnie? – Niechcący ubiegam puentę.

– Pan to się zna! Dokładnie tak! My stoimy, a tam przy garze ktoś z boku, ktoś dla męża, ktoś dla żony, a my stoimy jak te durnie, proszę sobie wyobrazić! Chamstwo! I to na takim patriotycznym wydarzeniu! – gorączkuje się starsza pani.

Do buchającego dymem grilla droga jeszcze daleka, oddajemy się zatem wspólnie podziwianiu rycerskich popisów, które rozpoczynają się właśnie na zamkowym dziedzińcu. Słońce grzeje bezlitośnie, ale rekonstruktorzy się tym kompletnie nie przejmują. Jeden w czyściutkiej zbroi, z której wystają wielkie wykrochmalone rękawy białej koszuli, drugi w lżejszej kolczudze. To w okolicy jego szyi spadają markowane ciosy mieczem. Przy drzewie rozgrzewają się kolejni rycerze w biało-czerwonych płaszczach. Czekają na swoją kolej, tak jak ja i pasjonatka parad wojskowych czekamy na kielbasę.

– Marzenka, tu jestem. – Siwy gość z dwoma papierowymi talerzami, powyginanymi od wypieczonych kielbas, zmierza żwawo w naszą stronę. – Już mam, tam mi się udało wejść, od przodu. Co będziesz stała?

Marzenka to nie kto inny, jak fanka wozów opancerzonych i kolejkowego porządku. Patrzy na mnie i momentalnie jej policzki zaczynają płonąć. Aż mi się udziela ten wstyd, ale mówię, żeby się nie przejmowała, że może ta kolejka to wcale nie jest taka ważna. A poza tym widzę, że kielbasę dowożą i dla każdego wystarczy. W końcu mamy kampanię.

Rycerze okładają się mieczami, Bayer Full rozkręca się na scenie.

Moja mała blondyneczko,

Czy ty o tym wiesz?

Tyle razy cię spotykam

W każdym moim śnie.

– No, wreszcie to zaśpiewali! Myślałem już, że się nie doczekam – słyszę od gościa w zwichrowanej czapce.

Nóżki mu chodzą w rytm muzyki, rączkami nakłada sobie dwie wypieczone kielbaski, ogórek, pajdę chleba. Do tego dwa zdrowe chlusty keczupu i musztardy.

– Dla mnie to samo, co dla tego pana.

Chwila prawdy. Odkrawam kęs najprawdziwszej kielbasy wyborczej. Chrupiąca skórka, dobrze wypieczona. Zaskakująco smaczna i zwięzła. Nie rozpływa się w ustach, jak większość publicznie serwowanych wyrobów masarskich. Nie tryska wodą, nie jest wypchana zmielonym nie wiadomo czym. Kielba prima sort. Można mieć wiele zastrzeżeń do partii władzy, ale na kielbasie wyborczej nie oszczędza.

– Słyszałem, że te trzynaste emerytury zaczęły lądować na kontach już w tym miesiącu – zagaduję pana, który wiekowo pasuje mi na emeryta.

– A wie pan, ja to nawet nie sprawdzałem. Mnie to niepotrzebne – odpowiada cwaniacko. Elegancka kurtka, koszula rozpięta na dwa guziki, przy kołnierzyku błyszczący cienki złoty łańcuszek. – Mi pieniędzy nie brakuje, bo ja nie jestem taki zwykły bidny emeryt – dodaje tajemniczo. – Ja mam taki samochód, powiem panu w zaufaniu, jakim Merkel jeździ, mercedesa S klasę. Nie przyjechałem nim, bo co się będę chwalić, ale mam. – Puszy się. Dorobił się na rolnictwie, niedawno przekazał gospodarstwo synowi. – Ale dobrze, że te pieniądze wypłacają. Emeryci biedni są przeważnie. O, pan reporter, widzę, z tym aparatem. Zmęczony pewnie i głodny, chodź, kielbasy pojesz. – Po dwóch kielbasach, ogórku i pajdzie jestem już pełny, ale przecież nie odmówię. – Co pan piszesz? – Wąsaty pan Zdzisław uprzedza moje pytania.

Odpowiadam, że o kampanii, o Polsce. A dzisiaj o Pułtusku.

– Pięknie u nas, prawda? Władza lubi tutaj przyjeżdżać. Szydłobus stąd ruszał – chwali się.

– Żonę pan ma? – pyta serdecznie małżonka pana Zdzisława.

– Narzeczoną. – Awansuję tymczasowo swoją konkubinę. Wybaczylaby pewnie, gdyby tak samo jak ja została oślepiona światłem odbitym od srebrnego krzyża zwisającego na czarnym golfie.

– A dlaczego narzeczona, nie żona? Trzeba się brać do roboty, rodzinę zakładać. Jak się pan ożeni, to zapraszamy do Domowego Kościoła – mówi kobieta, wręczając mi ulotkę o Domowym Kościele Ruchu Światło-Życie. To oazowe spotkania dla katolickich małżeństw i rodzin. Widzi, że nie jestem przekonany, więc próbuje argumentu, który ma przygotowany na

takie okazje. – Musi pan wiedzieć, że do nas do domu to nawet minister Kowalczyk przyjeżdża się modlić. Raz w miesiącu!

Na scenie Bayer Full zagrał już wszystkie przeboje i zabawia teraz resztki widowni lekcjami chińskiego.

– *Ni hao!* Dzień dobry! *Ni hao!* Bardzo dobrze. Teraz trudniejsze. Dziękuję! *Xièxiè!* Sie, sie! – pokrzykuje do mikrofonu „cesarz disco polo”.

W 2010 roku Świerzyński robił rundki po telewizjach śniadaniowych, w których chwalił się rzekomym azjatyckim sukcesem. Napompował go do tego stopnia, że kiedy cztery lata później wydał autobiograficzną książkę, zatytułował ją *Cesarz disco polo* właśnie. Zespół puchł z dumy w wywiadach na telewizyjnych kanapach i w gazetach, że Chińczycy zamówili sześćdziesiąt siedem milionów płyt z jego weselnymi przebojami. Zamówili to prawie jakby kupili, więc nikt się nie przejmował, że Świerzyński bajeruje dziennikarzy planami podboju, a nie podbojem rzeczywistym.

Bartosz Janiszewski opisywał w „Newsweeku”^[1], jak lider Bayer Full przez kilka miesięcy trenował śpiewanie po chińsku. Sesje nagraniowe nadzorował podobno przedstawiciel wytwórni, która miała zamówić te dziesiątki milionów muzycznych krążków. Świerzyński w końcu do Pekinu poleciał, ale ile sprzedał płyt? Nie wiadomo do dziś. Ważne, że Bayer Full wyśpiewywał *Majteczki w kropeczki* po chińsku (w tej wersji były czerwone, a nie w kropeczki) polskim prezenterom przyklaskującym mu w warszawskich studiach. O to w końcu chodziło. „Podbój” okazał się po prostu kolejną sprawną bajerą wymyśloną na potrzeby promocji na rodzimym rynku.

Czy uczestnicy kursu chińskiego na pikniku w Pułtuskach się tym przejmują? Nieszczególnie.

Sprzed sceny w Świerzyńskiego wpatruje się trzech marszałków Piłsudskich. Stalowoszarze mundury, siwe wąsy i czapki maciejówki.

– *Ni hao! Ni hao! Ni hao!* – powtarzają posłusznie.

Po lekcji jeszcze bis, tym razem z tegorocznego repertuaru.

Ja z kolegami jadę w góry,
pożegnać muszę me kochane Mazury.
Pakuję plecak, mówię cześć,
z rodziną żegnam się.
O, jak dobrze jest!

Zawijam. Przy wyjściu łapie mnie jeszcze pan Zdzisław z Domowego Kościoła. Prosi, żebym w reportażu napisał, że nigdy do partii nie należał i wstąpić nie zamierza. Kiedy odbywał służbę wojskową we Wrocławiu – nie należał, kiedy pracował w fabrykach przed osiemdziesiątym dziewiątym – nie należał ani po osiemdziesiątym dziewiątym nigdzie się nie zapisał. Teraz, na pikniku patriotycznym, w koszuli, pod krawatem, z zadbanym siwym wąsem i ulotką kampanijną Adama Bielana zwiniętą w dłoni, też nie należy.

Selfie na burzy mózgów

Jego twarz ma jakieś cztery metry wysokości, jest biało-fioletowa i naklejona na autobus.

Temperatura w okolicach pięciu stopni. Operatorzy rozstawiają kamery, wolontariusze w fioletowych koszulkach rozgrzewają się, przestępując z nogi na nogę, fotoreporterzy ziewają.

Bohater poranka Robert Biedroń zaraz wejdzie na parking pod warszawskim Torwarem.

Pojawia się w towarzystwie przybocznych. Po lewej sekretarz zarządu Krzysztof Gawkowski, jesionka i niebieski szalik. Wiosna wyciągnęła go z SLD w listopadzie 2018 roku. U Biedronia buduje tak zwane struktury, czyli partię w terenie, tam, gdzie trzeba wykonać codzienną pracę i gdzie przeważnie nie docierają kamery stacji telewizyjnych. Zajmował się tym przez lata w Sojuszu, ale podobnie jak inni ambitni politycy jego pokolenia uderzył w eseldowski szklany sufit. W 2015 roku walczył o przywództwo po odejściu Leszka Millera, ale bezskutecznie. Gawkowski, Michał Syska^[2], Paulina Piechna-Więckiewicz – to nazwiska z list SLD, teraz w drużynie Biedronia.

Po prawej Marcin Anaszewicz, wiceprezes Wiosny i szef sztabu, główny kampanijny strateg. Dopasowany trencz, różowa koszula, krawat. Z Biedroniem współpracuje od dawna: w 2011 roku prowadził jego zwycięską kampanię wyborczą do Sejmu, a po tym, jak w roku 2014 pomógł mu zostać prezydentem Słupska, pracował w urzędzie miasta. Nieoficjalnie to on trzyma w Wiośnie korporacyjny porządek. Jeszcze bardziej nieoficjalnie: mało kto lubi z nim pracować. Kiedy w końcu przed wyborami parlamentarnymi odejdzie z formacji, jego dotychczasowi współpracownicy będą świętować.

– Jedenaście tysięcy kilometrów przed nami, ponad pięćdziesiąt miast, prawie dwadzieścia dni w podróży. To dalej niż do Władywostoku – zaczyna entuzjastycznie lider. – Jedziemy rozmawiać z ludźmi. Będziemy mieli setki spotkań w całej Polsce: w małych miasteczkach, na wsi nawet, w dużych miastach.

Selfie przed autobusem i można wsiadać. Sztab z prezesem z tyłu, media z przodu.

Z rozpiski przesłanej przez biuro prasowe: następny przystanek pod Jasną Górą, później Sosnowiec, Nikiszowiec w Katowicach i burza mózgów w Gliwicach. Dzień na czarno, węgiel i kler.

Zatrzymujemy się na stacji benzynowej – kilka dystrybutorów, sklep i bar Łakomczuszek. Osiem kilometrów za Mszczonowem. Biedroń robi „moment”. Ekipa Wiosny wie, że nie wiezie w autobusie prezydenta ani premiera. Nie wystarczy, że ustawią mikrofon za pulpitem, żeby telewizje wrzuciły ich do serwisów. Dlatego robią tyle „momentów”, ile się da. Kandydat na tle urzędzeń podających paliwo to zawsze ciekawszy obrazek niż ta sama, zgrana już nieco twarz z partyjną ścianką za plecami.

Kolejny „moment” pod Jasną Górą, gdzie Biedroń wymachuje Biblią i Konstytucją. Potem przystanek w Kazimierzu Górniczym, pod domem z widokiem na kopalnię. W latach dwudziestych i trzydziestych mieszkał tu na drugim piętrze Leon Kruczkowski, ale to tylko ciekawostka. Przyjechaliśmy, żeby zobaczyć się z lokatorami pierwszego piętra. To dom rodzinny Macieja Klimka, działacza Wiosny i radnego z Wojkowic. Teraz mieszka tu jego wuj Radosław, i to on jest gospodarzem spotkania.

Facet imponuje mi od pierwszej chwili, gdy wysiadamy z autobusu. Nie wystroił się specjalnie na przyjazd znanego gościa. Nie nadskakuje mu, jak wszyscy od rana. Jest u siebie, może sobie siedzieć nieogolony, w burym polarze. To Biedroń musi postarać się o jego względy, a nie na odwrót. On nie daje się uwieść zbyt łatwo. Nie boi się też prostować tego, co opowiadają inni uczestnicy improwizowanej rozmowy przy kawie i ciastku, poza nim jak jeden mąż startujący z list Wiosny do europarlamentu.

Biedroń siedzi i zadaje pytania. O kopalnię, o Leona Kruczkowskiego, o rozkopaną drogę, o młodość, o starość, wreszcie o zdjęcia rodzinne rozłożone na stole. Czarno-białe fotografie wędrują z jednej kupki na drugą, a skorupa pana Radosława pęka powoli. On sam zaczyna wierzyć, że polityka celebrytę szczerze interesuje historia jego bliskich. Prezes Wiosny wręcza mu swoją książkę *Nowy rozdział* i właśnie wypisuje dedykację.

Dzielnie stawiał opór, ale po otrzymaniu książki z autografem składa broń.

Do salonu wchodzi Patryk, asystent Biedronia, i informuje, że za pięć minut odjeżdżamy.

Kolejny przystanek, Nikiszowiec. Podwórko między familokami. Niskie budynki ze szarniałej cegły zbudowane zostały sto lat wcześniej, żeby zakwaterować górników, hutników i ich rodziny. W poniedziałkowe popołudnie ulice są opustoszałe. Tylko grupka życiowych rozbitków pod sklepem spożywczym patrzy z zainteresowaniem, co to za ekipa w garniturach i z kamerami zwalała się im pod domy.

Na konferencji Biedroń mówi, że prędzej czy później odejdziemy od węgla. Nie ukrywa, że Wiosna chciałaby prędzej, ale zastrzega, że jest plan, jak zrobić to bezboleśnie.

Z okien w familokach wystają ludzie oparci na przerzuconych przez parapety pierzynach. Słuchają z zaciekawieniem, niektórzy nawet kiwają głowami z aprobatą. Tylko jeden facet w podkoszulku teatralnie trzaska oknem.

Po Biedroniu przemawia śląska jedynka, czyli Łukasz Kohut. Przy liderze wypada blado. Mówi trochę jak z kartki, a trochę jak kościelny lektor, nic porywającego, ani dla dziennikarzy, ani dla ludzi w oknach. Najważniejsze postulaty Kohuta to przeniesienie do Katowic ministerstwa energii i przyznanie śląszczyźnie statusu języka regionalnego.

– Ślōnskŏ gŏdka językiem regionalnym, bo niy ma gańba gŏdać po naszymu – rzuca na zakończenie.

Przed festiwalem selfie chwila dla dziennikarzy. Reporter z lokalnego oddziału TVN24 pyta Biedronia o jakiś obraz Matki Boskiej. Podobno ktoś go zniszczył i jest ścigany przez policję. Od naszego wjazdu do Nikiszowca minęła prawie godzina. Nie miałem czasu śledzić newsów i nie mam pojęcia, o czym mowa.

– My, jako Wiosna, oczywiście jesteśmy za rozdziałem państwa od Kościoła, ale uważamy, że szacunek dla symboli kultu religijnego jest bardzo ważny. Pomimo że opowiadamy się za zniesieniem paragrafu o obrazie uczuć religijnych, będziemy bronić wszystkiego, co jest czczone poprzez kult religijny. I kiedy ktoś podnosi rękę na takie symbole, to na pewno też będziemy domagać się ścigania, bo takie rzeczy nie powinny mieć miejsca – brzmi odpowiedź.

Teraz już kompletnie nic nie rozumiem. Antyklerykalny Biedroń będzie ścigać bluźnierców? Nie słucham kolejnych pytań, tylko sprawdzam w internecie, o co chodzi. A tam szaleje burza wokół tęczy.

W trakcie konferencji na podwórku między familokami media donoszą, że do mieszkania pięćdziesięcioletniej aktywistki Elżbiety Podleśnej

weszła policja. Podleśną oskarżono o obrazę uczuć religijnych, bo w nocy z 26 na 27 kwietnia miała rozklejać w Płocku podobizny Matki Boskiej Częstochowskiej w tęczowej aureoli.

Na Twitterze z gratulacjami i podziękowaniami dla interweniujących zdążył się już wyrwać minister spraw wewnętrznych Joachim Brudziński: „Dziękuję @PolskaPolicja za sprawną akcję z wytypowaniem i zatrzymaniem osoby podejrzewanej o profanację świętego od wieków dla Polaków wizerunku Matki Bożej. Żadne bajanie o wolności i »tolerancji« NIKOMU nie daje prawa do obrażania uczuć ludzi wierzących”.

Po liberalnej stronie internetu wrzenie: totalitaryzm, autorytaryzm, cenzura – to co bardziej parlamentarne określenia. Biedronia, najwidoczniej skupionego całkowicie na konferencji pod familokami, nikt chyba nie zbriefował, czym żyje Polska. Tymczasem zanosi się na ogólnokrajowy dym: policja, tęcza, Matka Boska – takie trio zebrane w jednej historii musi się kliknąć. Dlatego dziennikarz zlewa lejtmotyw mityngu w Nikiszowcu i od razu ciśnie o komentarz do sprawy Podleśnej. Gdybym robił w newsach i był rozliczany z klików, zachowałbym się pewnie tak samo. Na marginesie ćwiczenie dla wszystkich: przejrzyjcie historię przeglądarki i sprawdźcie, czy więcej czasu spędziliście na newsach takich jak ten, czy wczytując się w elaboraty o transformacji energetycznej. W historii zatrzymania Podleśnej są krzywda, represje, wolność artystyczna, uczucia religijne, symbole święte dla katolików i symbole ważne dla osób LGBT. Nic, tylko bić w klawiaturę i klepać płomienne komentarze!

Reakcja mediów na teatr, który urządziła policja w domu aktywistki, nie była trudna do przewidzenia. Ktoś, kto wysłał po nią oddział, jak po groźnego przestępcę, dobrze wiedział, co robi. Politycy mogą się produkować ile wlezie, ich sztaby stawać na głowach i wymyślać coraz to inne programy zbawienia Polski, a i tak dostaną pytania o tęczę na obrazie Matki Boskiej. Dla Biedronia to dodatkowy kłopot, bo zmusza go do wejścia w rolę, przed którą ucieka od samego początku kampanii. W mediach zagranicznych brylował przez kilka lat jako pierwszy w Polsce otwarcie homoseksualny prezydent miasta. Na krajowym podwórku robi wszystko, żeby pozbyć się łatki gejowskiego aktywisty wojującego z Kościołem.

Po kilku godzinach okazuje się, że z potknięcia w Nikiszowcu dymu nie ma. Fragment wypowiedzi prezesa Wiosny zacznie krążyć po sieci dopiero

następnego dnia. Do tego czasu Biedroń zdąży porównać pis do talibów i jednoznacznie opowiedzieć się po stronie Podłejnej.

Wieczorem dojeżdżamy do Centrum Edukacji i Biznesu Nowe Gliwice. Sala zapełniona po brzegi, półmrok. Z głośników słychać pytanie: „O jakiej Polsce marzycie?”.

Fioletowe światła rozlewają się po całej przestrzeni, epicka muzyka uderza z pełną mocą. Otwierają się drzwi i na scenę wskakują Biedroń z Kohutem. Ludzie wstają, biją brawa, pokrzykują z radości. Wygląda to jak spotkanie z coachem od rozwoju osobistego.

– Skąd jesteście? Skąd przyjechaliście? – pyta Biedroń, najpierw całą salę, a później wybrane osoby.

Po wstępie przebieżka po zasadach burzy mózgów. Każdy ma prawo zgłosić własny postulat do „mapy drogowej” dla przyszłego europośła Wiosny, siłą rzeczy dotyczący kwestii regulowanych przez prawo unijne. Po jego zgłoszeniu prowadzący moderują krótką dyskusję i przechodzimy do głosowania. Na tablicy zapisane tylko te pomysły, które znalazły poparcie większości.

Godzina i po burzy. Na brystolu ostatecznie sześć postulatów: odejście od węgla, edukacja finansowa i pierwsza pomoc w szkole, ujednolicenie systemu edukacyjnego, jednolita edukacja seksualna w całej Europie, jednolity unijny kalendarz szczepień, wspólna konstytucja UE.

Zagaduję dziewczynę około trzydziestki, która siedzi obok mnie i przez całe spotkanie wywraca oczami. Na końcu wyraźnie sapie z dezaprobatą.

– Coś się pani chyba nie za bardzo podoba?

– A panu się podoba? Przecież tutaj prawie nic nie dotyczy Unii Europejskiej. Gadanina! – szepce rozgoryczona.

W dużej mierze ma rację. Odpowiedzialność za treści nauczania leży po stronie państw członkowskich – takie zapisy znaleźć można w Traktacie o funkcjonowaniu Unii Europejskiej, jednym z fundamentów unijnego prawa. Fantazje o jednolitej edukacji seksualnej we wszystkich dwudziestu siedmiu państwach UE świetnie wyglądają na brystolu, ale europarlamentarzyści po prostu nie będą się nimi zajmować. Ustalenie kalendarza szczepień też nie leży w kompetencjach wspólnotowych instytucji. Jednolita konstytucja, serio? Czy po brexicie ktoś jeszcze naprawdę w to wierzy?

Burza mózgów świetnie obsługuje potrzebę wylania żalów na świat, Polskę i Europę. Ludzie wychodzą z poczuciem, że ważny polityk jest

zainteresowany ich opiniami, a to, co mówią, będzie drogowskazem dla partii Biedronia. Czy jednak naprawdę da się wykorzystać cokolwiek z godziny dość niechlujnej dyskusji? Nie sądzę, choć sztabowcy Wiosny zapewnniają, że to zawsze bardzo wzbogacające doświadczenie.

Wyborcy Wiosny natomiast chcieliby bardzo, żeby Unia przyszła i zrobiła w Polsce porządek: ze smogiem, z edukacją, z węglem. A jeśli Unia nie jest w stanie tego zrobić, to żeby zajął się tym Robert Biedroń.

Na burze mózgów przychodzą dla niego. Aż żal było patrzeć, jak lider przygniótł ciężarem swojej popularności śląskiego kandydata formacji. Kohut nie miał pomysłu na siebie, nie wiedział nawet, gdzie powinien stanąć. Krzątał się po scenie, przytakiwał prezesowi, żeby ostatecznie pozwolić się zredukować do roli gościa podającego mikrofon.

Jednak za kilka tygodni Wiosna przekroczy próg wyborczy, a Kohut, obok Biedronia i Sylwii Spurek, odbierze mandat europosła.

Ślōnskŏ gödka do dziś nie została oficjalnym językiem obrad w Brukseli.

Wyleje? Tu zawsze wylewa, ale nie zawsze jest kampania

Siedem dni przed wyborami zaczyna lać. Burze z gradem szaleją w południowej Polsce. Ostrzeżenia pogodowe z dnia na dzień coraz poważniejsze: na początku tygodnia media na Podkarpaciu piszą o podtopieniach i zalanych piwnicach, w środę na dobre zaczyna się powódź. Zaraz za falą, w miejsca, w których puściły wały, uderzają politycy.

Premier Mateusz Morawiecki, w wojskowej kurtce z białą-czerwoną naszywką na ramieniu, wysłuchuje poszkodowanych w Izbiskach. Beata Szydło i Joachim Brudziński ogłaszają, że zawieszają kampanię i też jadą na południe. Odwołują spotkania jako kandydaci na europosłów, ale już jako wicepremier Szydło i minister Brudziński pozują do zdjęć z zasepionymi minami.

Schetyna na konwencji Koalicji Obywatelskiej w Chorzowie wykorzystuje okazję do wrzucenia kilku złośliwości pod adresem polityków pis-u. Ale już następnego dnia osobiście jedzie do dotkniętej powodzią Kazimierzy Wielkiej. Przewodniczący PO ściska rękę burmistrzowi i zapewnia, razem z prezydentami Warszawy i Kielc, że zaangażuje się w pomoc poszkodowanym. Z lokalną kandydatką Koalicji Europejskiej zdąży nagrać film: kilka standardowych słów poparcia, on w garniturze, ona w garsonce, a za plecami obojga tereny zalewowe. Zaraz po publikacji film wycofano, bo zaczął tonąć pod falą krytycznych wpisów.

Do ciszy wyborczej pozostaje kilka godzin. Z przewidywań meteorologów wynika, że fala kulminacyjna na Wiśle ma przejść przez województwo świętokrzyskie w nocy z soboty na niedzielę. Wicepremier Szydło piątek spędza w Zawichoście, kilkanaście kilometrów od Sandomierza. W towarzystwie wąsatych strażaków i ministra obrony narodowej chodzi po wałach i zapewnia, że wszystko jest pod kontrolą.

Przyjeżdżam do Zawichostu dzień później. Parkuję w miejscu, w którym finiszowała zawieszona kampania wyborcza. W sobotę, dzień przed wyborami, cisza i spokój. Słońce odbija się smętnie od drewnianej elewacji budynku u zbiegu dwóch dróg wojewódzkich. Kawałek trawnika, otoczony

chodnikiem z kostki Bauma i wbitym pośrodku drogowskazem, to dawny zawichojski rynek.

Na pierwszy rzut oka ani śladu powodzi. Deski, którymi jest obity dom, trochę wilgotne od deszczu, ale jeśli słońce wciąż będzie grzać jak teraz, to jeszcze dzisiaj zupełnie wyschną. Kilkaset metrów od dawnego rynku płynie Wisła. Wystarczy zejść drogą w dół i stanąć na brzegu, żeby mieć w zasięgu wzroku trzy województwa: pod stopami świętokrzyskie, przed oczami lubelskie, a lekko na prawo podkarpackie. Przynajmniej tak mówi starszy gość we flanelowej koszuli, którego wybudziłem z drzemki na schodach pod drewnianą chatką.

– Ale dzisiaj pan możesz nie zobaczyć, bo rzeka wylała i prom nie pływa nawet – mówi.

Na dole kilka smutnych worków z piaskiem broni wejścia do restauracji. Siłą woli wspierają je gapie zapatrzeni w brudną wodę. Rzeczywiście, Wisła wylała, przykrywając przystań i drogę dojazdową do promu. Płynie poza korytem, choć daleko jej jeszcze do powodzi tysiąclecia. Wie to chłop na romecie, który robi zdjęcia komórką, wiedzą ojciec z synem na spacerze, wie też ekipa lokalnego oddziału TVP, rozstawiająca się z kamerą na tle rzeki.

– Panowie, te kilka worków to cała akcja przeciwpowodziowa? – pytam.

– Nie, nie. Tutaj po prostu ładniejszy obrazek mamy na Wisłę. Jak pojedziesz w stronę Sandomierza, to tam, po lewej, żołnierze umacniają wały – tłumaczy mi dziennikarz.

Łopaty rytmicznie uderzają o kupę piachu. Kilkunastu żołnierzy amatorów ładuje go w białe worki, które później ładują na przyczepce. Słońce grzeje bez litości, ale oni twardo trzymają się pełnego umundurowania.

– Normalnie to byśmy im pozwolili zrzucić to wszystko, niech oni sobie nawet z gołą klatą to ładują. Ale co ja będę tłumaczył, cały czas przyjeżdża jakaś telewizja, gazety, fotoreporterzy, to musi wszystko porządnie na zdjęciach wyglądać – mówi mi na odchodnym starszy stopniem żołnierz zawodowy. Takich jak on jest tu zaledwie kilku, reszta to rekruci Wojsk Obrony Terytorialnej.

– O nas to nie ma co pisać. Zabezpieczamy wał, żeby woda nie wylała. Tyle. Zawichost to jest temat. Słyszałeś o Tarzanie? – ubiega moje pytania jeden z terytorialsów odpoczywający u szczytu wału.

Nie mam pojęcia, o co chodzi. Żołnierz jest wyjątkowo poważny, więc postanawiam darować sobie strzelanie na oślep, a tym bardziej żarty o małpach.

– Jakim Tarzanie? – bąkam.

– W zasadzie to był to Tarzan – mówi, wypowiadając „rz” po polsku. – Tarzan z Zawichostu. Bohater Wojska Polskiego, żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych, partyzant. Urodził się właśnie tutaj, w tej miejscowości, w której my dzisiaj worki pakujemy. Latał po lasach i robił zasadzki na Niemców. Słynna była zasadzka, kiedy udało mu się z oddziałem odstrzelić generała Waffen-ss...

Widzę, że porucznik lubi opowiadać tę historię. Dobrze się czuje w roli polowego wykładowcy. Spogląda to na mnie, to na rzekę rozlaną poza koryto.

– Wybili mu oddział w Woli Grójeckiej. A jak wybuchło powstanie warszawskie, to pojechał walczyć i tam, na stolicę. Historia na film. Taki o polskim bohaterze. A to jeszcze nie wszystko – dodaje, zupełnie jak Bogusław Wołoszański w *Sensacjach XX wieku*. – Wyleciał do Stanów, do Chicago, i tam go zabili. Kto? Nie wiadomo po dziś dzień.

– A coś z historii najnowszej? Byliście tu wczoraj, jak premier Szydło przyjechała? – podpytuję.

– O polityce to my wolimy nie gadać. My jesteśmy tutaj od robienia, a nie od politykowania – bronią się żołnierze.

Jeden chwytą nerwowo za worek z piachem ułożony na wale i zupełnie bez sensu przenosi go w inne miejsce.

– Ze starostą sobie pan pogadaj. Tam stoi – mówi drugi.

Kilkanaście worków od nas stoi kamera Polsatu na statywie, obok pani redaktor. Przed kamerą trenuje uśmiech pan starosta. Wykorzystuję chwilę na research, czyli odpalam telefon i wklepuję „starosta sandomierski”.

„Echo Dnia Świętokrzyskie” z listopada 2018 roku: *Marcin Piwnik będzie nowym starostą sandomierskim*. Trzy lata wcześniej, na tym samym portalu: *Idzie młodość! Marcin Piwnik nowym szefem PSL w powiecie sandomierskim*. I zdjęcie, wyjątkowo niekorzystne, ale facet na nim podobny do gościa na wałach. Z kolei na Polsatnews.pl starosta jest bohaterem afery: „Zarzut nieumyślnego spowodowania wypadku drogowego usłyszał starosta sandomierski Marcin P., który pod koniec grudnia na przejściu dla pieszych potrafił dwie osoby”^[3]. Do zarzutów się przyznał.

- Panie starosto, wyleje woda czy nie wyleje? – pytam od razu.
- Panie redaktorze, nie wyleje. – Odpowiedź jest pewna i spokojna.

Cześć oficjalną mamy z głowy. Wyłączam dyktafon, chowam go do kieszeni i przysiadamy obok siebie na wałach. Majowe słońce przypieka, sobota, cisza. Żołnierze WOT-u, ci, którzy machali jeszcze przed chwilą rytmicznie łopatami, pokitrali się gdzieś na przerwę do namiotu.

Siedzimy tak i odpoczywamy. Patrzymy na wysoką wodę, która rozlana płynie ślamazarnie, wciąż jeszcze dużo poniżej szczytu wału. Nie przeleje się.

Chlast! Starosta Piwnik trzaska otwartą dłonią o nowiutki biały worek z plastikowych włókien wypchany piaskiem.

- Pan wie, że to bez sensu, prawda? – pyta.

Sprawdza mnie. Nie czaję jeszcze, o co chodzi, ale czuję, że sprawdza.

– Ale co bez sensu, panie starosto? Chyba dobrze, że te worki ładują? Nie przeleje się, nie?

– I tak nie wyleje. Tutaj co roku ta woda wzbiera, podchodzi, a później spływa dalej. Jak robi się niebezpiecznie, to ja mam tu służby, które mi to wszystko są w stanie zabezpieczyć. Profesjonaliści, a nie... Szkoda gadać! – Zrezygnowany ponownie klepie dłonią o prowizoryczne zabezpieczenie.

Psioczy na żołnierzy z WOT-u, bo obawia się, że to jemu przypadnie w udziale przyjemność opłacenia ich pracy. Zarzeka się przede mną, że gdy tylko przyślą mu rachunek, on go odeśle. Wczoraj był na obiedzie z Szydło i powiedział jej, co myśli, więc on się władzy nie boi.

Lubi mówić o sobie, a ja zaczynam lubić te jego przechwałki. Starosta ma cinkciarski urok: jednego zbeszta, drugiego pochwali, całość podleje sosem lokalnego znawcy. Robi wrażenie, jakby znał wszystko i wszystkich. Lecz gdy pytam o Koalicję Europejską, trochę się usztywnia i zdradza tym, że nie jest fanem przymierza pod wodzą Platformy Obywatelskiej. Ale jest lojalny i nie powie tego wprost.

– Panie starosto, gdzie tu można zjeść coś dobrego? – pytam, a tak naprawdę próbuję wprosić się na obiad.

Piwnik puszcza do mnie oko, wyciąga telefon i dzwoni.

– Cześć, słuchaj, podjedzie do ciebie zaraz redaktor, książkę pisze. Jadłeś obiad? No to razem zjecie – kończy zadowolony. – No, załatwiłem panu obiad z burmistrzem Sandomierza. Ja nie mogę, bo te wały jeszcze obejrzeć muszę, ale pan niech jedzie.

Purpurowe obrusy zdobione haftem, ciężkie drewniane krzesła z aksamitnym obiciem. Z sufitu zwisają fantazyjnie powyręcane żyrandole, na blatach sztuczne kwiaty i serwety. Wisienką na torcie jest drewniany parawan, którym można odгородzić VIP-owski stolik od reszty lokalu. Restaurację Staromiejską na sandomierskim rynku urządzono w moim ulubionym stylu scenografii gangsterskich knajp z *Ekstradycji*. Obok burmistrza spokojnie mogliby siedzieć Jurij Ałgarski i komisarz Halski. W menu kuchnia polsko-universalna, schabowy i pizza.

– Dla mnie to, co dla pana burmistrza – zamawiam bezpiecznie, nie siląc się na eksperyment. Schabowy, ziemniaczki, surówka i pomidorowa z makaronem.

Burmistrz nie jest szczególnie zaangażowany w kampanię. Swoją miał kilka miesięcy wcześniej i na kilka lat mu wystarczy. Jeszcze pamięta, jak jeździł busem i namawiał ludzi do głosowania. Startował z poparciem Platformy Obywatelskiej, ale nie z Platformy, podkreśla. Też narzeka na WOT, ale nie z takim zaangażowaniem, jak starosta. Robi sobie tylko podśmiejchujki, że amatorskie wojsko jakieś drony powyciągało i się nimi bawi.

– Dzisiaj w nocy ma być podobno kulminacja fali powodziowej. Gotowi jesteście? – pytam.

– Spokojnie. Nic się nam nie stanie. Cisza i spokój – zapewnia mnie, kończąc posiłek.

Jadąc na ten polski obiad, widziałem wprawdzie, że brudna brązowa breja, jaką jest teraz Wisła, zalała dyskotekę nad brzegiem, ale miejscowi mówią, że to normalka. Ten budynek zalewany jest regularnie, więc wszyscy zdążyli się przyzwyczaić.

Wygrana na wyjeździe

Przed wejściem na Nowogrodzką najarane jak w budzie do palenia na lotnisku. Do końca ciszy wyborczej dobre dwie godziny, ale na dole już trwają przechwałki, kto ma lepsze źródło w sprawie wyników. Wiarygodne przecieki pojawią się później.

Ilekcroć tu jestem, zastanawiam się, jak wielu zagorzałych przeciwników pis-u wyobraża sobie siedzibę partii rządzącej na wzór willi Janukowycza – ze zdobionymi fotelami *à la* Napoleon III, drewnem i złotem. Nawet twórcy *Ucha Prezesa*, satyrycznego serialu obśmiewającego Kaczyńskiego i jego wiernych sługusów, dali się ponieść podobnej fantazji i usadzili swojego bohatera za masywnym mahoniowym biurkiem.

W rzeczywistości Nowogrodzka, centrum zarządzania Polską – a według rezydentów zapewne światem – to najnudniejsza scenografia politycznych dramatów, jaką można sobie wyobrazić. W tym samym budynku kiedyś mieściła się restauracja Gobi, oferująca specjały kuchni mongolskiej i bilard. Klatka schodowa, która prowadzi do biur Prawa i Sprawiedliwości, to zapyziały relikw architekury wnątrz spod znaku „osiedlowa przychodnia zapomniana przez Boga i ludzi”. Przy wejściu do sali konferencyjnej portret Lecha i Marii Kaczyńskich, a pod sufitem Jezus Chrystus, rozpięty na niedużym krzyżyku. Zaraz obok Orzeł Biały w złotej koronie na czerwonym polu.

Przed rozpoczęciem wieczoru wyborczego lepiej naoddychać się na zapas, bo chwilę przed startem telewizyjnych transmisji klimat robi się iście saunowy. Dziennikarzy od partyjnego aktywu oddziela biało-czerwona taśma z plastiku. Podwyższenie jest szczelnie zastawione statywami i minidrabinkami przytuszczonymi przez fotografów.

Przysiadam sobie pod schodami i czekam, kiedy się zacznie.

Pot leje się po dupie, aż miło. Dziennikarze z telewizorów wachlują się notatkami, ratując makijaż spływający po czołach.

Piętnaście minut przed końcem ciszy dostaję esemesa od kolegi z dobrze poinformowanej redakcji: „Kaczka rozjechał, i to nie na swoim boisku, bo to przecież eurowybory”.

W studiach telewizyjnych słupki poparcia jeszcze nie wypełniły się kolorami. Prowadzący odliczają czas do ogłoszenia wyników, ale na Nowogrodzkiej wszyscy już je znają. Posłowie za biało-czerwoną taśmą przestępują z nogi na nogę, spocone dłonie wycierają o nogawki, próbują powstrzymać emocje. A my czekamy, aż pracownicy biura zerwą plastik i wpuszczą nas pod scenę.

Dramaturgię psuje nieco sam prezes, który wyrwał się do przemówienia na dobrych kilkadziesiąt sekund przed ogłoszeniem *exit poll*. Posłowie nie wytrzymują.

– Zwy-cię-ży-my! Zwy-cię-ży-my! Zwy-cię-ży-my! – zakrzykują Kaczyńskiego.

Koniec ciszy wyborczej. Szacunkowe wyniki: PiS 42,4; KE 39,1; Wiosna 6,6; Konfederacja 6,1; Kukiz'15 4,1; Lewica Razem 1,3 procent.

Biało-czerwona taśma leci w dół, tłum dziennikarzy wlewa się między posłów. Podnoszę głowę i widzę radość z bliska. Ma twarz Stanisława Piotrowicza, który rzuca się, żeby mnie wyściskać. Na szczęście nie dostaję ciumka.

Ta radość wybucha tylko na chwilę. Dziennikarzom udaje się jeszcze skorzystać z uniesienia i nagrać kilka wywiadów na gorąco. Trwa safari, moment, żeby na kilkudziesięciu metrach kwadratowych pod sceną zapolować na wypowiedź pierwszoligowców z obozu władzy. Przez te kilka minut nie ma znaczenia redakcyjna kostka przy mikrofonie. Politycy nie mają gdzie uciec i upojeni wygraną odpowiadają na pytania.

Gdy podniecenie opada, do wszystkich na Nowogrodzkiej dociera, że to zaledwie rozgrzewka przed wyborami parlamentarnymi. Prezesa nie ma nawet w sali wśród świętujących zwycięstwo – zaraz po przemówieniu czmychnął za ściankę i schował się w swoim gabinecie. Uradowanym działaczom zostawił przypomnienie, że „bój o przyszłość naszej ojczyzny rozstrzygnie się na jesieni”.

Czy PiS już wtedy miał plan, jak wygrać kolejne wybory? Tuż po wieczorze na Nowogrodzkiej nic na to nie wskazywało. Zwłaszcza że w kampanii, która właśnie się zakończyła, ekipa Kaczyńskiego postawiła na swoje złote przeboje.

„Zabiorą! Zabiorą to, co myśmy dali!” Do tego jednego zdania, a w zasadzie groźby, można sprowadzić przekaz ostatnich kilku tygodni. Wyborcy mieli uwierzyć, że przy urnach zdecydują, czy utrzymany zostanie program 500+. I uwierzyli, nieszczególnie przejmując się tym, że

głosowanie dotyczyło europarlamentu, który nie ma w sprawie 500+ nic do gadania.

Jarosław Kaczyński chciał jednak, żeby uwierzyli w coś jeszcze. Kiedy wchodził na scenę, przekonywał, że tu i teraz, w Polsce, trwa wojna cywilizacji. Że zło walczy z dobrem. Siły światła Zjednoczonej Prawicy sprzymierzyły się przeciwko siłom ciemności opozycji. Tyle że w tej wojennej wizji, którą roztaczał, brakowało wyraźnego wroga. Kogoś konkretnego, kto mógłby posłużyć jako uosobienie śmiertelnego zagrożenia.

Prezes rzucał coś enigmatycznie o „ofensywie lewactwa”, ale na nikogo nie wskazywał z nazwiska. Antybohaterem jego przemówień na chwilę został Leszek Jażdżewski, redaktor naczelny „Liberte!”. Zasłużył sobie na ten wątpliwy zaszczyt, wygłaszając antyklerykalną przemowę podczas wizyty Donalda Tuska na Uniwersytecie Warszawskim. Grzało to może kilka dni, i tak długo jak na historię o tym, że dziennikarz niszowego pisma powiedział pod adresem hierarchów kościelnych kilka przykrych słów.

Żeby wzniecić lęki, które będą płonąć i rozgrzewać wyborców do walki o zwycięstwo w „boju o przyszłość ojczyzny”, potrzebny był inny wróg.

Część II

Przepowiednia pułkownika Leonarda

Na liście gości jest podobno cztery i pół tysiąca osób. Urzędnicy, dziennikarze, eksperci, związkowcy i politycy wbici w garnitury, garsonki i suknie będą pomykać po katowickim Spodku przez trzy dni konferencji pis-u „Myśląc Polska”. Oficjalnie to trzy dni wytężonej pracy nad programem partii, który zostanie ogłoszony kilka miesięcy później. W rzeczywistości okazja, żeby w jedno miejsce ściągnąć wszystkich, którzy robią w tak zwanej dobrej zmianie. A zupełnie nieoficjalnie – ostatnia prosta przed ustaleniem najważniejszych pozycji na listach wyborczych.

Tu nie ma na korytarzach randomowych ludzi, których spotykam zazwyczaj na pisowskich wiecach: gorliwców z portretem Kaczyńskiego czy zawodowych hejterów Tuska. Tylko kilkoro wariatów lata przed wejściem ze starymi komórkami, polując na selfie z prezesem, ministrami i Macierewiczem. Katowicka konferencja to impreza, na którą zjechała partia. To znaczy: nie każdy, kto tu przyjechał, formalnie do niej należy, ale z partii na pewno korzysta, bo jest na przykład lobbystą branży monitoringu i pragnie pocierać się o decydentów z MSWiA. Bo wyprodukował za publiczny hajs powstańczy film w wirtualnej rzeczywistości i chwali się nim w hallu. Albo jest gwiazdą państwowej telewizji, spółki Skarbu Państwa czy innej specjalnej strefy ekonomicznej.

Mieleć jakieś paskudnie przecukrzone ciasto wystawione w pokoiku dla mediów. Za chwilę na scenę wyjdzie konferansjer, żeby zagrzewać dystyngowany tłum do politycznych uniesień. Krzyknie coś, że trzeba „myśleć Polska”, bo to najważniejsze, co można myśleć, a przy okazji hasło przewodnie wydarzenia. Ale najpierw walnie mnie po nosie Bond. Bynajmniej nie James Bond, agent Jej Królewskiej Mości, tylko perfumy marki Bond. Ciężkie i duszne, jakby w parny dzień mordę wsadzić w kwitnący kwiat.

– Przepraszam, przepraszam. Ale się zmachałem, proszę pana, bo mnie córka zamknęła w mieszkaniu. Na balkonie. To znaczy nie tak po złości czy coś. – Starszy łysiejący mężczyzna z siwą zaczeską się śmieje. Musiał pędzić na złamanie karku, bo aż z niego paruje. Na koszuli rozrastają się ciemne plamy potu, co podbija jeszcze woń perfum. – Nie po złości, tylko

takie drzwi mamy, że jak się trzaśnie, to później trudno otworzyć. Zresztą już sam nie wiem, może tylko tak mówiła, a tak naprawdę to nie chciała, żebym poszedł? Bo wie pan, ona wcale nie jest jakoś za pis-em – kontynuuje, nie czekając na moją odpowiedź.

Odruchowe kiwanie głową i pomruk zrozumienia na razie mu wystarczają.

– A pan za pis-em, tak? – Udaje mi się wciąć.

– No tak, pewnie, że tak. Leonard jestem, pułkownik Leonard. – Nie tylko pachnie Bondem, ale i przedstawia się jak Bond. James Bond. – Mamy chyba trochę czasu, to panu powiem coś, bo widzę, że pan jeszcze młody jesteś. Jestem emerytowanym żołnierzem. Całe życie byłem żołnierzem. Ale nigdy nie wstąpiłem do partii, to znaczy do tej partii, wiesz pan której, PZPR. Nie żebym był z tego jakoś dumny, ale tutaj, na tych krzesłach przed nami, siedzą moi koledzy, co byli i w wojsku, i w partii.

– A to ciekawe. Bo myślałem, że pis to taka partia, co tak raczej spod byka patrzy na ludzi z PZPR. Przynajmniej tak się przedstawia. Nie zgodzi się pan? – Trafiam w pauzę w żołnierskim słowotoku pułkownika Leonarda.

– Może i tak opowiadają. Przy tych emeryturach grzebali... Ale ja panu powiem tak: niech mi pan wierzy, moi koledzy tu siedzą i w partii byli. A ja nie byłem. I żałuję.

– Czego pan żałuje? – pytam zaciekawiony.

– No, że nie byłem w partii. Żałuję, bo wie pan, może bym i wyżej zaszedł. Pewnie tak. Jednego się w życiu nauczyłem: w partii lepiej być, niż nie być. Dlatego się na starość zapisałem do pis-u. I córce też mówię, żeby się zapisywała, nie ścirowała. Ona jest prawniczka, to tym bardziej się jej przyda. Pan się też zapisz – namawia mnie pułkownik.

– Po co mi to? Politykę to chyba lepiej na dystans trzymać. – Zbijam nieoczekiwaną sugestię bzdurnym kocopołem.

– Też tak myślałem. Ale później zmądrzałem. A pan możesz zmądrzeć już teraz. pis będzie rządził jeszcze szesnaście lat. Teraz już rządzi cztery, później kolejne cztery, a później jeszcze dwa razy po cztery. – Przepowiednia pada z taką pewnością, jakby mój rozmówca podawał wzór na pole trapezu.

Cztery plus cztery i dwa razy cztery to bez wątpienia szesnaście, ale jak to pułkownik wyliczył, już się nie dowiem. Lasery poszły w ruch,

z głośników piznął bas, na scenę wkroczył konferansjer zawodzący jak komentator bokserski.

Konferencję programową czas zacząć!

Nieszczególnie porywające to wydarzenie. Kilkuset garniturowców słucha okrągłych, wygładzonych wypowiedzi polityków, którzy gadają sami ze sobą. Idę się przejść po korytarzach.

W kubiku, takim z pięć metrów na pięć, siedzi trzech facetów z okularami VR nasuniętymi na oczy i słuchawkami na uszach. Kręcą się na biurowych fotelach. Za nimi rozciąga się obita tkaniną ścianka z dwojgiem aktorów w strojach powstańczych, mknących przez kanał.

– *Kartka z powstania*. Film w wirtualnej rzeczywistości wyprodukowany przy wsparciu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Zapraszam pana, trwa zaledwie kilkanaście minut, ale wrażenia pozostają na zawsze – zachęca mnie wyraźnie podniecony promotor dzieła.

Nie wiem, czy to zachęta, czy groźba, że powstanie w VR zostanie ze mną na całe życie, ale siadam.

Powstaniec, czyli ja (bo to wirtualna rzeczywistość), otwiera oczy. Jestem w kanale i budzi mnie sanitariuszka. Odpicowana, w wykrochmalonej koszuli, jakby szła ze święconką do kościoła, a nie walczyła o życie w zalepionych gównem rurach. Oprócz mnie i sanitariuszki jeszcze dwóch powstańców. I jak to chłopaki wojaki jajcuja sobie, że mnie – też powstańcowi – wpadła w oko sanitariuszka, he, he. Dziewczyna z kolei trzepoce rzęsami i wdzięczy się do mnie, ledwie żywego. Do końca jeszcze kilkanaście minut. Jak to się będzie rozwijać w takim tempie, myślę, to zaraz zacznie się jakiś VR *peep show*, podczas gdy ja w przedpokoju pisowskiej konwencji kompletnie nie wiem, co się dzieje w realu. Na szczęście scenariusz spuszcza trochę z klimatu porno i zaczyna się łubu-dubu: Niemcy strzelają, biją, obtańcowują i gwałcą polskie kobiety. Moja ekipa heroicznie walczy, rzuca granatami, strzela z karabinów i podpala kałuże pełne benzyny. Bum! Dostaję postrzał w samo serce. Padam, ale żyję. Bo na piersi mam kartkę z powstania. Zapisek z modlitwą.

Ściągam gogle. Podniecony producent już przy mnie stoi.

– I jak? I jak? Robi wrażenie, prawda? – mówi jak nakręcony. Jakby sam wyszedł właśnie z powstańczego kanału.

– No, robi wrażenie. Dobrze powiedziane – powtarzam.

Nawet nie kłamię. On też nie kłamał. Zapamiętam ten powstańczy pornos na całe życie.

Reszta kongresowych wydarzeń nie jest już tak emocjonująca. Pełno dłużących się dyskusji w małych salkach, w których zwolennicy PiS-u rywalizują ze zwolennikami PiS-u o to, kto bardziej nie znosi elit III RP. W kuluarach też ciągle to samo: dziennikarka „Wyborczej” z reporterem TVN24 latają za politykami Prawa i Sprawiedliwości, zadając pytania uciekającym plecom. A później podniecają się w pokoiku dla prasy, że zdobyli zajebiste ujęcia władzy, która boi się mediów. Chociaż kiedy mieli ich na widelcu i rzeczywiście mogli sensownie przyszpilić, pytali o tweety Donalda Tuska.

Telewizja Polska zorganizowała w Spodku własne studio. Przewijają się przez nie w ciągu kilku dni publicyści prawicowych tygodników i gazet. Komplementują rządy Morawieckiego, rozpływają się nad geniuszem politycznym Kaczyńskiego, robią sobie jaja z opozycji. W takim formacie nie może zabraknąć Adriana Stankowskiego z „Gazety Polskiej Codziennie”. To absolutny numer jeden wśród dyżurnych ekspertów TVP. Gotów podzielić się opinią na dosłownie każdy temat.

Zawsze kiedy odwiedzałem *Studio Polska*, czekało na niego miejsce w pierwszym rzędzie. W katowickim Spodku robi to samo co tam: krytykuje opozycję, chwali Zjednoczoną Prawicę. Szczyt popularności osiągnie za rok – w trakcie dwóch miesięcy kampanii prezydenckiej wydawcy głównych *Wiadomości* będą wykorzystywać opinie Stankowskiego niemal każdego dnia. Zakres ogarnianych przez niego tematów jest iście renesansowy. Polityka krajowa? Międzynarodowa? Samorządowa? Rolnictwo? Migracje? Przestępstwa seksualne? Proszę bardzo!

Większość biurek w press roomie okupują reporterzy agencyjni. To chyba najbardziej niewdzięczna robota w branży – siedzenie od rana do nocy i klejenie depesz z każdego pustostowania, które dobywa się z ust ministrów, wicepremierów, posłów, prezesa.

– Dobrze wiedzą w redakcji, że tu nie będzie żadnego newsa. To partyjna impreza, na której nikt się nie wychyla, bo układają listy. Ale jak pan minister coś mówi, to trzeba zrobić z tego depeszkę – żali mi się na szlugu jeden z nich.

Ostatniego dnia, zmaltretowany nudą, przycupnąłem przy stoliku z rolnikami. Rozpoznałem, po zielonej wpince „Solidarności” w klapach,

logo związku zawodowego rolników indywidualnych.

– I jak, panowie? Co myślicie o tym kongresie?

– Ja ich znam. Wie pan, ja ich całe życie znam. Pamiętam, jak jeszcze nie byli tacy wyelegantowani wszyscy – mówi pan Marek. Jednym okiem zerka na mnie, drugim wyłapuje ważniaków, z którymi każe robić sobie zdjęcia. Robię, co mi szkodzi. Najbardziej zadowolony jest ze zdjęcia z Mariuszem Błaszczakiem. – Ale powiem panu, słabo to widzę. Wiesz pan, jak oni wyglądają? – Wzdycha, zmęczony polowaniem na foty.

Wyelegantowani. Dźwięczy mi w głowie słowo, którego użył na wstępie. Ma rację. Garnitury dopasowane, dobrze skrojone. Widać, że to nie byle szajs ściągnięty z wieszaka w galerii handlowej, ale porządna krawiecka robota.

Garsonki też niczego sobie, chociaż żadna nie może mierzyć się z kreacjami Joanny Lichockiej. Ta zabrała na te trzy dni kilka balowych sukni. Niegdyś dziennikarka, później posłanka p-is-u i członkini Rady Mediów Narodowych. Zanim została zawodową polityczką, kręciła pochwalne filmy na cześć Lecha Kaczyńskiego i udzielała się publicystycznie w „DoReczy” i „Gazecie Polskiej”. Po korytarzach Spodka przemyka roześmiana, zadowolona, dumna. Burgundowa kreacja z lejącego się materiału nadaje jej gwiazdorski look.

– I co? Przypatrzyłeś się pan już? Wiesz dobrze, jak oni wyglądają? – męczy mnie pan Marek.

– No dobra, jak Platforma. Wyglądają jak z Platformy Obywatelskiej. O to panu chodzi? – mówię w końcu.

– O to, to! – Klaszcze zadowolony. – Władza, mówię panu, władza im do głowy uderza powoli. Nie widzą już człowieka. Albo jak jeszcze widzą, to zaraz przestaną – wyrokuje.

Nie sposób mu zaprzeczyć.

Dochodzę do wniosku, że dawno nie byłem w miejscu, w którym wszyscy są tak zgodnie zadowoleni. Bo też jest się z czego cieszyć – właśnie wygrali wybory do Parlamentu Europejskiego z przytupem, który zaskoczył ich samych. W Spodku mają swoich szefów spółek Skarbu Państwa, swoje media, swoje think tanki. Fantazja o nowych elitach, o której wprost, mniej lub bardziej, mówią prezes Kaczyński i premier Morawiecki, tutaj staje się ciałem.

Wielki żółty kaczor

– Prawo i Sprawiedliwość jest kilka kroków przed opozycją. Raz, dwa, tak? Mhm, rozumiem. Prawo i Sprawiedliwość jest kilka kroków przed opozycją – powtarza Miłosz Kłeczek, dziennikarz TVP.

Wysoki, dobrze zbudowany facet z przyszyżoną brodą gimnastykuje szczękę przed wejściem na antenę. Zaraz będzie na żywo relacjonować konferencję pis-u z Nowogrodzkiej. Najpierw powie, że Prawo i Sprawiedliwość jest kilka kroków przed opozycją, później przypomni, że Prawo i Sprawiedliwość jest kilka kroków przed opozycją, a na koniec, dla pewności, poprawi tym samym.

– Prawo i Sprawiedliwość jest kilka... – powtarza do kamery.

Jest jednym z bulterierów nowej TVP, zasłynął dojeżdżaniem Rafała Trzaskowskiego. Bohaterem internetu został, kiedy powiedział prezydentowi Warszawy, że ten „nie jest wart rozmowy”.

Na scenę na Nowogrodzkiej wkracza samotnie Jarosław Kaczyński. Aparaty trzaskają, ale prezes nie marnuje oddechu i od razu przechodzi do prezentacji.

– Okręg numer jeden: Adam Lipiński, okręg numer dwa: Michał Dworczyk, okręg... – recytuje beznamyślnie. Tylko przy swoim okręgu, w którym oczywiście jest jedynką, podnosi wzrok i uśmiecha się półgębkiem. – Okręg numer czterdzieści jeden: Marek Gróbarczyk. – Pada ostatnie nazwisko, a prezes chowa się za ścianką.

Na scenie zmienia go rzeczniczka partii Anita Czerwińska. Bywalcom miesięcznic smoleńskich nie trzeba jej przedstawiać.

– Bez niej nie byłoby tu miesięcznic, nie byłoby pewnie i rocznic, a przecież podejmuje wiele innych działań. Pani Anito, z całego serca dziękuję – mówił o niej Kaczyński w 2015 roku.

Niemal każdego miesiąca mogła liczyć na jego ciepłe słowa.

Od 2006 roku kieruje warszawskim klubem „Gazety Polskiej”. Wcześniej pracowała w korporacjach, między innymi w HBO. W 2010 roku wyrosła na czołową obrończynię krzyża na Krakowskim Przedmieściu.

„Kapłanka kościoła smoleńskiego” – tak pisała o niej „Gazeta Wyborcza” w kwietniu 2015 roku. Z tekstu autorstwa Iwony Szpali wynika,

że zadaniem Czerwińskiej podczas miesięcznic jest dbałość głównie o to, żeby znicze płonęły równo, i wdawanie się w pyskówki z krytykami Macierewicza. Rok po pamiętnej katastrofie startuje w wyborach, z marnym skutkiem. Nie uzyskuje mandatu. Wyborczego szczęścia próbuje ponownie w wyborach do europarlamentu w 2014 roku, również bez efektu. Dopiero w wyborach samorządowych w tym samym roku udaje się jej zostać radną. Rok później po raz pierwszy wchodzi do Sejmu.

Teraz stoi przed dziennikarzami i odpowiada na pytania, które najchętniej zadaliby prezesowi.

– Dlaczego Gowin nie dostał jedyńki?

– Czy to znak, że stosunki na linii prezes Kaczyński–minister Gowin się ochładzają?

– Dlaczego premier Morawiecki startuje z Katowic?

– Co ma wspólnego z tym regionem?

Pytania jak pytania. Zadawane bez szczególnej bucerki. Czerwińska odburkuje, że jest, jak jest, bo tak jest, i w ślad za prezesem czmycha za przepierzenie. Dziennikarze zmieszani, bo odpowiedzi jak nie było, tak nie ma.

Nie mam pojęcia, czy to już koniec, czy jeszcze ktoś wyjdzie z nami pogadać. Nikt się nie zawija, więc ja też przechadzam się z kolegą fotografem po sali.

– Pssst, pssst! Chodź, chodź, zobacz! – szepce kolega.

Wtedy widzę go po raz pierwszy: wielki, żółty, włochaty siedzi smutny za zasłoną, w stercie paczek obłożonych szarym papierem (szarym tylko z nazwy, bo tak naprawdę beżowym). Kaczor. Z łbem prawie tak dużym jak tułów. To znaczy: kaczor maskotka.

Oglądam pluszowego giganta, ale słyszę, że w sali znów poruszenie.

– Jutro w gminie Gózd odbędzie się pierwszy piknik przedwyborczy. Serdecznie wszystkich na niego zapraszam – ogłasza Jarosław Kaczyński.

* * *

W Wikipedii o wsi Kuczki-Kolonia wiszą trzy linijki tekstu. Najważniejsza informacja: „Znajduje się tam Szkoła Publiczna im. Jana Pawła II”.

Wszystko się zgadza. Okazały otynkowany budynek, z elementami elewacji z płytki udającej cegłę.

Dziki parking przed szkołą zapełnia się powoli. Obok czarnej audicy z alufelgami ktoś zaparkował przyczepkę z dzwonem smoleńskim.

Metalowa konstrukcja, starannie przykryta eleganckim czerwonym sukniem, na niej drewniany stelaż, cztery biało-czerwone flagi i dzwon. „Smoleński” to w zasadzie jego przydomek, bo oficjalnie imię brzmi Wacław.

W HOŁDZIE POLEGŁYM ZA OJCZYZNĘ 10 KWIETNIA 2010 R. POD SMOLEŃSKIEM – stoi jak byk na płaszczu.

Na parkingu przed zespołem szkół imienia papieża Polaka dzwon Wacław wygląda, jakby wreszcie znalazł swoje miejsce. Nikt go nie niepokoi. Użytkownicy placyku rozjeżdżają tylko słabo ubitą ziemię swoimi golfami, skodzinami czy audicami, co bogatsi SUV-ami, i nie zważając na Wacława, pędzą na dziedziniec.

Och, czego tu nie ma! Miejscowe żuliki w wymiętolonych czapkach z logo Chicago Bulls przebijają nogami przy grillu. Lokalne jaśniepaństwo w białych garsonkach i błyszczących garniturach przechadza się po królewsku i obściskuje na przywitanie z każdym nobliwie wyglądającym uczestnikiem pikniku. Starsze kobiety w czarnych sukniach i idealnie wyprasowanych białych bluzkach dźwigają wielki gar żuru. Kiedy młoda strażaczka widzi, że ledwie dają radę, rzuca się do pomocy.

Sytuacja opanowana. Dziewczyna poprawia mundur, wyciąga mankiety białej koszuli, tak żeby troszkę tylko wystawały spod ciemnej marynarki. Obserwuje, czy na piknikowym horyzoncie nie czai się żaden kłopot, który mogłaby rozwiązać. Służy w ochotniczej straży, bo jej ojciec też służył. Na akcje jej nie zabierają. Dlaczego?

– Bo to niebezpieczne i raczej dla facetów – mówi to, co wydaje się jej oczywiste. Z lekkim, ledwo zauważalnym wyrzutem, że nie rozumiem.

Jest stąd, ale studiuje w Dęblinie. Wynajmuje pokój, na imprezy czasem chodzi, ale nie tyle, ile koleżanki, które balują co weekend i za mało studiują.

– Chcesz zostać pilotką? – Pytanie wychodzi ze mnie samo.

W galowym mundurze, białej koszuli i pod krawatem dziewczyna wygląda nienagannie. Można byłoby ją obwozić po szkołach i stawiać za wzór młodzieży miast i wsi.

– Nie, no co pan, to odpowiedzialna praca. Pilotem powinien być mężczyzna. Uczę się, żeby zostać stewardesą – słyszę. Ton znowu taki, jakby oznajmiał oczywistość.

Patrzę na rówieśników strażaczki, z którą siedzę pod namiotem. Jeden w drugiego rzucają kulkami ukreconymi z waty cukrowej. Trochę dalej trzech nastolatków drażni alpakę, którą ktoś przyprowadził na piknik.

Główna atrakcja to jedzenie. Gminne koła gospodyń wiejskich dały niezły popis: ciasta, jedno słodsze od drugiego, żur, pierogi, kilogramy wędlin z przydomowych wędzarni. Wszystko za friko. To znaczy wójt obiecał, że zwróci za dojazd i koszty przygotowania, ale jedzenie ma być za darmo. Z typowych piknikowych atrakcji brakuje tylko gorzały. Brakuje, rzecz jasna, oficjalnie, bo w namiotach gospodynie polewają sobie zdrowo. Ile czasu można czekać na sucho, nawet na takiego gościa jak prezes Prawa i Sprawiedliwości?

– Wyglądacie, panie, Kaczyńskiego? – pytam Płaskowskie Raki, koło gospodyń spod Jedlińska.

– A mnie to tam nieszczególnie obchodzi – mówi jedna ze starszych płaskowianek. – Ja to przyjechałam zaśpiewać i tym się stresuję. A nie czy jakiś jeden czy drugi ważniak tu do nas przyjeżdża – zarzeka się hardo.

– Pan nie słucha! – Włącza się gospodyni w okularach, z krzyżykiem na piersi. – One tylko tak mówią, ale proszę powiedzieć, kto by nie chciał zobaczyć pana Kaczyńskiego, tak z bliska, na wyciągnięcie ręki. Ja bym chciała – oświadcza. – Zrobi nam pan zdjęcie ładne z prezesem?

Pewnie, że zrobię. Tyle że poza panią z krzyżykiem nie widzę wielu chętnych. Gospodynie z Płaskowa bardziej niż Adamem Bielanem, parującym z rodziną między alpaka i kiełbasami, czy wygarniturowanym Suskim są zainteresowane same sobą. Mają wystąpić jako support przed prezesem. Przygotowały swój popisowy numer *Życie tu piękne jest*.

Dla kurażu ostatnia kolejczka polana spod stołu i mogą iść za scenę. Pani Basia w kręconych białych loczkach wciąga mnie na *backstage*, za plandekę z napisem „Piknik Rodzinny”, co nieszczególnie podoba się przejętemu ochroniarzowi. Ale ten nie zbiera się w sobie, żeby postawić się pani Basi z Płaskowa.

Gospodynie prawie wbiegają na scenę i jadą *a cappella*:

Dzisiaj czasy się zmieniły i
Myślenie ludzi też.
Teraz moda jest na wioskę, na tą
polską piękną wieś.
Tutaj domy są jak w bajce i
ogrody marzeń też.
To jest nasza odnowiona,
nasza polska wieś.

Oklaski. Wąsatemu facetowi objadającemu się ciastem z bitą śmietaną tak się spodobało, że odstawił talerzyk, żeby wpakować palce do ust i gwizdnąć na całego.

Z rozmów, które przydarzą mi się w następnych tygodniach, wyniknie, że tekst tej przyśpiewki to jednak pobożne życzenia. Zawsze gdy tylko sprzedam się z tym, że przyjechałem z Warszawy, zacznie się lament za szkalowanie wsi. Że ludziom z miasta się wydaje, że na wsi to psy dupami szczekają, każdy doi krowę przed śniadaniem i cały dzień chodzi w uwalanych gnojem gumiakach. „Czasy się zmieniły”, to na pewno, ale na zmiany w „myśleniu ludzi” i „modzie na wieś” chyba trzeba jeszcze poczekać.

Organizator, czyli miglanc w kraciastym garniturze, daje znak gospodyniom, że dziękuje za występ, i prosi o miejsce dla kolejnego zespołu. Ale płaskowianki, jak już weszły na scenę, tak łatwo jej nie oddadzą, więc ignorują miglanca i cisną dalej, inny kawałek. Melodia podobna, typowe oj dyrydy, ale tym razem tekst o jedzeniu.

W kole jest wesoło,
nic nie narzekamy
I nowe pyszności ciągle wymyślamy.
Z tych naszych pyszności
sójeczki wygrały
I perłę powiatu za to otrzymały.

Gdybym nie miał brudnych paluchów od macania alpaki, też bym pewnie teraz wsadził je do gęby, żeby pogwizdać. Płaskowskie zaradne kobitki nie mają poczucia, że muszą komukolwiek się tłumaczyć. Jak chcą, to zaśpiewają sobie dwie piosenki, zrobią flaszkę pod stołem i napiszą tekst o pierogach z ciasta chlebowego z kaszą i burakami.

Cierpliwość miglanca ma jednak swoje granice. A płaskowianki już się naśpiewały, więc zwalniają przestrzeń – pojedzone, popite, pośpiewane.

Na scenę może wejść bohater popołudnia.

Każdy, kto miał zrobić sobie selfie z Adamem Bielanem i Markiem Suskim, już je zrobił. A ludzie oswoili się z wielkim pluszowym kaczoem, który prosto z zaplecza na Nowogrodzkiej trafił na dziedziniec szkoły imienia Jana Pawła II w Kuczkach-Kolonii.

Czas na Kaczyńskiego.

Wita się z gospodyniami, pozuje do zdjęć. Ludzie wiwatują. Stoję tuż pod sceną i czuję, jak tłum kładzie się na mnie. Pozostaje mi się poddać.

Ląduję na deskach kilkadziesiąt centymetrów od przykurzonych butów prezesa. I z przyjemnością zamieniam się w słuch, bo na pewno nie chcę teraz być swoimi zgniecionymi żebrami i podeptanymi stopami.

Po strawie duchowej czas na gospodarskie obejście stanowisk. Tych na dziedzińcu w Kuczkach jest kilkanaście, lekko licząc, do tego po drodze frykasy w postaci waty cukrowej, kiełbasek i karkówki. To pierwszy, na dodatek prekampanijny, piknik, pełno kamer, więc kroczący wśród przybocznych – Radosława Fogla i Joachima Brudzińskiego – Kaczyński nie pomija żadnego miejsca.

Jeśli kiedykolwiek roіło się wam w głowach, żeby zostać politykiem, emerytowanym zbawcą narodu czy po prostu szeregowym posłem, to zastanówcie się dwa razy. Zupka: żur z jajem i chabaniną. Na drugie jakiś bigosik, gołąbek albo pierogi. Na dokładeczkę deserek: murzynek, pijak lub inna karpatka. Jedną ręką musicie coś tam zjeść, drugą dać ludziom do pomacania, a w międzyczasie przekazać niepostrzeżenie wtykane wam talerze pomagierom, żeby nikt się nie obraził. I cała rundka razy kilkanaście.

Na ostatniej prostej Kaczyński jest już ledwo przytomny. Szok wywołany kilkudziesięciodaniowym posiłkiem okazał się potężny. Dieta żurowo-bigosowo-karpatkowa nie bierze jeńców. Gospodynie na ostatnich stanowiskach dostają prezesa przeładowanego cukrem po kokardę.

Ktoś w drodze powrotnej do Warszawy musiał dostać poważną zębę, bo na następnych piknikach gospodarskie obejścia są krótsze. A prezes, jak już nie może, to prosi, żeby zapakować mu na wynos.

VIP-y wsiadły w fury i pojechały. Dobra połowa ludzi na placu nawet się nie zorientowała.

Dzieciaki tańczą do disco polo z głośników. W rękach trzymają płachtę materiału – trójkątne kolorowe płyty zszyte w tęczowe koło. Żuliki wywijają coś na kształt kazaczoka, przerzucając czapeczkę Chicago Bulls z rąk do rąk. Na grillu dopiekają się resztki kiełbas i ścinki z karkówki.

Wiejskie bachanalia: w opór żarcia, przyśpiewek i tańców na szkolnym dziedzińcu z kostki Bauma. Żadnych złych emocji, które już niedługo zdominują kampanię. Kiedy Kaczyński produkował się przy mikrofonie, komplementował miejscowych. Dopiero po powrocie do domu doszukałem się w notatkach, że z ust prezesa padły zdania: „Nie musimy upodabniać się

do tych, którzy są tam, na Zachód. Nie musimy stać pod tęczową flagą, możemy stać pod biało-czerwoną”. Ale w Kuczkach nie wzbudziło to żywej reakcji. Nikt tam tęczowej flagi się nie bał.

Przez całe lato, co tydzień, odbywały się podobne pikniki we wsiach i w miasteczkach. I zawsze z gościem honorowym – premierem Morawieckim albo prezesem Kaczyńskim.

Polityczne wiecowanie w wakacje to zawsze ryzykowny ruch. Ludzie mają już prawo być zmęczeni. Dopiero co zakończył się wyścig do europarlamentu, chwilę wcześniej na płotach wisiały plakaty samorządowców. Ale pis wie, co robi. Na takich imprezach stawia przede wszystkim na dużo dobra nagotowanego przez koła gospodyń, atrakcje dla dzieci i pretekst dla dorosłych, żeby wyjść z domu i się odstawić. Polityczna agitacja jest serwowana dopiero po grillu, kilku rundkach deseru i w wersji *light*, z pluszowym kaczoem.

Pojechałem za Kaczyńskim jeszcze do Zbuczyna, za Siedlce. I na finisz piknikowej trasy, do Stalowej Woli.

* * *

– Ile razy mam ci mówić? W lewo, nie w prawo, ćwoku jeden! – wydiera się brzuchaty strażak na chłopaka w czarnym drelichu z napisem STRAŻ na plecach.

Fakt, młodemu nie poszło. Ze stresu zapomniał, jak właściwie zmontować sikawkę, i jego drużyna straciła szansę na walkę o wygraną. Tyle że od darcia ryja nikt się chyba jeszcze nie przestał stresować. Później widziałem, jak ten młody leży pod wozem strażackim, w jedynym miejscu, w którym znalazł w ten upał trochę cienia.

Start! Sędzia w berecie macha czerwoną chorągiewką.

Dwójka zostaje przy pompie, dwójka montuje wąż i wrzuca go do baseniku z wodą, kolejna dwójka leci przez boisko, rozwija krótkie węże i łączy w jeden długi. Kilkadziesiąt sekund od startu woda strzela strumieniem w biało-czerwone cele. Zaliczone. Strażak trener podskakuje z radości.

Konkurs strażacki w Zbuczynie rozpoczął się z samego rana. Piknik rodzinny pis-u ma wystartować wczesnym popołudniem. Czerwone odpicowane wozy stoją pod sceną, chłopaki dumnie wysiadują na ich dachach i obczajają lokalne laski.

Nie nauczyłem się tam, jak zostać strażakiem, ani nawet jak zmontować wąż, ale dowiedziałem się jednej ważnej prawdy o organizacji takich imprez: jeśli planujecie imprezę na cały powiat, to możecie być pewni, że wszyscy zjadą tam furami. Bo czym? Metrem albo pekaesem, który w weekend nie kursuje wcale, a w tygodniu w kratkę? A jak już zjadą, to muszą mieć gdzie zaparkować, bo inaczej zacznie się rozjeżdżanie okolicznych pól. Jak jest sucho, to umarł w butach (a raczej w kurzu) – każdy wóz to jeden wzniecony tuman, który gdzieś opaść musi. Tuman za tumanem opadał na piknikujących, ich serniki, szarlotki i fantazyjne mięsne jeże.

Na scenie produkują się lokalni działacze, więc idę na tyły pogadać z gospodyniami.

– Blacharza pojedz, to pogadamy – mówi zarobiona kobita.

Przysiadła z tyłu, położyła ścięgę na kolanach. Robi sobie przerwę. Kucam przy niej i wsuwam ziemniaczaną babkę z szynką i cebulą zapieczonymi w środku. Przesolone, przepieprzone, rozmemłane.

Gospodyni się rozwija, że u nich trochę bida, więc komplementuję wyrób, że może i bidny, ale dobry i – szukam słowa – pożywny. Trafiam. Kąciki ust ostrożnie idą na chwilę do góry, w okolice wyrazu twarzy, który można by nazwać uśmiechem. Bo gospodyni rzadko się uśmiecha. Sama mówi, że wcale. Córka jej zginęła w wypadku, syn „nie wyszedł na ludzi”, chłop nie żyje, ale „może to akurat lepiej”. Bardzo się ucieszyła, jak powstało koło gospodyń, bo wreszcie ma powód, żeby z domu wychodzić, a nie siedzieć na tapczanie i gapić się w telewizor. Ogląda głównie TVP.

– A o tych, co tutaj mają zaraz przyjechać, to co pani myśli? O Pis-ie i o Kaczyńskim?

– Jestem za nimi. Mnie 500+ nie dotyczy. Emerytury mam trochę więcej, ale to nie dlatego ja za nimi jestem. Oni nas widzą, szanują. A nie jak te... – mamrocze coś niewyraźnie.

– Kto? – dopytuję.

– No te, belebety. W *Wiadomościach* słyszałam, jak mówią na takie jak ja „stare kurwy pisowskie”.

Przesolony blacharz staje mi w gardle. Przemiła smutna gospodyni nie zawahała się ani przez ułamek sekundy przed wystrzeleniem z siebie tego bluzga. Jakby był czymś zupełnie normalnym, pasującym do sielskiej atmosfery jak chrzan do kiełbasy na stoisku obok.

– Ale kto panią tak nazywa? I to w *Wiadomościach* takie rzeczy puszczają? – Próbuje pojąć. Kątem oka widzę, że do sceny zmierza już Kaczyński, więc trochę cisnę, żeby się dowiedzieć.

– No te belegiety. Te od Biedronia nas tak nazywają. „Stare kurwy pisowskie”. Mówią, że my poumierać musimy. Zobacz pan sobie. W *Wiadomościach* pokazywali – tłumaczy gospodyni.

Już wiem, o co chodzi. Belegiety od Biedronia to oczywiście LGBT, po którym TVP jeździ jak po łysej kobyle już kolejny tydzień.

Później w samochodzie, zanim wklepię dane w GPS i ruszę do domu, wpiszę „stare kurwy pisowskie”. I od razu wyskoczy mi kilka artykułów z Telewizji Republika, Frondy, Niezależnej.pl. Chłopak z ustami umalowanymi na czerwono, policzkami umazanymi w tęczone flagi i czarną peruką na głowie będzie się produkował do kamery TVP na paradzie równości („Czekam, aż stare k***y w końcu wymrą, głosujące na Pis”), młoda partyjna gwardia podłapie temat na Twitterze. Obejrzę sobie wrzucony przez Pawła Szefernakera, byłego szefa młodzieżówki Pis-u, teraz posła, ośmiosekundowy klip z podpisem, że tak wyglądają tolerancja i szacunek. I przeczytam wpis stołecznego radnego Sebastiana Kalety, który posłem zostanie kilka miesięcy po pikniku, o pogardzie „fajnonowoczesnego Polaka LGBT+” i wypominaniu Trzaskowskiemu patronatu nad warszawską paradą. A pani gospodyni, która nie zdradziła mi swojego imienia, zapamiętała sobie, że belegiety od Biedronia jej nienawidzą i życzą jej śmierci.

Kaczyński ze sceny komplementuje wieś i dzieli się swoimi spostrzeżeniami na temat pracy rolników:

– Rolnik zмага się nie tylko z tym, z czym zмага się każdy pracownik, czy to w fabryce, czy w biurze, to znaczy ze swoim warsztatem pracy. On musi się zмагаć także z naturą, która czasem pomaga, a czasem bardzo przeszkadza.

Dostaje od lokalsów brawa i hełm strażacki.

Z takim prezentem nigdy nie wiadomo, co zrobić – zakładać, ryzykując kretyńskie zdjęcie, czy trzymać w ręku albo oddać pomagierowi, co nie zawsze wychodzi wystarczająco uprzejmie. Ale Kaczyński czuje się najwyraźniej wystarczająco dobrze, bo po chwili wrzuca go na głowę. Tył do przodu, ale nikt się nie orientuje. Nieprzychylne Pis-owi media odpuszczają mu ten hełm i będą próbowały pompować fakt, że na oczach dzieci i kamer pił alkohol.

Rzeczywiście, przy pierwszym stanowisku walnął sobie kielicha, ale pijackich burd nie wszczynał.

* * *

– Gratulacje należą się naszemu prezydentowi Lucjuszowi Nadbereźnemu. – Kaczyński z uznaniem kiwa głową w kierunku zadowolonego samorządowca.

O tym puciołowatym facecie z loczkami mówi się „cudowne dziecko pis-u”. Wstąpił do partii w 2006 roku, za pierwszych rządów prezesa. Miał wtedy zaledwie dwadzieścia jeden lat. W tym samym roku zasiadał w Radzie Miasta Stalowej Woli. A przed trzydziestką wystartował w wyborach na prezydenta miasta i wygrał w pierwszej turze. W 2018 roku powtórzył sukces. Jest maskotką Prawa i Sprawiedliwości, bo to żywy dowód na to, że partia przyciąga młodych, zdolnych i ambitnych. Wie, że ma w pis-ie mocną pozycję, więc kiedy Kaczyński na pikniku w Stalowej Woli przekręca jego nazwisko, Nadbereźny nie ma z tym problemu. Ważne, żeby głosujący wiedzieli, jak się nazywa.

Zanim jednak prezes z premierem zaczęli prześcigać się w komplementach pod adresem pisowskiego młodego wilka i Stalowej Woli, trzeba było na nich sporo poczekać. Ostre sierpniowe słońce męczyło, ściekający po starczych skroniach pot nie sprzyjał pokojowemu rozwiązywaniu konfliktów.

- A tu moje miejsce jest, zająłem sobie.
- Co pana, gdzie pana? Daj pan zobaczyć też!
- Trzeba było wcześniej przyjść, tobyś pan oglądał.
- A idź pan!
- A właśnie że ja zostanę, a niech pan sobie idzie!

O co taki bój zaciekle? O miejsce pod płotem, przed szkołą, w której partyjna wierchuszka zrobiła sobie bazę. Gość, który tak zaciekle bronił kawałka ziemi, w końcu sobie poszedł, robiąc miejsce innym spragnionym widoku Marka Kuchcińskiego.

Zaledwie kilka dni wcześniej Kuchciński stał ze zwieszoną głową na Nowogrodzkiej i wysłuchiwał połajanki od prezesa. Po tym, jak Mariusz Gierszewski z Radia Zet dotarł do rejestru lotów marszałka, wybuchła afera. Okazało się, że Kuchciński wykorzystywał rządową flotę powietrzną do prywatnych celów (później udowodniono, że z Warszawy do Rzeszowa

latała również jego rodzina). Okopał się na stanowisku na dobre kilka tygodni, na początku wsparła go partia. Do czasu.

Afera nie gasła, na dodatek była z tych najbardziej toksycznych – seksskandale czy pijackie ekscesy nie są tak szkodliwe dla władzy jak luksus. A najgorszy jest taki luksus, który czytelnik „Faktu”, „Superaka”, „Wyborczej” czy „Rzepy” może łatwo sobie wyobrazić.

Umówmy się, ośmiorniczki, którymi zajadała się Platforma u Sowy, to nie danie leżące poza horyzontem wyobraźni zwykłych śmiertelników. W hipermarkecie, mrożone, stoją za mniej niż stówka za kilogram. Żadna fortuna. Czasem za podobny hajs można kupić bilet na krajowy lot. Wielu wie, jak smakuje ośmiornica i jak szybko leci się z Warszawy do Rzeszowa, ale niewielu może pozwolić sobie na takie wycieczki i wystawne kolacje kilka razy w tygodniu.

Dylemat, czy ugiąć się pod presją liberalnych mediów, czy bronić do upadłego swojaka, który zaczyna robić za zgniłe jajo, PiS w końcu rozstrzyga. Kuchciński karnie kładzie głowę na pieńku.

Ale kampanii nie odpuszcza. Kilka dni później stoi przed szkołą w Stalowej Woli. Ze ściętą głową czy nie, wybory wciąż są do wygrania. Kaczyńskiego z Morawieckim wciąż brak. Każdy czarny wóz na horyzoncie wywołuje nie lada poruszenie.

– To już, to oni?

– Jadą, jadą!

Nie jadą, więc próbuję pogadać z czekającymi o Kuchcińskim. To dobrze, że on tak tutaj paradytuje, skoro nawet Kaczyński zbeształ go kilka dni temu?

Na jedną nóżkę:

– A dobrze. Wie pan, prezes musi czasem zrobić taki ruch, bo wiadomo, że ludzie wszystkiego tak nie rozumieją przecież, ale swoich trzeba bronić.

I na drugą:

– Nie wiem, nie wiem. No, może powinien się trochę schować na jakiś czas, bo ludzie to nie lubią tego. Tak jak z Szydło i tymi nagrodami, co im się należały.

I tak na zmianę. Pół na pół. Nie wiem, czy to piknikowa atmosfera i partyjne emblematy skłaniają do wchodzenia w buty polityków, ale nikt nie mówi mi, że to źle, że Kuchciński wozził rodzinę za publiczne pieniądze. Albo że dobrze, bo jest marszałkiem i ma do tego prawo. Jedyne kryterium to słupki poparcia.

Każde pytanie o politykę sprowadza się do wyborczej kalkulacji. Ale cynizm nie jest domeną zwolenników PiS-u. Tak samo odpowiadają ludzie płaczący ze wzruszenia na widok Tuska w Gdańsku i starsze kobiety z Bielska-Białej mdlejące na widok Biedronia. Albo kalkulujesz, albo jesteś frajerem.

– Bo pan pytał o tego Kuchcińskiego, to ja panu zapomniałem powiedzieć, że to małe miki jest w porównaniu z tym, co Tusek wyprawiał przecież – oznajmia emeryt, z którym zamieniłem przed chwilą kilka słów.

Bermudy, zielona koszulka polo, wędkarski kapelusz. Zabrał na piknik mały aparacik, żeby zrobić sobie zdjęcia ze swoimi idolami. Jedno nawet sam mu zrobiłem: on, szkolny płot i kawałek pleców Kuchcińskiego w oddali.

Emeryt ma siedemdziesiąt lat. W Stalowej Woli się urodził, pracował i tutaj chce umrzeć. Pracował oczywiście w hucie i jak mówi, większego lokalnego patrioty nie znajdę. Co mu ten Tusk zawinił, że aż zdecydował podreptać do mnie przez ulicę?

– Mnie to osobiście nic w szczególności, ale Polskę sprzedał Niemcom. Ja to powiem panu, że jego to powinni ściągnąć do Polski i powiesić publicznie.

Porozumiewawczy uśmiech, jakbyśmy byli kolegami.

– Ale serio by pan chciał, żeby go tutaj, w Stalowej Woli, na scenie wieszać? – Dociera do mnie, że stoję pod parkanem przy szkole, czekam na Kaczyńskiego jak na zbawienie i prowadzę dyskusję o zasadności wieszania Tuska.

– Nie, no co pan? Tak tylko mówię – obrusza się emeryt i drecznie z powrotem na miejsce pod płotem.

Atmosfera w Stalowej Woli jest zupełnie inna niż na wiejskich piknikach sprzed kilku tygodni. W Kuczkach-Kolonii i Zbuczynie ludzie przyszli przede wszystkim, by się pobawić, pojeść i popatrzeć. Oczywiście fakt, że w odwiedziny przyjeżdżają czołowi politycy, miał dla tych, z którymi rozmawiałem, ogromne znaczenie. Ale to, co politycy wygadywali ze sceny, już mniej. Pewnie, że chodziło o to, żeby się dowartościować i pokazać się kilkunastu kamerom ogólnopolskich stacji telewizyjnych. Ale nie było w tym żadnego resentymentu, bluzgu ani wyrzutu.

Kilkunastotysięczny tłum w stalowowolskim parku miejskim przyszedł natomiast na polityczny wiec. Ciasto od gospodyń czy bigos nie interesowały go tak, jak to, co mają do powiedzenia Morawiecki

i Kaczyński. Obaj nie zawodzą: Morawiecki, zagrzebany w budowlano-hutniczych metaforach, w swoim lirycznym stylu przekonuje, że „potrzebujemy Stalowej Woli do przebijania dalej szklanych sufitów”, ale prawdziwy występ tego dnia daje prezes. Idealnie wyczuwający nastroje podbuzowanego tłumu, zachęcony okrzykami, gwizdami i tupaniem, na jednym oddechu mówi o rozbijaniu polskiej rodziny, polskich dzieciach, demoralizowanych i seksualizowanych od przedszkola, i narkotykach.

– Nie pozwolimy na narkotyki, nie pozwolimy na to, aby nasza ojczyzna stała się czymś, co po jakimś czasie będzie przypominało grupę ludzi, którzy nie wiedzą, co czynią – grzmi z wysokości.

On sam tego popołudnia dobrze wie, co czyni. Odpala ludzi pod sceną jak jakiś rockman albo inny newage’owy guru. Żylibyśmy zapewne w lepszym świecie, gdyby sielskie przyśpiewki gospodyń wiejskich o ich peryferyjnej dumie uruchamiały takie pokłady politycznych emocji jak prezesowa wizualizacja znarkotyzowanych gejów, transów i lesbijek molestujących dzieci w przedszkolach. Niestety, żyjemy w tym drugim. A Kaczyński pokazuje w Stalowej Woli, że doskonale wie, jak się w nim gra.

Czas na rajd po stoiskach. Morawiecki je oszczędnie, prezes też na spokojnie, nauczony doświadczeniem z poprzednich pikników. Przekąski, poza tym, że smaczne, wypełniają dość szczelnie jamę ustną i zwalniają gościa honorowego z odpowiedzi na kłopotliwe pytania. Bo przecież nie będzie pluć na ludzi wsadem z krokietów i rurek z kremem. Zawsze można pokiwać głową i skierować się do kogoś, kto posiadał sztukę zadawania pytań mniej kłopotliwych.

Na pewno nie opanowała jej pani, która rozgorączkowana chodzi najpierw za Morawieckim, a później za Kaczyńskim.

– Zeszmacili mnie! Traktują mnie jak gówno! Bo ja jestem za pis-em, a oni nie mogą tego znieść!

I tak w koło Macieju. Na czym owo zeszmacenie polega? I kim są oni?

Pada coś o komendancie policji i Płocku, ale nic konkretnego. Na niezmordowaną krzykaczkę nie działają miękkie zabiegi asystentów premiera, którzy biorą ją na bok, zapisują coś w skupieniu w swoich skórzanych notesach i wręczają pani swoje wizytówki. To zazwyczaj działa, ale nie tym razem. Krzykaczka wciąż krzyczy, aż jednemu z gwardii Kaczyńskiego puszczają nerwy.

– Paszła mi stąd! – warczy Krzysztof Sobolewski, lider pis-u na Podkarpaciu i szef komitetu wykonawczego partii. To on organizuje posiedzenia na Nowogrodzkiej i ma za zadanie trzymać ugrupowanie w ryzach. Wcześniej przez lata zajmował się tym Joachim Brudziński, który nerwy na wodzy trzymał z pewnością lepiej niż jego następca.

Nerwówka udziela się nie tylko światu prezesa. Na drodze Kaczyńskiego do samochodu, a w zasadzie na jej obrzeżach, przystaje mężczyzna w średnim wieku. Smutny, z włosiem przyprószonym siwizną i w spranej koszulce.

– Panie prezesie, a kiedy kilkuosobowa rodzina będzie mogła w Polsce pojechać na wakacje? – pyta bez śladu bojowego nastawienia.

Prezes dosłyszał, ale sprawnie zignorował – odwrócił się szybko do ekipy w ludowych strojach, by zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie. Pytanie dosłyszał też tłumek uczestników pikniku drepzczących za prezesem. Rzucili się na chłopca od wakacji, aż żal było patrzeć.

– A ty co? Nie stać cię na wakacje?

– Pincet plus jest przecież! Bierz rodzinę i jedź!

– Co jeszcze od prezesa chcesz?

Zaczęli ujadać nad biedakiem, który kurczył się w oczach. Wykrztusił z siebie tylko, że on jest za pis-em, a na wakacje naprawdę go nie stać. Przeprosił, że zadał pytanie.

Zagłosuj na tajską boginię z Piły

Na busie nowa okleina.

Twarz Biedronia nie rozciąga się już na całej płaszczyźnie. Lider Wiosny jest teraz jednym z wielu bohaterów na zdjęciu. W realu zdecydowanie mu to służy: nie podskakuje już maniakalnie, nie ściska przechodniów, nie trzaska selfie na wyścigi. Podchodzi do mikrofonu ustawionego na placu Defilad, gdzie razem z Włodzimierzem Czarzastym i Adrianem Zandbergiem inauguruje kampanijny objazd Lewicy po Polsce.

Konferencja trwa zdecydowanie zbyt długo, bo ktoś wpada na pomysł, żeby rozwinąć nazwę Lewica. Literka po literce: L – jak leki i ochrona zdrowia, E – jak ekologia, W – jak wiarygodność, I – czyli inwestycje w przyszłość, C – człowiek, A – ambicje Polek i Polaków. Kolega reporter przewraca oczami przy głośniku i śmieje się do siebie.

– Dobrze, że to jednak nie konfa Sojuszu Lewicy Demokratycznej – pochwali się później żartem, który rozbawił go do łez.

Czas na pytania.

– Dlaczego na listach Sojuszu nie znalazło się miejsce dla Moniki Jaruzelskiej?

To akurat musiało paść. Córka generała i warszawska radna kręci aferę już kolejny tydzień, bo przy układaniu list została pominięta przez kierownictwo Lewicy. Ludzie, o których można napisać, że są z kręgów SLD i uchodzą za dobrze poinformowanych, mówią z przekonaniem, że to akcja Leszka Millera. Podobno boli go, że projekt jego formacji, Wiosny i Razem wziął sobie za patrona Aleksandra Kwaśniewskiego, który nawet dołączył do kampanii na kilka dni. Tymczasem on uważa, że to jemu należy się uznanie i status „męża stanu”. Politycy Razem wciąż jednak nucą pod nosem swoją słynną przyśpiwkę: „Znajdzie się cela dla Leszka Millera”, który na sympatię Czarzastego nie ma co liczyć.

Z rana, przed odjazdem Lewicobusa, afera wokół Jaruzelskiej zatacza kolejny krąg. W wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej” córce generała się ulewa. Robert Mazurek dowiadyuje się, dlaczego, jej zdaniem, wyleciała z listy wyborczej Sojuszu. „Wszyscy twierdzą, że to osobista decyzja Włodzimierza Czarzastego, bo bliższa jego sercu jest Anna Maria

Żukowska. Cóż, panie redaktorze, mężczyźni w kryzysie wieku średniego robią różne rzeczy. Jak widać, każdy Kazimierz ma swoją Izabel”. – Córka generała serwuje niedwuznaczne sugestie o rzekomym romansie rzeczniczki i jej szefa. Zresztą na tak zwanym mieście od dawna słyszy się, że Żukowską i Czarzastego łączy nie tylko stosunek *stricte* zawodowy. Jednak Jaruzelska jako pierwsza mówi to prasie.

Ani Żukowska, ani Czarzasty nie dementują. Mimo to na reakcję nie trzeba długo czekać. Kilka godzin przed startem busa Lewicy Anna Maria Żukowska tweetuje: „Rok temu na wspólnym kampanijnym spacerze z psami na Polu Mokotowskim z kandydatem na prezydenta Warszawy Andrzejem Rozenkiem pies pani Jaruzelskiej chciał zgwałcić moją (wysterylizowaną, więc to dziwne) sunię. Kiedy ją wzięłam na kolana, podszedł i mi nasikał do butów. Jaki pies, taki pan”.

Jak zwykle w takich sytuacjach tweet szybko znika, ale jeszcze szybciej wypływają screeny. Bonanza trwa w najlepsze – już została nazwana „obyczajówką na lewicy” i nie przykryje jej na pewno literowanie nazwy. Ani wymijająca odpowiedź szefa sztabu Roberta Biedronia.

Zamykają się drzwi busa, większość kamer telewizyjnych zostaje na parkingu, ale smród nie mija. Dziennikarze siedzą z przodu, liderzy Lewicy z tyłu. Nie słyszymy dokładnie, o czym rozmawiają, ale zadowoleni nie są. Dziesiątki osób pracowały nad tym, żeby kilkudniowy objazd po Polsce grał w mediach cały czas, a zamiast niego, za sprawą podkręcania afery tweetami o gwałcie na suczce, zasięgi robi teraz wspomniana „obyczajówka”. To, że po drodze wybija trochę fakapów, nie dziwi. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej ulepienie lewicowej koalicji wydawało się scenariuszem jak z political fiction.

* * *

Warszawa, Łódź, Sieradz, Poznań, Piła, Gniezno, Bydgoszcz, Toruń, Płock, Białystok, Siedlce. I z powrotem do Warszawy. Cztery dni, jedenaście miast. Jak na inauguracyjny wyjazd to przegięcie, zwłaszcza dla dziennikarzy. Dlatego mało kto w ogóle zabrał się do busa. Ja wymiękłem w Płocku, zaraz po tym, jak Czarzasty, Biedroń i Zandberg zapozowali do zdjęć z pieskami. Trzy doby wystarczyły, żebym pokumał, co jest w Lewicy grane: trzech liderów, sporo zdolnych kobiet w drugim rzędzie i bardzo wielu ludzi, którym się chce. Niektórym nawet za bardzo.

Jak to „za bardzo” wygląda?

Bydgoszcz, trzeci dzień objazdu. Jedyneką jest tutaj Krzysztof Gawkowski, ciągle postrzegany jako młody, choć swoje już w polityce odcierpiał. Zawsze na lewicy, głównie w SLD. Zaczynał od młodzieżówki, potem był radnym w Wołominie, ale później wybory za wyborami przerżnięte. Jednocześnie piał się w wewnętrznych strukturach SLD, choć nigdy tak wysoko, żeby partyjni baronowie się posunęli i oddali mu sensowne miejsce na liście. A kiedy wreszcie dotarł niemal na szczyt, został sekretarzem generalnym, wiceprzewodniczącym, Sojusz nie zrobił wyniku i nieposeł Gawkowski znów musiał obejść się smakiem. Typowy los młodego eseldowca: niezłe wykształcenie, bogate doświadczenie, lecz szklany sufit dla pokolenia dobiegającego czterdziestki wisi w tej formacji bardzo nisko.

Dziś ponownie gra o wysoką stawkę. Na targowisku w Bydgoszczy skacze od stoiska do stoiska. Podniecony niemal pokrzykuje do ludzi sprzedających sery, oliwki, agrest:

– Robert! Patrz! Kupujemy! Zobacz, jakie dobre! Proszę, to moja ulotka! – Walczy o głosy.

Jedną ręką łapie za śmierzdzące sery, drugą rzuca gotówkę i leci dalej. Skołowani sprzedawcy mają wrażenie, że wpadł im na stoiska tajfun, więc kiedy odlatuje do sąsiadów, oddychają z ulgą.

Wybory parlamentarne AD 2019 Gawkowski traktuje jak ostatnią szansę na sukces. Bydgoscy straganiarze wyglądają na co najmniej zaniepokojonych jego desperacją, ale fakty są takie, że kilka miesięcy po naszym spotkaniu na kampanijnym szlaku odbierze on w Sali Kolumnowej dokument zaświadczający, że w wyborach powszechnych uzyskał mandat poselski.

Zanim jeszcze dotarliśmy do Bydgoszczy, na przystanku w Pile miałem okazję zaobserwować, jak to jest, gdy chcący za bardzo kandydaci są rywalami z tej samej listy.

Scenariusz z grubsza ten sam. Z autobusu wychodzą liderzy: Zandberg, Biedroń, Czarzasty. Miejscowi obsiadają ich szybko, zawsze zgodnie z tym samym kluczem. Wokół Czarzastego seniorzy lub, jak kto woli, elektorat sentymentalny – leją się żale, trochę wyrzutów za przegrane wybory, prośby i błagania o przywrócenie godności. Biedroń przyciąga całą pilską klasę średnią w zakresie oddziaływania swojego politycznego magnetyzmu. Zdrowi, piękni, uśmiechnięci, z rękami wystawionymi do selfie oblepiają go szczelnie, czekając na swoją kolej, jak do fotobudki.

Na peryferiach tych dwóch powoli poruszających się skupisk stacjonuje Zandberg z miejscowym inteligentem, jakimś młodym gościem w typie studenta filozofii albo kimś starszym, kto z kolei zamierza mu wyłożyć prawdy o świecie. Jak na zaprawionego w dyskusyjnych bojach lewicowego intelektualistę przystało, wdaje się w rozmowę. Reszta wycieczki z Lewicobusa już dawno ogłosiła jakiś pakt albo ustawiła się do konferencji, a Zandberg dalej tłumaczy zbłąkanemu pytającemu zawiłości socjalizmu.

Trio lewicowych liderów wzorcowo pokrywa nisze lewicowych wyborców: ludzi, którzy z rozrównaniem wspominają czasy Polski Ludowej, liberalną klasę średnią i lewicowych intelektualistów.

Ostatnie kable są wciskane w głośniki, techniczni dmuchają i pukają w mikrofony. Mam kilka minut, żeby pogadać z lokalnymi kandydatami.

– Dzień dobry, Śliwak Stanisław, wieloletni doradca do spraw bezpieczeństwa ONZ. Uczestnik wielu misji pokojowych. Mój priorytet to zdrowie – przedstawia się jeden. – Lista numer 3, miejsce 9.

Razem ze mną słucha tego wstępu była wicemarszałek Sejmu Wanda Nowicka. Uprzejmie, ale też ze szczerym zainteresowaniem wypytuje pana Stanisława o fanty wyłożone na stół: bębny, tarcze, wisiory i wielką złotą maskę. To wszystko prywatna kolekcja, zebrana podczas podróży służbowych po świecie.

Podobno ludzie są już zmęczeni gadaniem wyłącznie o polityce, więc kandydat Śliwak postanowił dotrzeć inaczej.

– Pani marszałek, to może pani tę maskę włoży. – Sięga po pięknie zdobiony przedmiot i wręcza Nowickiej.

Nie zazdroszczę politykom w takich sytuacjach. Każdy ruch to ryzyko. Bo powiedzenie panu: „Dzięki, fajna złota maska przytaszczona z Tajlandii, ale nie założę jej na łeb, bo stoi tu dziennikarz z aparatem i zaraz zostanie memem”, nie wchodzi w grę.

Marszałkini, jak tytułowana jest w Lewicobusie, bierze maskę i spozierając to na mnie, to na właściciela, jednak zbiera się w sobie, żeby podziękować. Proponuje, żeby kandydat sam ją założył, bo na pewno lepiej wie, jak ją nosić.

Niezła robota. Stoimy sobie tak w uprzejmym milczeniu na placu w Pile: marszałkini Nowicka, facet z twarzą jakiejś tajskiej bogini, zastygłej w groźnym grymasie, i ja.

Rozpoczyna się konferencja i cała energia idzie w pompowanie miejscowej jedyńki, czyli Dariusza Standerskiego. To załedwie dwudziestosześcioletni mózg Wiosny. Podobno samodzielnie napisał cały program wyborczy partii Biedronia w wyborach europejskich. Jest jednym z głównych strategów byłego prezydenta Słupska. Ambitny. Wywalczył sobie jedyńkę na liście przed Romualdem Ajchlerem, posłem od pięciu kadencji. Ajchler, w PZPR od 1970 roku, łącznie przesiedział na Wiejskiej blisko dwadzieścia lat. W Międzychodzie, gdzie ma biuro poselskie, znają go wszyscy. Kiedy Standerski przemawia, Ajchler stoi tuż za nim, tak poirytowany, że aż chodzą mu nogi. W końcu nie wytrzymuje i łapie za mikrofon, żeby przypomnieć wszystkim, że „jesteśmy drużyną i powinniśmy pamiętać o całej liście”.

W wyborach baron SLD ostatecznie przeskoczył młodziana od Biedronia i zapewnił sobie mandat. Choć w noc wyborczą Standerski był bliski świętowania. Śledził spływające głosy, aż w oficjalnej bazie Państwowej Komisji Wyborczej pojawiły się te z Międzychodu. Przerznął tam z Ajchlerem z kretelem. Załamał się. Na kilka dni wyłączył telefon, a najbliższemu współpracownikowi powiedział, że kończy z polityką. Ostatecznie został prezesem Instytutu Myśli Demokratycznej, think tanku Biedronia.

Po akcji estradowej Ajchlera w autobusie znów dym. Czarzasty, zaprawiony w pokoleniowych napierdalankach w łonie SLD, przekonuje Standerskiego, żeby ten nie drażnił eseldowca starej daty. Ten mówi, że wszystko rozumie, ale później, kilka miesięcy po wyborach, dowiedziałem się, że nie posłuchał.

W Pile więcej energii poszło w wewnętrzne walki niż w samą kampanię.

Czarzasty spędził resztę tego dnia, wisząc na telefonie i gasząc pożary pokoleniowego gniewu buchającego z pogiębionego ego Ajchlera. Z rozmów w trasie wynika, że do bólu realistycznie i trzeźwo spogląda on na przyszłość własnej formacji. Elektorat sentymentalny, rdzeń politycznej bazy Sojuszu, po prostu wymiera. Zdolność mobilizacji nowych głosów też jest umiarkowana.

– Mnie to zaskoczyło, ale nam na każdych fokusach wychodzi, że pierwsze skojarzenie z SLD to są afery, „grupa trzymająca władzę”, Rywin, Miller – usłyszałem kiedyś od ważnej osoby z Wiosny.

Czarzasty to dobrze wie. Metrykalnie jest w Sojuszu między młodymi a starymi. Eseldowscy seniorzy są w wieku bardziej papieskim niż

poselskim. Przez lata blokowali młodym awans w partyjnych strukturach, więc nigdy nie dokonała się naturalna zmiana pokoleniowa. Czarzasty w trasie kampanijnej mówił wprost, że zbliżenie z Razem i Wiosną to sposób na odmłodzenie formacji zasobami spoza niej. I ostatecznie dopiął swego.

W grudniu, dwa miesiące po wyborach, Wiosna połączyła się z SLD w Lewicę. Kiedy Biedroń zakładał partię, jego apetyty na władzę były na pewno większe. Cel też jasny – to on miał zdominować lewą stronę sceny politycznej. Do następnych wyborów wytrzyma jednak wyłącznie mesjańska retoryka prezesa Wiosny, fantazje z inauguracyjnej konwencji na Torwarze będą musiały ustąpić miejsca rzeczywistości. A Sojusz będzie trwać – jak trwa już od ponad dwóch dekad.

Robię to dla Władka

– Książkę pan o nim piszesz? – pyta facet ze straganu z warzywami.

– No, nie do końca o nim. Tak bardziej o polityce, kampanii. Nie tylko o Stefaniaku i PSL. Różnych polityków podglądam – tłumaczę się.

– To o nim dużo powinienes napisać, bo to jest porządny gość. Jak tu jest, w Grodzisku, to przyjdzie, pogada, coś kupi. Widzisz pan te słoneczniki, co sobie ładnie poukładałem? – Sprzedawca wskazuje na równiutko wyłożone wielkie koła smolistoczarnych pestek. Wszystko inne leży, jak leży, jak to w warzywniaku. A słoneczniki jak od linijki. – Mam też takiego klienta, też polityka. Ludwik D. się nazywa. Kiedyś mi tu przyszedł, narozpierał mnie to, jakby coś tam zgubił między tymi słonecznikami. Nie kupił żadnego i idzie w długą, tam, o! – Palec wędruje w stronę targowiska. – Jak wyrwałem za nim...! I mu mówię: „Co tu sobie, człowieku, myślisz, że kim ty, kurwa, jesteś, żeby mnie te słoneczniki rozpieńdalać po całym straganie? Raz, dwa mnie to posprzątaj!”. – Rozpalony handlarz totalnie wchodzi w swoją historię. – Mój stragan, moje zasady. Niby tylko o słoneczniki chodzi, ale ja panu powiem, że nie tylko. Bo to widać, jaki jest człowiek. A jaki człowiek, taki polityk. Kuba by mi tak nigdy nie narobił, dlatego dałem mu płotu kawałek. A niech se powiesi chłopak ten baner, co mnie szkodzi? – tłumaczy się z obecności plastikowej płachty.

Codziennie rano, zanim wyłoży warzywa i wypieści swoje słoneczniki, sprawdza, czy wszystko z banerem w porządku. Facet z warzywniaka nienawidzi Platformy, nie znosi pis-u, z lewicy się śmieje. Ludowcy też mu jakoś szczególnie nie podchodzą, ale mówi, że głosuje na ludzi, nie na partie. Kubie Stefaniakowi udało się go przekonać, więc teraz za każdym razem kupujący kilo kartofli i pomidory musi spojrzeć na perfekcyjnie wypielegnowaną blond fryzurę rzecznika PSL-u i jego z lekka cwaniacki uśmiech.

– Redaktorze, pączka spróbuj! Z adwokatem. Najlepsze w całym Grodzisku! – woła mnie na drugą stronę ulicy Stefaniak.

Przerwa w porannej akcji ulotkowej.

Wyruszyliśmy z Ursynowa przed świtem, żeby zdążyć na dworzec kolejowy w Grodzisku, zanim ludzie wylądują w pracy. Co piętnaście minut cały zapchany nimi peron wyjeżdża do roboty, do Warszawy. Nie wiem, czy nagabywanie to najlepszy pomysł w porannym pośpiechu, ale trochę narodu się zatrzymało. Pytali głównie o sojusz z kukizowcami. Stefaniak nie bardzo wiedział, co powiedzieć, bo połowa z tych, którzy w ogóle chcą z nim gadać, jest bardzo za, a druga połowa bardzo przeciw. On sam zdecydowanie należy do tej drugiej.

W ramach politycznych targów musiał się posunąć – aż na trzecie miejsce na liście w okręgu zwanym potocznie „obwarzankiem”. Mazowsze to dwa okręgi: Warszawa w jednym i wszystko, co dookoła stolicy, w drugim: Grodzisk Mazowiecki, Legionowo, Nowy Dwór Mazowiecki, Otwock, Piaseczno, Pruszków, Wołomin.

Przez całą drogę samochodem Stefaniak szuflował mi narrację o nowym PSL-u, młodym, ambitnym, racjonalnym centrum, które stroni od światopoglądowych naparzanek, a skupia się na tym, żeby ludziom żyło się lepiej. Trochę trudno pogodzić mi to było z wyborczym romansem z Kukizem, jeszcze do niedawna pojawiającym się na tych samych demonstracjach, co facet, który spalił kukłę Żyda na wrocławskim rynku.

– Co zrobić? Jestem na trzecim miejscu, a muszę być na pierwszym. Dlatego codziennie w zasadzie zaczynam o piątej rano, a kończę wieczorem – mówił mi rzecznik PSL-u, wciskając gaz do dechy w swoim sportowym wozie.

Zaproszenie przez ulicę przyjmuję i siedzę teraz przy pączku z adwokatem i ekipą Stefaniaka.

Zadzwoiłem do niego kilka dni wcześniej, żeby znalazł mi czas w kalendarzu Kosiniaka-Kamysza, i przyznaję, urobił mnie tak, że postanowiłem spędzić z nim dzień w kampanii. A do prezesa PSL-u musiałem w końcu dobić się sam. W sumie to nawet szanuję, że młodemu wystarczyło zaledwie kilka minut, żeby zmienić mój plan pracy. Ma w sobie coś z giełdjarza, który handluje używanymi furami. Tu zamota, tam pogada, tu załatwi.

Gdy próbowałem się czegoś o nim dowiedzieć od znajomych sejmowych dziennikarzy, dostawałem sprzeczne sygnały. Jedni mówili, że śliski typ, drudzy, że świetny rzecznik. Wcześniej pracował w TVP jako dziennikarz, specjalizował się w tematach wojskowych, rzecznikiem PSL-u został chwilę przed wyborami w 2015 roku. Złośliwi mówią, że miał

obiecaną dyrektorską fuchę w telewizji, ale koalicja PO–PSL jednak przegrała. Nie było ostatecznie jak się przekonać, czy w plotkach, że rzecznikowanie to nagroda pocieszenia, było ziarno prawdy.

W samochodzie do Grodziska Stefaniak powiedział mi, że zabrał się za partyjną robotę, bo znudził się pracą w TVP i zapragnął zobaczyć, jak to jest w środku politycznego młyna. A jeśli chodzi o polityczne ambicje, to zawsze bardziej od telewizji pasjonowało go wojsko.

Zdzierał buty na targowiskach, dworcach. W kampanię zaangażował rodzinę – ojciec prowadził busa Kubusa, czyli starego vana oklejonego reklamami wyborczymi. Bez sukcesu. Mandatu nie ugrał. Z rzecznikowania zrezygnował po wyborach, żeby zająć się pracą w Centrum Informacyjnym Senatu.

* * *

– Ciasto chlebowe, maselko, cebulka, trochę pieprzu, trochę soli i wychodzi z tego wspianały prosty posiłek, ale jakże symboliczny. Szczególnie kiedy przypomnimy sobie, kto jadł te podpłomyki. Kilkadziesiąt lat temu Karol Wojtyła, przybывая do Niegowici na parafię, zaczynał swoją drogę kapłańską. Podpłomyk, kawa zbożowa i biały ser. Cóż za piękny, ludowy posiłek – przemawia na scenie w Gdowie Kosiniak-Kamysz.

Mówi jak ksiądz, a ludzie na festiwalu podpłomyka to uwielbiają. Wcześniej tego samego dnia, zanim jeszcze otworzył festiwal chlebowego placka z cebulą, rozdał setkę dyplomów w konkursach strażackich, zdobył szacunek strażaków, dokręcając wąż do pompy, i przeciwiczył na wszystkie sposoby dobrą minę do złej gry.

Chciałem umówić się z nim od dawna. Z partyjnych liderów to zdecydowanie najmniej oczywisty bohater polskiego politycznego cyrku. Inteligent z Krakowa na czele partii rolników i wiejskiego elektoratu. Tylko czy to rzeczywiście takie dziwne, jak się wydaje? Waldemar Pawlak, ikona PSL-u, też przecież pracował nad doktoratem, chociaż go nie obronił. Janusz Wojciechowski, który wprawdzie prezesem ludowców był bardzo krótko, to z kolei wykształcony prawnik i sędzia. Następcy Jarosława Kalinowskiego, który rządził formacją w latach 1997–2004, musieli się nieźle napocić, żeby przekonać wyborców do wizerunku pozbawionego gęstego męskiego wąsa.

Nie wiedziałem, jak Kosiniak-Kamysz zjednuje sobie partyjny aktyw. Ale jeździłem za nim na pikniki wyborcze, żeby przekonać się, jak radzi sobie z wyborcami. W trakcie objazdu Małopolski sondaże były zgodne: PSL do spółki z Kukizem jest na granicy progu wyborczego.

* * *

Ósma rano, dojeżdżam do Czchowa, trzydzieści kilometrów na północ od Nowego Sącza. Czerwono i zielono. Czerwone wozy strażackie: jelcze, stary, many szukają sobie miejsca wokół zieloniutkiej trawy boiska. Skoszono ją kilka godzin wcześniej, najdalej wczoraj; ciągle wypełnia przestrzeń zapachem. Zaraz za boiskiem nieśpiesznie płynie sobie Dunajec. Nie wiem, czy kilka godzin za kółkiem zrobiło swoje, czy tutaj naprawdę jest tak pięknie, ale po prostu kładę się na trawie i słucham odgłosów przygotowań do strażackiego konkursu.

Silniki kilkudziesięciolletnich wozów ryczą głośniejsze od syren, nie dają odpocząć. Dziewczyny kilka kroków obok instruują się nawzajem, jak wypaść dobrze na zdjęciu „pod Instagrama”. Organizator, czyli gość z wąsem w strażackim mundurze, piekli się, że nie wszystkie zespoły zarejestrowały się przed startem. Mimo to przysnąłbym pewnie na tej trawie, gdyby nie pan Waldemar z panem Włodzimierzem, którzy rozprawiają nad moją głową o jakiejś pompie.

W końcu przez bramę wjeżdża prezes PSL-u. Najpierw część oficjalna, czyli otwarcie zawodów. Lokalni strażacy odznaczają się za zasługi z całego roku. Plik dyplomów grubości cegły powoli się zmniejsza, odwrotnie proporcjonalnie do zmęczenia młodych strażaków i strażaczek ustawionych w szeregu. Coraz bardziej spoceni, czekają, aż szopka wreszcie się skończy i będzie można poskręcać strażackie węże na czas.

Kosiniak-Kamysz rusza ścisnąć ręce. Obok niego burmistrz Brzeska, największego miasta w powiecie. Trochę zbyt odpicowany jak na takie zawody: ciemne okulary, w kieszonce marynarki ozdobna poszetka. Do tego dwóch gości od robienia zdjęć i wrzucania ich na Fejsa. I kobieta w szpilkach, która z zaskakującą sprawnością podbiega przez trawiaste boisko. Widziałem po drodze jej reklamę wyborczą. Ma na imię Magda i startuje z pozycji 14 na liście PSL.

Kosiniak-Kamysz jest chyba najmniej nachalnym politykiem, jakiego widziałem. Podchodzi do strażaków, zamienia z nimi słowo, ale nie udaje ich kolegi, nie opowiada im o wielkich planach PSL-u na Polskę, tylko kiwa

głową i słucha tego, co mu nawijają. Chętnym wręcza słoiczek miodu z pasieki lokalnego peeselowca.

– Miodzio bardzo chętnie, ale najpierw to chcemy zobaczyć, czy poradzi pan sobie ze złożeniem tego. – Młody strażak rzuca mu pod nogi dwa węże i stalowy łącznik. Na pewniaku.

Lider ludowców podwija rękawy i na jeszcze większym pewniaku skręca metalowe części.

Nigdy wcześniej ani nigdy później nie widziałem takiego szacunku w oczach wyborców, jak u tamtych strażaków testujących polityka z telewizji. Wszyscy, z miejsca oczarowani, ściskają w dłoniach miód i machają prezesowi na pożegnanie. Tylko jakiś miejscowy pijak hojnie rozdaje bluzgi.

Kolejny przystanek, kolejne zawody strażackie i kolejna kiełbasa. Odchudzanie kolejnej sterty dyplomów tym razem sobie odpuszczam i przysiadam się do kandydatki Magdy, która jeździ w peeselowskim busie cały dzień. Nie miała dzisiaj lekko. Na wejściu w Wiśniczu potężny, wszerek i wzdłuż, wąsaty strażak rzucił się do całowania jej rąk. A później jej przejście w szpilkach przez boisko kolesie tak obcinali wzrokiem, że musiała to zauważyć. Brakowało tylko, żeby jakiś najebus za nią zagwizdał.

– Kobietom w polityce raczej nie jest łatwo...? – Próbuję niezdarnie podpytać, jak się ona na tę bucerkę wokół siebie zapatruje.

– Trzeba umieć sobie z tym radzić. Ja to robię dla Władka, bo on jest inny niż wszyscy politycy – odpowiada z uśmiechem.

Wychowała się na wsi, wie, jak oporządzić gospodarkę, ale dużo lepiej czuje się w pracy za biurkiem. Kilka lat spędziła w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, skąd szybko wymiotła ją po dojściu do władzy dobra zmiana. Teraz sprzedaje ubezpieczenia i angażuje się w kampanię Kosiniaka-Kamysza. Zna polityków różnych opcji, dobrze wie, jaką gębę ma PSL. Zapewnia, że młode pokolenie ludowców wie to jeszcze lepiej, dlatego bardzo się pilnuje. I powtarza refren: „Kosiniak-Kamysz jest inny niż większość polityków, nie kłamie, nie obiecuje gruszek na wierzbie, szanuje ludzi”.

Ostatni przystanek to festiwal podpłomyka plebańskiego w Gdowie. Takie dożynki na bogato, mniej gorzały, więcej garniturów. Podpłomyk plebański to placek z cebulą. „Dużo lepszy od włoskiej pizzy” – przekonują mnie wszyscy.

Kosiniak-Kamysz już wyraźnie zmęczony, tymczasem jeszcze kilkaset rąk do uściśnięcia. Gdzie jak gdzie, ale w Gdowie nie może pozwolić sobie na potknięcie. Od niedawna mieszka tutaj z żoną Pauliną i małą córeczką Zosią. Wie, że musi poświęcić każdemu tyle czasu, ile trzeba.

Jak to wygląda w praktyce?

Przez piętnaście minut wysłuchuje dobrych rad od faceta obsługującego dmuchany zamek dla dzieci. Dyskutuje z nim, przekonuje do konkretnych punktów programu, prowadzi prawdziwą rozmowę. Facet głosował kiedyś na PSL, ale nie znosi Platformy i ostatnie lata wspólnych rządów „z tymi od ośmiorniczek” zraziły go do ludowców na dobre. Kosiniak-Kamysz postawił sobie chyba za punkt honoru przekonwertowanie go na nowe, i zrobienie tego tu i teraz. Jakby nie powiedziano mu, że to wszystko jest przecież na niby.

Ludzie w zasadzie rzadko kiedy oczekują rozmowy z politykiem, częściej chcą zrobić sobie z nim zdjęcie. Ale przede wszystkim pragną odejść z poczuciem, że znany gość poświęcił im swój cenny czas. Pamiętam, jak starszy gość w Gnieźnie zburzył tę kampanijną iluzję w rozmowie z Czarzastym: „Nie ma sensu się przedstawiać, bo ja dobrze wiem, jak pan się nazywa, a pan dobrze wie, że nie zapamięta nawet, jak ja mam na imię”.

Chłopaki Kosiniaka-Kamysza od Instagrama i Facebooka też patrzą na tę ciągnącą się w nieskończoność dyskusję. Rozglądają się, nie wiedzą, jak wyrwać z niej prezesa.

– On tak z każdym będzie gadał? – podpuszczam.

– Z każdym to nie. Ale czasami mu się tak zdarza. Cały Władek.

Prezes idzie w tłum. Najbardziej szaleją starsze panie, łapią go za policzki, wdzięczą się do zdjęć. Wizerunek ułożonego zięcia do nich trafia najbardziej.

Z władzą trzeba się znać

– A patrzyłam właśnie, kto tam tak zawzięcie próbuje do rowu wjechać! – Pani Ania wita mnie z otwartymi ramionami.

W cywilu trochę trudno mi ją poznać; ostatnio widzieliśmy się na pikniku rodzinnym pis-u w Kuczkach-Kolonii, w gminie Gózd. Wtedy miała na sobie czerwoną kwiecistą spódnice, taką samą chustę i białą bluzkę z wykaligrafowanym haftem „KGW Płasków”. Tylko włosy ufarbowane na czerwonawy rudy się zgadzają. I okulary nadające jej twarzy srogi wyraz, kiedy się nie uśmiecha.

Kwiecistą spódnice i haftowaną bluzkę miała też na sobie w Kuczkach pani Basia, babcia z bielutkimi, kręconymi włosami. Teraz wyszła z domu i macha do mnie z podwórka dużego gospodarstwa. Jej gospodarstwa.

– Ja jestem ta matka z córką, pamięta pan? – upewnia się.

Przez cały piknik z Kaczyńskim przypominała mi, że w kole działa też jej córka. Nie mógłbym zapomnieć.

Dołącza do niej Wioletta, czyli córka, a zaraz jak huragan wpada do chałupy Maryśka, głośna, roześmiana, owdowiała. Na oko nic nie wskazuje, że wdowa, ale przypominają o tym raz po raz jej koleżanki. To znaczy, bardziej przypominają, że wolna, bez chłopa, a dopiero później, jakby z przyzwoitości dodają, że umarł.

Pracowały przez całe popołudnie. Gotowały, stroiły, rzeźbiły, bo następnego dnia dożynki. I to gminno-powiatowe, a na dodatek pod patronatem Prezydenta RP. Przygotowania od kilku tygodni. W plastikowych worach, jak na śmieci, rozmrażają się sójki, czyli drożdżowe pierogi, narobione zawczasu. Ale i tak dzień przed imprezą najwięcej roboty.

W tym roku nie ma takiego stresu, jak w poprzednim, kiedy Płaskowskie Raki debiutowały.

– Teraz to się tylko martwię, jak my ten wieniec wniesiemy. Wielki i ciężki jak cholera – zamyśla się Wioletta, oparta o piec.

– Słuchajta, to o której rano? – pyta przepalonym głosem Marysia.

Na stanowisku mamy być o siódmej, ale każda z gospodyń szuka wymówki. Pani Ania idzie do kościoła, co Marysia kwituje machnięciem

ręki, a pod nosem dodaje, że po cholerę do kościoła. Pani Basia będzie później, bo musi ugotować porkę, kleiste purée ziemniaczane polane okrasą.

– Dzisiaj to po kielichu się możemy napić – oferuje pani Basia. Jestem furą, więc z mojej strony pas. – Sama pić nie będę...

Widzimy się jutro na dożynkach.

* * *

– Dobra porka w tym roku. Jakby nią jebnął, toby się do ściany przylepiła, nie? He, he – rechocze nazajutrz Maciek, szewc z Płaskowa.

Kraciasty kaszkiet na głowie, niebieska koszula opięta na wystającym brzuchu, po którym klepie się z czułością. W dzień dożynek poczuwa się do bycia moim osobistym przewodnikiem po święcie plonów w Jedlińsku.

Ela, żona Maćka, odpowiada za wystrój stoiska. Właśnie kończy główną instalację, rodzinę chochołów. Stary w dresie, pod krawatem, na słomiany łeb ma naciągniętą białą szmatę. Z jednej kieszeni wystaje mu pusta flaszka, z drugiej puszka po browarze. Stara w kapeluszu i koszulce ze śmiesznym napisem: „Żona sp. z. o.o., godziny pracy 24 h/7 dni w tygodniu”. I słomiany dzieciak w wózekczku. Prawie gotowe.

– Tylko to jeszcze, i styknie – mówi Ela, przypinając agrafką do ekspozycji kartkę z napisem: „Sfinansowano z 500+”. Rodzinka chochołów w komplecie.

Maciek snuje się z rękami w kieszeniach i podjada. Ela go opierdala, że nic nie robi, i daje mu zadanie, żeby przywiózł kozę do namiotu. Na zasadzie: nikt nie ma kozy, a my będziemy mieć.

Robert zapieprza za to tak, że pot mu się po dupie leje. Pięćdziesiątka na karku, szczecina na gębie, pierwszy siwy włos ujawnił się już dawno. Jak trzeba, to wskoczy na stół na bosaka, żeby przywiązać drutem pęta kiełbasy, polędwice i boczki, zamontuje kuchenkę, nastawi wodę. A reszką drutu postawi krowie ze słomy ogon na sztorc. Przy okazji rzuci do żony żart o stojącym kutasie. Na co rezolutna żona odpowie, żeby się tak nie reklamował, bo nie ma czym. Pewność siebie Roberta nie zostaje jednak zachwiana. Jest jedynym facetem na miejscu i robi robotę, więc kobiety z KGW go szanują.

– Nasz radny. – Marysia puszcza do mnie oko. – Wiceprzewodniczący rady gminy nawet – dodaje.

Robert Rędzia, Komitet Wyborczy Prawo i Sprawiedliwość. W ostatnich wyborach dwieście pięćdziesiąt cztery głosy.

* * *

Maciek:

– Idź tam, wzdłuż szosy, i później koło urzędu gminy. Wiesz gdzie, nie? Masz tam raka. Pomnik raka. Zobaczysz na pewno.

Mój dożynkowy przewodnik ma zdecydowanie lepsze i gorsze momenty. Gdy opowiadał, jak ubić świniaka i co dobrego można z niego zrobić, miał ten lepszy. Kiedy tłumaczy, jak dojść na miejsce zbiórki z wieńcami, jest gorzej. Dobrze, że Ela orientuje się, co jest grane. Jedzie w tę samą stronę, to mnie wyrzuci po drodze.

Plac pod rzeźbą raka, symbolem Jedlińska, zapełnia się wieńcami. Jedni dostawczakami przywożą misterne zbożowe konstrukcje poprzetykane kwiatami, inni na przyczepkach. Przegląd fur jak na giełdzie: od starych zdezelowanych kombiaków po nowego odpicowanego jaguara, którego większość zebranych może sobie pooglądać tylko w „Auto Świecie”. Jeśli ktoś myśli, że wieś jest biedna albo bogata, to zapraszam na przykościelny parking. Jest różna. Jak stare seicento odpalane na pych, stuningowana beta, nawoskowana specjalnie na dożynki, i czarny jaguar.

Płaskowski wieniec przywozi na plac nie kto inny, jak radny Robert. Z synem. Mają czas, by zrzucić go z przyczepki, ale muszą odstawić wóz. Czoło dożynkowego korowodu już ruszyło.

Chłopy z Płaskowa się spóźniają, młodsze kobity robią się jeszcze w domu – fryzura, makijaż, biżuteria muszą się zgadzać. Na czas pod raka stały się tylko reprezentacja co bardziej wiekowych gospodyń i sołtysowa Iwona, metr pięćdziesiąt w dożynkowym wianku.

Sytuacja jest podbramkowa, dosłownie, bo pierwsza wiejska delegacja zbliża się do bramy kościoła.

– Dobra, bierzemy to, nie będziemy czekać tu jak głupie! – rzuca sołtyska do płaskowskich senierek.

Żeby było jasne, taki wieniec to nie jest lekka rzecz. Wysokością dorównuje sołtysce Iwonie. Solo nie da się go podnieść, próbowałam. Ale sołtyska wie, że musi. Podrywa go z placu jak schab sztangę na siłce i jeszcze pamięta, żeby uśmiechnąć się do obiektywu. Gdy tylko udaje się jej go dźwignąć, z pomocą ruszają starsze koleżanki. I tak, w kilka senierek, małymi krokami zmierzają do bramy. Dopiero na ostatniej prostej

do kościoła dobiegają chłopcy odstawione w garnitury i zawstydzone przejmują wieniec od pań w kwiecistych spódnicach.

Na mszy, jak to na mszy, bez fajerwerków. W środku ci, co muszą i naprawdę chcą, przed kościołem ci, co myślą już o sernikach, boczkach, porkach i kotletach. Przebierają nogami, a msza, jak na złość, się przedłuża. Prezydencki patronat zobowiązuje. Po końcowym błogosławieństwie na mównicę obok ołtarza wchodzi Marek Suski, poseł ziemi grójeckiej, sekretarz stanu i szef gabinetu politycznego Prezesa Rady Ministrów. Jak nikt inny nadaje się, by pleść z kartki okrągłe słowa napisane przez speechwriterów premiera Morawieckiego.

Później przeczytałem, że obecni na mszy posłowie opozycji wyszli po tych słowach z kościoła w proteście przeciwko politycznej propagandzie. Nie wiem, wielu ludzi wychodziło, ale raczej w proteście przeciwko długości mszy i odwodzeniu ich od biesiadno-kulinarnych przyjemności. Opozycjonistami nikt się nie przejął.

* * *

– Pięć pierogów za pięć złotych. Bigos też za pięć. Proszę bardzo. Następny. Bigosik dla pani? Pierogi dla pana? – Sołtyska Iwona jest w swoim żywiole. Jedną ręką nakłada, drugą kasuje. Jakby miała trzecią, toby zdzieliła nią tych, co na nielegalu próbują podjeść coś z zastawionego stołu. Jak dobrze pójdzie, gospodynie wyciągną z dzisiejszego dnia około półtora tysiąca.

– A mnie wkurwiła ta organizatorka zaszara! – Do namiotu wpada wzburzona Maryśka. – Bo mnie wzięła na bok, że tylko my kasujemy za jedzenie. Od razu poszłam, sprawdziłam. Wszędzie kasują. Franca jedna! – cedzi przez zęby.

Kasują wszyscy, to prawda. Na wejściu jedno z kół gospodyń wiejskich wypisało nawet kredą na potykaczu menu z cennikiem. Kopytka – 4 złote. Noga, plaster – 3 złote. Chleb ze smalcem – 2 złote. Zagrycha do... – 5 złotych.

Wielokropek to oczywiście bimber, który na dożynkach leje się od rana. Skąd? Od takiego jednego. Na całe sołectwo pędzi, ale to pan redaktor ma się już nie interesować, bo to już nie jest jak kiedyś i trzeba się kryć. Wszyscy zgodni są co do jednego: w tym roku mocny wyszedł. Chociaż biesiadników zacznie składać dopiero wieczorem.

– No, kozę przywiozłem, to mogę się napić wreszcie! – Maciek się cieszy i poprawia kraciasty kaszkiet, który spadł mu na oczy.

Koza, jakaś taka markotna, podgryza sobie siano, ale jest wyróżnikiem stoiska. Kilka metrów dalej stoi akwarium z żywymi rakami, symbolem gminy.

Dożynki są okazją, żeby się pokazać i wygrać trochę kasy dla społeczności. Stałe elementy programu to konkurs na najładniejsze stanowisko, wieniec i zawody sołectw. Podobno nie ma to nic wspólnego z trwającą kampanią, ale po południu dowiadujemy się, że każde stanowisko jest najpiękniejsze i każde sołectwo przytuli siedemset pięćdziesiąt złotych. W konkursie wieńców ten płaskowski uplasował się na trzecim miejscu, za co należą się trzy stówki.

– Będzie za co zrobić ostatki. Kobitki pojedą sobie gdzieś na trzy dni, poimprezują – tłumaczy mi Maciek. – Ja z nimi czasem jeżdżę, bo lubię, ale chłopcy to się raczej nie wyrywają.

W namiocie na tyłach stoiska atmosfera robi się coraz bardziej wódczana, a mnie się już trochę nie chce po raz setny odmawiać kielicha. Siadam obok młodego, co się bawi kluczykami.

– Za kierowcę robisz?

– No tak, trzeba porozwozić towarzystwo. Mój ojciec to ten w garniturze, radny, pewnie już poznałeś. Adam jestem. – Podaje mi rękę.

Trochę zajmuje mi wytłumaczenie Adamowi, że jestem dziennikarzem i piszę książkę. To jeszcze rozumie, ale nie potrafi pojąć, że nie mam bloga ani kanału na YouTube. Co to za dziennikarz, co tylko do gazety pisze? Podejrzany, ale na dożynkach nuda, więc Adam zgadza się opowiedzieć mi trochę o Wólce. To znaczy o Bierwieckiej Woli, skąd pochodzi.

– Na wsi jest inaczej niż w mieście – zaczyna i opiera się o ściankę namiotu. Swoją drogą, namiot załatwił jego ojciec, radny. Potrzebny był do roboty budowlanej. – Kładliśmy kostkę tutaj, na parkingu przed boiskiem. Pewnie widziałeś, jak ładnie ułożona – chwali się i ciągnie: – Zobacz te baby, co przyszły teraz. Patrz, jak wszystko oceniają. Stoją i się uśmiechają, coś zeżrą, a później będą obgadywać przez cały rok. Nikt nikogo nie lubi, wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą i sobie dupę obrabiają. Taka jest wieś. Jakbyś mnie pytał, męcząca. – Chłopak niespodziewanie się otwiera.

W Wólce mieszka około pięciuset osób. Rolnictwem prawie nikt się nie zajmuje, wszyscy pracują albo w Radomiu, albo dojeżdżają do roboty pod

Warszawę. Adam uczy się jeszcze w technikum, ale nie planuje wyjeżdżać, gdy skończy.

– Narzekasz na te wiejskie baby, to myślałem, że tylko na to czekasz – mówię.

– No narzekam, to fakt, ale chcę zostać, rodzicom pomóc. Nie będą przecież młodszy, a ktoś firmę prowadzić musi. Budowlanka. Sklep też prowadzimy i skład węgla. Sami tego nie obrobią – tłumaczy, trochę jakby chciał przekonać sam siebie. – Siostra pojechała do Warszawy, rodzice mieszkanie jej kupili w centrum, studia pokończyła i pracuje jako kurator. Zaprasza mnie cały czas, ale sam nie wiem. Jak tak sobie Sierżanta Bagiętę oglądam, to zastanawiam się, czy nie iść do policji.

Sierżant Bagieta to youtuber, policjant. Adam nie może uwierzyć, że nie znam. Kiedy rozmawialiśmy, sierżant miał sto dwadzieścia dziewięć tysięcy subskrypcji, teraz już pewnie dwa razy tyle. Nie ujawnia swojej tożsamości, dlatego może opowiadać o pracy w policji więcej niż rzecznik komendy. Na vlogu mówi, co policjanci myślą o pracownikach ochrony, jak pachną zwłoki, prezentuje policyjny sprzęt i szczegółową tabelę zarobków. Chłopakowi, jak widać, się podoba.

W październiku w wyborach europejskich Adam głosował po raz pierwszy. Na kogo?

– Wiadomo na kogo. Jak patrzę na ojca, który jest radnym z PiS-u, to nie mam wątpliwości. Jak ktoś ma łeb na karku, to się z nim zgadza i też głosuje na PiS. Jak nie, to na te inne partie – wyklada mi rzecz oczywistą, zdumiony, że w ogóle pytam. – Maszt niezgody to jest superprzykład! Pewnie w mieście to nawet trudno zrozumieć, ale jeden z takich naprawdę dużych problemów na wsi, przynajmniej u nas, to jest zasięg. Jak oglądam te reklamy o LTE, to nie wiem, czy się śmiać, czy płakać, bo u nas w Wólce nie ma żadnego zasięgu. I moi rodzice w końcu chcieli coś z tym zrobić. Napisali do Orange, Playa, Plusa, wszystkich, którzy się zajmują komórkami i internetem. I jedna firma się zgodziła, że postawi nam maszt. Super, nie?

– Brzmi jak rozwiązanie problemu – komentuję.

– No bo to jest rozwiązanie problemu! Tylko masztu z nadajnikami ciągle nie ma. Jak mieli go budować, to się zaczęło. Przeciwnicy mojego taty nakręcili ludzi, że dostaną raka od promieniowania. I wszystkie te babiny w to uwierzyły i się zaangażowały w protesty przeciwko budowie masztu, który powoduje raka. Mówię ci, jak ktoś jest za PiS-em, to rozumie,

że jest coś takiego jak postęp. A jak nie, to wymyśla – oznajmia mi Adam kolejną prawdę objawioną.

* * *

Z namiotu wyłania się Maciek. Mruży oczy jak ludzie wychodzący z kina w ciągu dnia. Czuje, że bimber zrobił swoje. Musi odsapnąć, bo tempo jest iście dożynkowe.

– Rok temu sztywnego mnie do samochodu wsadzali, a moja zła była. Trzeba się pilnować, nie? – mówi, przeciągając się. Obczaja boisko, szuka nie wiadomo czego na horyzoncie. I nagle się odpala. – Rozdziawia ten pysk, kutas jeden, skurwiesen! – rzuca wiązaną. – Naszczać mu najlepiej do tej gęby!

Jedyny na horyzoncie z rozdziawioną gębą to ksiądz.

– Co ty, Maciek, tak się na tego księdza odpalasz?

– A bo to pedał jest! – strzela jak z bata.

– Ale że gej? Z innymi księżmi sypia? – dopytuję.

– Ta, z księżmi! Nie. Dzieci rucha.

– To chyba pedofil się mówi? – sugeruję nieśmiało.

– No mówię, że pedał. To znaczy nie ten. Ale był taki trzy wioski dalej, to my go pogonili. Przyszły chłopcy i kazały mu spierdalać. Każdy z nich taki sam: nażreć się przyjdzie, nawpierdalać, a później tylko piniondz za to, piniondz za tamto. Żeby było jasne: ja w Boga wierzę i modlę się do Boga, ale nie do księdza!

Maciek uspokaja się trochę. Ale widzę, że ksiądz zmierza w stronę płaskowskiego stoiska. Zanosi się na srogi dym.

– Szczęść Boże, szczęść Boże! Może ksiądz zasmakuje w naszych pysznościach? – Transformacja we wzorcowego gospodarza następuje w sekundę. Bez śladu antyklerykalnego bluzgu.

– Jak zobaczył, że musi zapłacić, to się rozmyślił. Za darmo chciał się nażreć! – podejmuje Maciek, gdy tylko ksiądz znika za ścianką kolejnego namiotu.

Jest już zdrowo zrobiony, ale wciąż sprawnie przełącza się z trybu wiejskiego wirażki w tryb lokalnego polityka wazeliniarza. Widzę, że jest dumny z tej swojej przebiegłości: najpierw nawrzucał klesze, później obłaskawił księdza dobrodzieja komplementami. Zobaczymy, jak poradzi sobie z władzą.

– Maciek, patrz, z tym to musicie mieć dobre relacje – mówię. – To prawa ręka Kaczyńskiego podobno.

– Oż ty, to dawaj mnie go tu! Ten młody taki, tak? – upewnia się, zanim znów odpali cyrk.

– Radosław Fogiel się nazywa. Startuje teraz w wyborach z waszego okręgu, z drugiego miejsca, zaraz za Suskim, na pewno się dostanie do Sejmu. Jest szefem biura Kaczyńskiego i *de facto* rzecznikiem prasowym pis-u, bo wybrali na rzecznika taką amatorkę, że on się więcej od niej wypowiada. No mówię ci, prawa ręka prezesa!

Sprzedane, Maciek przekonany. Startuje do odpicowanego Fogla. Razem wyglądają jak komediowy duet: Radosław w garniturze, z brodą od barbera, marynarka granat, spodnie beż, z butonierki wystaje burgundowa poszetka. Maciek już prawie burgundowy na twarzy, w perfekcyjnie opiętym na brzuchu niebiesciutkim T-shircie, kaszkietu zawadiacko opadającym na czoło. Jak tak na niego patrzę, zaczynam powoli wierzyć w jego farmazony o byciu warszawskim wykidajką.

– Panie rzeczniku, bardzo proszę tutaj zasmakować. Gospodynie z koła bigosiku nagotowały, pierogi, ciasta, co pan chcesz. Kobity, ważnego gościa macie, z pis-u! – Ogarnia Maciek. – Dobrze, dobrze robicie, Kaczyńskiego pan pozdrowi. Ale pan to musisz sobie podjeść, bo taki zmarniały.

Płaskowskie kobity obskakują ważniaka, ten nawet nie musi nic mówić. Zostawia im krówki owinięte w papierek ze swoim nazwiskiem i na koniec jeszcze przypomina, żeby zgłosiły się po dofinansowanie dla KGW, jeśli jeszcze tego nie zrobiły.

– Dobrze, żeś mi powiedział, bo tego nie znałem jeszcze. A wiesz, z władzą trzeba się znać – mówi Maciek tonem eksperta.

* * *

Na scenie była twarda i wytrzymała całą ceremonię z dumną miną. Dopiero po wejściu do namiotu popłakała się ze wzruszenia. Medal „Zasłużony dla rolnictwa” pobłyskuje przypięty na piersi do białej koszuli z koronkowymi zdobieniami, zaraz nad haftem.

Sołtysowa – bo tak każe na siebie mówić – Iwona Kowalczyk. Niziutka, niepozorna, ale wystarczy chwila, żeby zorientować się, że to ona wszystkim kieruje. W namiocie, jak jej nie było, mówili o niej tylko dobrze.

– Nie myślała pani, żeby rozwinąć karierę polityczną? Ludzie murem tu za panią stoją. Mówią, że ten medal to nikomu się tak nie należał jak pani –

komplementuję.

– Wiem, że tak mówią. Ludzie mnie szanują, dobrze to wiem. Ale nie chcę robić konkurencji Robertowi. On chce być politykiem, niech ma. Jak się jest radnym, to już trzeba być w partii. Ja jako sołtysowa nie muszę. I to lubię – odpowiada.

* * *

Nie wysiedzę do Kombi. Ekipa już zbimbrowana tak, że muszę się zawijać. Pani Basia nie wypuszcza mnie bez tańca.

– Babki, śpiewać, tańczy z panem redaktorem! – pokrzykuje.

– Ale co chcesz śpiewać? Przecież nie nasze przyśpiewki.

– Jak to co? *Oczy zielone* Zenka Martyniuka!

Jak na komendę panie z Koła Gospodyń Wiejskich na całe gardło, na melodię bardziej swoją niż Zenka, jadą:

Przez twe oczy, te oczy zielone, oszalałem!

Gwiazdy chyba twym oczom oddały cały blask.

A ja serce miłości spragnione ci oddałem.

Tak zakochać, zakochać się można tylko raz.

Tak wywijaliśmy, że wyrznąłem łbem o szynkę, którą z takim oddaniem, wskazując na stół, wieszał z rana radny Robert. Łeb cały, szynka też.

– A się zasapałam! Uff, a powiedz, panie redaktorze, ty byś umiał krowę wydoić? Bo Maryśka ma krowę – mówi zaczepnie pani Basia.

– Pani Marysia chyba lepiej się na tym zna niż ja.

– Ale to nie krowę miałbyś wydoić, tylko Maryskę, he, he, he!

Prawnuczka

Z wiekowej fotografii w sepii spoglądają czytelnikowi prosto w oczy: Władysław Grabski, dwukrotny premier, i Stanisław Wojciechowski, drugi prezydent II Rzeczypospolitej. To w tle. Na froncie ich prawnuczka – z grzywą rozwianą i twarzą wygładzoną komputerowo, Małgorzata Kidawa-Błońska, kandydatka Koalicji Obywatelskiej na premiera.

Tygodnik „Polityka” zaserwował czytelnikom taką jedynkę trochę ponad miesiąc przed wyborami. „Prawnuczka” waliła po oczach z okładki wielkimi literami. I przykleiła się do kandydatki na dobre.

Sztab trochę nie wiedział, jak się ustawić wobec tej etykiety. Z jednej strony wśród liberalnych wyborców z klasy średniej na pewno żywa jest fantazja o arystokracji, która swoją błękitną krwią przydałaby powagi Polsce i Polakom. Jakby można to było zrobić tak łatwo, jak przykleić Orłu Białemu złotą koronę. Z drugiej strony sztabowcy, których poznałem w trasie z Kidawą, dobrze wiedzą, że to pīs ustala scenografię w wyścigach kampanijnych, a kostiumy arystokratów, elit i wyższych klas przewidziane są raczej dla czarnych charakterów. Politycy po też chyba nie do końca potrafili zachować umiar między wizerunkiem królowej ludzkich serc, zaprowadzającej pokój i kończącej właśnie, a ordynarną obroną przyrodzonego prawa arystokracji do rządzenia.

– Geny Kidawy-Błońskiej to są znamiona formatu prezydenckiego. Oprócz tego jest osobowość – wypalił Janusz Lewandowski w radiu Tok FM już po wyborach parlamentarnych, kiedy kandydatka uzyskała partyjną nominację do kolejnego wyborczego wyścigu.

Dołączyłem do niej na kilku przystankach w trasie, w Warszawie i Gdańsku. Za każdym razem miałem wrażenie, że ekipa w busie radzi sobie całkiem nieźle, tylko trochę tak jakby jechała już w innej kampanii. Tej prezydenckiej, która miała rozpocząć się dopiero za pół roku. Wyborcy nie mieli z tym akurat wielkiego problemu. Ściskali „panią Małgosię”, lamentowali jej w mankiet, a ona dzielnie słuchała, zapisywała dane kontaktowe i ostrożnie obiecywała wsparcie.

* * *

Już nie wiem, czy z tych chmur padał wtedy deszcz, czy po prostu było tak zimno i wilgotno, że miało się wrażenie, jakby unosił się w powietrzu. Pamiętam na pewno, że Pałacowi Kultury było w tej aurze wyjątkowo do twarzy. Za chwilę w namiocie tureckim, ustawionym przy wejściu od Marszałkowskiej, miała usadowić się Kidawa-Błońska. Spóźniała się trochę, bo zaliczyła przed chwilą porządną aferę pod centrum medycznym Attis na warszawskiej Woli.

Zacząło się jak najnudniejszy dzień w kampanii. Odsłonięcie tablicy powstańczej, jakich w Warszawie setki, jeśli nie tysiące. Kombatanci, białoczerwone szarfy, patos i wkurwieni przechodnie, którym zablokowano chodnik, przez co musieli nadłożyć pięć kroków więcej do pracy. Później wizyta w pustym centrum medycznym – pięknie wyremontowane sale, jak ze szpitala w Leśnej Górze w *Na dobre i na złe*. Zwiedziliśmy nawet nieczynny, choć zupełnie nowy, blok operacyjny. Zeszliśmy korytarzami na sam dół, gdzie za drzwiami już czekały stół, światła i dwa telewizyjne ekrany. Kandydatka ustawiła się przy stole, obraz na wyciemnionych ekranach ożył i za plecami Kidawy-Błońskiej zobaczyliśmy nagranie z sondy wędrującej po czyichś flakach. Fotoreporterzy byli wniebowzięci, gościni trochę mniej.

Ordynator w każdej sali mówi dziennikarzom i pani marszałek o skutkach polityki p-is-u dla zdrowia warszawiaków i warszawianek. Oddział onkologiczny, który zwiedzamy, nie otrzymał kontraktu z Narodowego Funduszu Zdrowia. Radni stołecznej p-o twierdzą, że to polityczna zemsta Prawa i Sprawiedliwości. Rzecznik funduszu z kolei, że zarzuty są pozbawione zasadności, bo przecież inne miejskie szpitale zarządzane przez samorząd Trzaskowskiego pieniądze dostały.

Po wycieczce konferencja prasowa z udziałem prezydenta miasta.

I znów to samo: p-is zły, bo onkologia nie może leczyć bez kontraktu NFZ. Czy są pytania?

I jebło.

– Panie prezydencie, chcę się spytać. Kiedy te gówna przestaną płynąć? Gówna mi wywożą na pola – drze się wniebogłosy jakiś typ.

Wygraża Trzaskowskiemu rękami. Skórzana kurtka napina mu się na plecach. Twarz robi się wyraźnie czerwona, co pięknie kontrastuje z cieniutkim siwym wąsem.

– Dzieci w nędzy przez was żyją! – wtóruje mu ktoś w doprawdy przedziwnym stroju.

Sądząc po głosie, to chyba kobieta, ale trudno powiedzieć, bo twarz ma zababuloną w jakieś szmaty. Do tego dżinsowa kurtka i wielka dżinsowa czapka. Zamaskowana lży Trzaskowskiego, wyzywa go od złodziei, kłamców. Dorzuca jeszcze coś o gównie, którym spływa Warszawa.

– Proszę powiedzieć, gdzie dokładnie jest ta działka, o której pan mówi. Proszę podać adres. Wyślemy tam ludzi i wszystko wyjaśnimy – odpowiada zdecydowanie prezydent.

Wkurwiony facet zachowuje się tak, jakby nie słyszał. Dalej pluje się o gównie, fekaljach, ściekach, srace, którą Trzaskowski przekierował mu rzekomo na posesję. Wszystkie obelgi lecą pod jego adresem. Kidawa stoi obok i słucha.

Jej partyjny kolega nic sobie z nich nie robi, marszczy tylko brew. Podchodzi do mężczyzny, któremu właśnie sztabowiec Kidawy odebrał mikrofon.

– Proszę pana, słyszę, co pan mówi. Nie ma potrzeby krzyczeć. Proszę, żeby pan podał adres, ja go chętnie zapiszę, pojedziemy tam i sprawdzimy. – Głos jest spokojny, ale zdecydowany.

– Nic nie będę panu podawał! Gówna płyną! Gówna z Czajki! – Facet dalej drze ryja, choć już z lekką chrypą.

Trzaskowski dziękuje mu „w takim razie”. Konferencję trzeba zakończyć, bo przez krzykaczy po prostu nie da się jej prowadzić. Dwójka rozbójników po skończonej robocie oddala się za róg. Typ w skórzanej kurtce krokiem spokojnym, zamaskowana kobieta w pełnym kamuflażu. O konferencji wiedziały wyłącznie media, więc musieli dostać cynę, że przez piętnaście minut na chodniku, w tym i tym miejscu mają narobić dymu. Kiedy Trzaskowski proponował im rozwiązanie, najpierw się spieszyli, ale szybko powrócili do kilku fraz o ściekach, Czajce i gównie.

TVP grzeje temat awarii w oczyszczalni ścieków Czajka już kolejny tydzień. Historia jak marzenie. Z użyciem kilku eufemizmów można przez dwadzieścia cztery godziny na dobę cisnąć komunikat: Trzaskowski pompuje wam do kranów wasze szczyny i gówna. Wówczas stołeczny radny Sebastian Kaleta domaga się nawet z tego powodu dymisji prezydenta Warszawy. Ale ciągła zmasowana krytyka w formule „wszystkie chwytły dozwolone” nieźle Trzaskowskiego zahartowała.

Pamiętam go całkiem dobrze z kampanii samorządowej: mdły, bez pomysłu, obrażony, że w ogóle musi udowadniać swoje prawo do tronu w stołecznym ratuszu. Patryk Jaki grał w piłkę z Markiem Citką, rozdawał jabłka dzieciom i przymilał się do seniorów na Bielanach, a Trzaskowski nabzdyczał się na konferencjach. Dziś wszyscy pamiętają wyłącznie jego miażdżące zwycięstwo w pierwszej turze. Ale pamiętają je tak dobrze tylko dlatego, że było zaskoczeniem.

Na konferencji pod szpitalem był już zupełnie inny: pewny siebie, jakby chciał zmanifestować wszystkim wokół, że dwoje awanturników nie wyprowadzi go z równowagi. Wyszedł zza mikrofonów i stanął *face to face* z ludźmi, którzy najchętniej splunęliby mu w twarz. Wzbudzanie entuzjazmu i podniecenia wśród zwolenników na kampanijnych eventach to jedno. Ale nie pozwolić ośmieszyć się ulicznym zadymiarzom to coś zupełnie innego.

Obydwie umiejętności są całkiem przydatne w młynie kampanii.

Również Kidawa-Błońska nieraz miała okazję zaprezentować swoją sprawność w dyscyplinach polityczno-ulicznego wieloboju. Razem z jej sztabem wędrowały namiot turecki i kilka plastikowych krzeseł. Rozstawiano je na publicznych placach, które wizytowała kandydatka KO. Siadała pod płachtą, żeby przez kilkadziesiąt minut słuchać głosu lokalsów. „Powiedz Kidawie o sprawie” – zachęcali wolontariusze, a przechodnie rzeczywiście ustawiali się w kolejce. Format całkiem sensowny, spójny z wizerunkiem dobrotliwej, cierpliwej matki, która bierze pod swoje skrzydła naród zmęczony wiecznymi waśniami.

Był jeden szkopał: ludzie przychodzili pod namiot lamentować, z pretensjami, niektórzy wprost z wyrzutami. I nie byli to „krzykacze”, tylko – jak sami mówili – zwolennicy Platformy. „Powiedz Kidawie o sprawie” szybko zamieniło się w kampanijną wersję *Trudnych spraw*.

Dla przypomnienia: od blisko czterech lat Polską rządzi PiS, nie Platforma. Pewnie gdyby zapytać każdego z lamentujących z osobna, odpowiedź brzmiałaby, że zdają sobie z tego sprawę. Pierwsze skojarzenie jest jednak dużo prostsze: PO, czyli ci, co rządzą.

– Pani marszałek, dlaczego kiedy rządziście, nie zajęliście się związkami partnerskimi?

– Jestem osobą transseksualną od lat dziewięćdziesiątych. Pytam się: gdzie jest ustawa o uzgodnieniu płci?

– Co Platforma zrobiła w sprawie zmian klimatu?

– Jestem osobą bezdomną, chorującą psychicznie, i nie zaczęło się to wczoraj.

A za chwilę zapewnienia, że Platforma to wciąż ich pierwszy wybór przy urnie.

Macherom z PiS-u tak udawało się rozgrywać pierwszą kadencję, żeby ich elektorat pozostawał w ciągłej gotowości. Walka trwa, postkomunistyczne złogi rządzą mediami, nadzwyczajna kasta sądami, a agenci wpływu całą resztą. Tak naprawdę siły zła ciągle są u władzy, a wygrana w wyborach to tylko krok na drodze do prawdziwego zwycięstwa. Swoją drogą, Platforma nie wykazała się sprytem i pozwoliła się ponieść toksycznym emocjom i łatwym diagnozom swojej porażki.

Na konwencji programowej Koalicji Obywatelskiej w Pałacu Kultury i Nauki snułem się trochę po dyskusjach tematycznych. Wśród wypełniających pałacowe wnętrza emocji dominował żal – do wyborców, że nie widzą w Platformie tego, co zobaczyć powinni, czyli ludzi naturalnie predysponowanych do sprawowania władzy. Bo politycy PO traktują swój czas w opozycji jak aberrację, tymczasowe wakacje od miejsca pracy, do którego wrócą po kilkuletniej przerwie. Skutek jest taki, że Kidawa-Błońska musi zbierać cięgi za lata rządów Platformy, a obiecać nie może niczego, bo żaden sondaż nie daje KO cienia szansy na zwycięstwo.

* * *

Dokładnie tak jak pod namiotem w Warszawie jest na Targu Węglowym w Gdańsku.

Kandydatka przyjechała do Trójmiasta autokarem ze swoją podobizną po błogosławieństwo – od bohatera Solidarności, byłego prezydenta RP, noblisty i jednego z najbardziej zagorzałych krytyków Jarosława Kaczyńskiego.

– Pani marszałek, z apaszką czy bez apaszki? – pyta specjalistka od wizerunku.

– Oj, na pewno z apaszką, nie oddam apaszki. Gdzie ten nasz prezent dla prezydenta? Pokażcie mi go raz jeszcze – ordynuje Kidawa-Błońska.

– Już, już, pani marszałek.

Pani marszałek? Serio?

Od kilku godzin w ciągłej spinie czasowej latają po mieście. Muszą trzymać gardę wysoko, nie powiedzieć nic głupiego, uśmiechać się do zdjęć, odpowiadać na pytania TVP. Teraz w autokarze to pierwsza chwila,

kiedy sztabowcy pozwalają sobie na trochę luzu. I nawet wtedy nie mówią do swojej liderki Gosiu ani Małgosiu? Dziwne.

Lech Wałęsa przed miesiącem skończył siedemdziesiąt sześć lat. Pani marszałek ekscytuje się właśnie specjalnym wydaniem Konstytucji RP, które zamierza mu wręczyć. Egzemplarz waży kilka kilogramów, tekst wydrukowany na czerpanym papierze. Faktura taka, że można sobie masować opuszki palców. Bardzo przyjemne uczucie, ale nie palczę długo, bo jeszcze ubrudzę. A nie chciałbym narazić się jubilatowi.

Winda zapchana kamerami. Ding, drugie piętro, drzwi na lewo. Przy wejściu stoi *on*, cały z drewna, Lech Wałęsa. Wyrzeźbiony w rozmiarze większym niż naturalny. Na ścianie też *on*. Lech Wałęsa na czarno-białym zdjęciu niesiony na rękach, Lech Wałęsa na płótnie w wersji pop-artowej, obok Lech Wałęsa mroczny, ekspresjonistyczny. Po drugiej stronie korytarza zdjęcia i obrazy z Wałęsą ciągną się dobre kilkanaście metrów.

– No, widzę, że trochę spóźnieni, ale niech będzie! – w swoim niepowtarzalnym stylu wita Kidawę-Błońską prezydent.

Na ścianie Piłsudski na kasztance, drewniany krzyż, papież Polak, święty Jan Paweł II. U boku syn Jarosław. Kilka miesięcy wcześniej przegrał wybory do europarlamentu, a rok wcześniej wyścig z Pawłem Adamowiczem o fotel prezydenta Gdańska. Teraz jest dwójką na liście Koalicji Obywatelskiej do Sejmu. Wie, że miejsce w ławach parlamentarnych ma zagwarantowane.

Wymiana uprzejmości między Kidawą i Wałęsami, konstytucja wręczona, media wypad za drzwi. Wracamy posłuchać, co po zamkniętym spotkaniu mają do powiedzenia obie strony.

Udało się.

Napięcie całego dnia schodzi dopiero po wejściu do autokaru.

– W świetnej formie pan prezydent, musicie przyznać – mówi Kidawa-Błońska.

Znaczy to mniej więcej tyle, co: „Dzięki Bogu, Wałęsa nie zrobił nic kompromitującego. Mamy ładne obrazki i poparcie”. W tej radości jest coś z hazardowego podniecenia. Ruletka poszła w ruch. Obstawione czerwone. Pyk, pyk, metalowa kulka obija się o barwne koło, i pyk, jest czerwone! Bo wizyta u Wałęsy to był hazard. Za zamkniętymi drzwiami gospodarz mógł się przecież obrazić i nie udzielić poparcia. Co wtedy pani marszałek powiedziała dziennikarzom? Albo zwyzywać Kaczyńskiego od

najgorszych, albo pleść coś o kosmitach, bo i to mu się przecież ostatnio zdarzało. Prezydent jednak był grzeczny.

Ekipa wraca z kartami pamięci pełnymi pięknych ujęć „prawnuczki” i wielkiego Polaka.

Hazard na dłuższą metę? Nie polecam. Za dwa tygodnie wszyscy, którzy w busie ekscytowali się poparciem Wałęsy, mieli zobaczyć na własne oczy, jak przegrywają wszystko, co ugrali w Gdańsku. Wszystko i jeszcze trochę więcej.

* * *

– Dlaczego naród odbiera was tak, jak odbiera? Ja wiem i dlatego zwyciężałem, i dobrze was prowadziłem, ale w tamtym czasie słuchaliście mnie, a od jakiegoś czasu nie słuchacie – intrygująco otwiera wystąpienie Lech Wałęsa.

Gestykułuje rękami jak charyzmatyczny kaznodzieja. Pomarańczowe okulary z plastiku, koszulka KONSTYTUCJA i marynarka z Maryjką w klapie to kostium, któremu pozostaje wierny od ostatnich wyborów.

Były prezydent stoi na scenie konwencji Koalicji Obywatelskiej w hali na warszawskim Żeraniu. Do wyborów tydzień. Nie zagrzewa do walki, nie komplementuje, nie mówi o Platformie ani o Kidawie-Błońskiej ciepło i z troską. Ewidentnie jest dzisiaj lekko wkurwiony: na Kaczyńskich, na pis, ale tak samo na PO. Zaczyna mówić o zmarłym kilka dni wcześniej Kornelu Morawieckim. Niejasno. Że wybaczył mu, bo tak trzeba po chrześcijańsku.

– A co oni z niego robią? Bohatera! A on w środku, stan wojenny, atakują nas ze wszystkich stron, a on kozak zakłada Solidarność Walczącą. Co to było? Zdrada, proszę panów. Zdrajca. Taka jest prawda – grzmi.

Stoję za sceną z obiektywem aparatu wycelowanym w pierwszy rząd. Dlatego mija kilka sekund, zanim dociera do mnie to, co właśnie się wydarzyło. Lech Wałęsa najpierw zjechał Platformę jak burą sukę, złajał Schetynę, wylał osobiste żale, a na koniec zelżył od zdrajców zmarłego przed trzema dniami marszałka seniora, tatę premiera. No, nawet jak na złotoustego byłego prezydenta to niezły show. A to jeszcze nie koniec.

– Zastanówcie się bardzo mocno, czy można dziś internetem, programami pokrzywić wybory. Bo chyba na to postavili, takie mam informacje, że już w tych wyborach do Parlamentu Europejskiego, już was

przekręcili w jakiś sposób komputerowo. Sprawdźcie to. Nie mam dowodów, ale mam informacje – daje do wiwatu Wałęsa.

Spoglądam na zdjęcia polityków siedzących przy scenie, których ustrzeliłem w trakcie przemowy legendy Solidarności. Pierwszorzędne miny. Małgorzata Tracz z Zielonych: zęby zaciśnięte, dłonie splecione na nodze, wkurwiona. Katarzyna Lubnauer nerwowo buja się na obcasach i rozgląda, jakby potrzebowała potwierdzenia, że to się dzieje naprawdę. Trzaskowski podpiera głowę ręką; wie, że to naprawdę, i wcale go to nie dziwi. A obok Kidawa, zapadnięta głęboko w krzesło, załamana. Schetyna wytrzeszczył oczy i w stuporze gapi się na scenę. Młody Wałęsa mruży powieki, jakby próbował z ojcowskiej gadaniny uszyć jakiś sens. Barbara Nowacka tak samo zła jak przewodnicząca Zielonych.

Sztabowcy, których pamiętam z autokaru Kidawy w Gdańsku, stoją jak wryci, wpatrzeni tępo w pustą już mównicę. Z głośników pokrzykuje Tomasz Zimoch, komentator sportowy, który zasłynął zdzieraniem gardła na antenie w czasach małyszomanii, a oni nie potrafią przestać przyglądać się pustce.

Czy chcemy być polskimi Polakami?

Kampania PiS-u jest obliczona na jeden cel: dowieźć sondażowe poparcie do urn w dniu wyborów. Na większość pozwalającą legalnie zmienić konstytucję nie ma na razie realnych szans. Ale poparcie utrzymuje się na stałym poziomie oscylującym wokół czterdziestu procent. To oczywiście komfortowa sytuacja i każdy polityk dałby wiele, żeby się w niej znaleźć. Ale z psychologicznego punktu widzenia to katorga, bo można tylko stracić.

Prawo i Sprawiedliwość w kampanii nie ryzykuje. Stawia na sprawdzonych graczy i przewidywalne formaty.

Eksperymenty z pluszowym kaczoem z otwartych letnich pikników idą w odstawkę. Teraz prezes co kilka dni występuje na dużych, poważnych konwencjach i mówi mniej więcej to samo: jest dobrze, będzie jeszcze lepiej, tylko trzeba zagłosować na PiS. Nie da się na te eventy wejść z ulicy. Zwolennicy partii muszą wcześniej zapisywać się na listy u swoich posłów i radnych, choć jak nieraz okazuje się pod drzwiami, nawet to nie gwarantuje sukcesu. Prezes uświetnia, lokalni działacze grzeją się w blasku lidera. Z każdej takiej imprezy, relacjonowanej na żywo przez TVP, idą później nagrania w wieczornych wydaniach telewizyjnych *Wiadomości*.

Siedlce, Legionowo, Piotrków Trybunalski, Białystok, Sieradz, Wadowice, Bielsko-Biała to tylko niektóre miejscowości, w których Jarosław Kaczyński w swoim minimalistyczno-żałobnym uniformie występuje na tle biało-czerwonej ścianki z sukcesami PiS-u: obniżenie podatków, szczelny system podatkowy, bezrobocie najniższe od dwudziestu sześciu lat, darmowe lekarstwa dla seniorów 75+. I największy napis: Rodzina 500+.

Dwa tygodnie przed wyborami jadę do Częstochowy, by zobaczyć prezesa w akcji.

* * *

Kominy wysokich na kilka pięter kamienic wyrzucają gęsty mlecznoszary dym. Palą chyba zdechłymi kotami. W gardle gryzie mnie od wyjścia ze stacji kolejowej, oczy zaczynają piec dopiero przy hotelu. Nad szyldem

z napisem BAR dumnie wyeksponowana pojedyncza gwiazdka, powietrza brak, siekiera od szługów. Pani na recepcji każe czekać, bo klient na telefonie.

– Nie, nie dam panu rabatu pięć złotych, bo kolega będzie spać na podłodze. Sztuka jest sztuka, musicie zapłacić za trzy miejsca – mówi zniecierpliwiona do słuchawki.

Sprawa wydaje się prosta, ale na klucz poczekam jeszcze pół godziny. I dowiem się, że nie chodzi o jakieś tam zasady, tylko o eksploatację. Bo jak on śpi na tej podłodze, to przecież ją zużywa, prawda?

Na schodach Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego imienia Jana Długosza tłum aż wylewa się na chodnik. Sami starsi, zziębnięci i wkurwieni już srogo ludzie. Na kimś trzeba się wyżyć.

– A pan co z tymi balonami? Na urodziny przyszedłeś? – Krewki dziadek startuje do faceta, który na pisowskiej konwencji pojawił się z pękiem wypełnionych helem balonów.

– Nie interesuj się pan.

– A co pan? Co tak chamsko?

– No co? Co?

Na takich wymianach zdań spędzamy ze trzy kwadranse.

Wreszcie wchodzę do przedsionka: kilka stolików, burdel na cztery fajery. Listy porozrzucane. Wszyscy wydzwanają do pani kierownik. Ochroniarz siłuje się z postawnym wąsatym chłopem. Pandemonium.

– Co mnie obchodzi, że mnie nie ma na liście? Ja tu mam zdjęcie z panią senator! – Ten sam krewki, co przed wejściem, wyciąga z kamizelki wymiętoloną fotografię. Z lewej on, uśmiechnięty, z prawej jakaś kobita w garsonce, uśmiechnięta mniej. – Co to znaczy, że nie wejdę? Widzisz pani to zdjęcie? Tutaj ja, a tutaj pani senator!

Bez skutku. Nie to nie, ale pan nie rozumie. Zastawia sobą drzwi i rozpiera się w nich, taki częstochowski Rejtan. Jest w posiadaniu artefaktu, który do tej pory otwierał mu wszystkie drzwi. A jak nie wchodzi, to nikomu wejść nie pozwoli.

Władza to narkotyk, wiadomo. Na wydarzeniach tego typu nauczyłem się, że im jej mniej, tym silniejszy. Kiedy ochroniarz dostaje w końcu polecenie wyprowadzenia krewkiego dziadka, odpala się, jakby był Kevinem Costnerem i walczył o życie Whitney Houston. Ręka wykrecona, druga na kark, i pcha chłopca na drzwi. Dziadek wylatuje.

Na schodach witają go lampy błyskowe reporterów czekających na wjazd.

Próbuję kogoś zainteresować legitymacją prasową, aż wreszcie dostaje informację, że media zostaną wpuszczone pięć minut przed rozpoczęciem. Dlaczego? „Żebyście się nie kręcili”.

Na zewnątrz piżdzi niemiłosiernie. Z nudów dzwonię do kolegi z newsów, zazwyczaj dobrze poinformowanego o ruchach na pisowskim dworze. Pytam, co to za zwyczaj, że trzyma się dziennikarzy na piżdziawie.

– Oni teraz mają pierdolca, po akcji w Lublinie. Na konwencji programowej zamknęli nas w press roomie, dali ciastko, kawę i ekrany z przemówieniami Kaczora. Dwóm gałganom się nudziło, więc zaczęli krążyć po rejonie. Wracają jakąś godzinę przed rozpoczęciem i mówią, że mają program wyborczy. Skąd? A tak sobie leżał. To zaczęli trzaskać depesze z tego programu. Jak się taki jeden pisowiec z biura prasowego pokapował, to wpadł tam do nas, ryja na nich wydarł i kazał im spierdalać. Ochronę wołał. Okazało się, że pis nie zdecydował jeszcze, jaki dokładnie chce ogłosić program, i nadrukowane były różne wersje. A teraz wam dupy odmarzają w ramach represji na wolnych mediach, bo chłopaki zrobiły robotę jak należy. Patologia! – tłumaczy, zanosząc się od śmiechu.

Pięć minut przed rozpoczęciem jak spod ziemi pojawia się pająkowaty szef biura prasowego z naręczem identyfikatorów dla dziennikarzy. Wysłuchamy prezesa Kaczyńskiego w wersji *live*. Na scenie, a nie na schodkach ze smartfona.

Jak Częstochowa, to muszą paść słowa o duchowej stolicy Polski. Brawa. A jak duchowa stolica, to i prezes nie zapomina powołać się na świętego Jana Pawła II. Brawa.

– Trzynasty października to dzień odpowiedzi na pytanie o to, czy chcemy być Polakami. Albo powiem jeszcze więcej: polskimi Polakami – mówi Kaczyński.

Polscy Polacy w sali rozluźniają się po raz pierwszy od dramatycznych scen na schodach. Wkurw i podenerwowanie ustępują miejsca dumie. Duma to naprawdę coś, co da się zobaczyć. Siedzą wygodniej, wyprostowani, głowy chodzą delikatnie w pionie, raz w górę, raz w dół.

Kaczyńskiemu udaje się ją wywołać zawsze; wchodzi ludziom zaraz po tym, jak otrząsają się z początkowego podniecenia. W końcu oto stoi przed nimi najpotężniejszy człowiek w państwie, z krwi i kości. Nikt tak jak on

nie napełnia dumą ludzi na wiejskich piknikach, w salkach w Radomiu, Bielsku-Białej, Częstochowie. Nieważne, że Częstochowa kilka ulic od dworca się rozsypuje, ludzie hajcują szajsem i trują się smogiem. Prezes mówi jej mieszkańcom, że są ostoją polskości, polskimi Polakami, a „ideologia LGBT” to wiadomo – nowy stalinizm, któremu prawomyślni częstochowianie dają odpór modlitwami do Najświętszej Panienki.

W poprzedniej kampanii zapewniał ze sceny w Pułtusk, że dobrze zna piosenki disco polo. Teraz chyba puszcza oko do fanów klasyki polskiego hip hopu, bo mówi, że 13 października staniemy przed wyborem między Polską plus i Polską minus.

Plus i minus to jedyne, co widzę. Czy to plus, czy to minus?

Zanim prezes zejdzie ze sceny, przypomni jeszcze, że drużynę postępu prowadzi „nasz energiczny i utalentowany premier”. Tytułuje Morawieckiego w ten sposób od początku kampanii. Z rozpoznania partyjnych spin doktorów musi wynikać, że PiS może się przejechać wyłącznie na demobilizacji elektoratu wywołanej poczuciem totalnej dominacji.

* * *

Tydzień później jestem przy Kaczyńskim na finiszu kampanii, w Warszawie i Kielcach. Pod drzwiami Akademika Praskiego jest blisko rękoczynów, bo jeden z fotoreporterów nie chce pokłonić się zasadzie pięciu minut wprowadzonej przez biuro prasowe PiS-u. Tym bardziej nie chce przyjąć jej do wiadomości jego pełny pęcherz. Po pyskówce z sopowcem staje w kącie i udaje, że leje na drzwi.

– Dziennikarze będą wpuszczani pięć minut przed rozpoczęciem – słyszę beznamiętny refren z ust działacza młodzieżówki, wystawionego przed drzwi, by ogarnął coraz bardziej podkurwiony dziennikarski tłumek. Nie ugina się nawet pod groźbą obszczania przez fotoreportera. Pozostaje mu mieć nadzieję, że ktoś w partii doceni ten talent i stalowe nerwy.

– Idzie dwóch posłów korytarzami sejmowymi, przechodzą obok klubu PO-KO i słyszą takie gromkie: „Sto lat! Sto lat!”. „O, chyba urodziny mają”. „Nie, ustalają wiek emerytalny, jak dojdą do władzy” – rozbawia salę młody konferansjer zaraz po hymnie.

Mariusz Kamiński, szef służb i warszawskich struktur PiS-u, razem z prezesem pęka ze śmiechu.

Do końca kampanii kilka dni, wszyscy już wyraźnie zmęczeni. Kaczyński ze spotkania na spotkanie zaostrza kurs. W retorycznej miksturze coraz mniej o sukcesach partyjnej polityki społecznej, a więcej o zagrożeniu rodziny, obronie wartości, cywilizacyjnym wyborze między dobrem a złem.

Stoję ściśnięty w załadowanej po brzegi przestrzeni i staram się sobie przypomnieć, czy gdziekolwiek nasłuchiwałem się tyle o gejach i lesbijkach, co na ostatnich pisowskich eventach. W tej kampanii to obowiązkowy punkt każdego wydarzenia z udziałem prezesa.

Kaczyński tak się rozhuśtał w swojej gniewnej przemowie, że w końcu na jednym oddechu ze złością wyrzuca z siebie, że tylko PiS jest w stanie zagwarantować takie państwo, które nie zgodzi się na małżeństwa jedнопłciowe, adopcje dzieci przez pary homoseksualne i eutanazję. „Wybierzcie nas, bo inaczej geje zabiorą wasze dzieci, a później was uśmiercą” – tyle zostaje z zacierzewanego przekazu. Nie przypominam sobie ani partii, ani nawet jednego kandydata, który walczyłby o taki zestaw postulatów. Nawet lewica, która jako jedyna podpisuje się pod równością małżeńską i adopcją dzieci przez osoby LGBT, nie grzeje tych tematów na spotkaniach z wyborcami. O eutanazji nie mówi dosłownie nikt.

Prezes doskonale wie, że nie walczy z żadnym „lewactwem” ani opozycją. On walczy teraz ze swoim elektoratem. Wie, że musi go obudzić, bo inaczej przegra. Tak właśnie wygląda paradoks formacji, która po zwycięstwo wyborcze kroczy zbyt pewnie – największym zagrożeniem są jej wyborcy.

Skoro nie widać na horyzoncie żadnego załamania gospodarczego, a sytuacja międzynarodowa też wydaje się całkiem stabilna, to po co w zasadzie iść i głosować? Murowanym zwycięzcą będzie, według wszystkich sondaży, Prawo i Sprawiedliwość, więc pokrzykiwania, że: „Zabiorą to, co myśmy dali”, z poprzednich wyborów po prostu nie wzbudzą wystarczającego lęku. Nie da się skutecznie straszyć wciąż tym samym. Co w takim razie odpali zadowolonych z osobistej sytuacji materialnej wyborców? Walka o symbole. Walka o wartości. O to, żeby być polskimi Polakami.

Po miesiącach przygotowywania gruntu przez prawicowe media kandydat na mobilizacyjnego straszaka mógł być tylko jeden – osoby LGBT. Kiedy Kaczyński z Morawieckim objeżdżali pikniki podczas wakacji, „Gazeta Polska” wywołała burzę, publikując naklejki z napisem

„Strefa Wolna od LGBT” i przekreśloną tęczęwą flagą. Na południowym wschodzie kraju radni kolejnych gmin podejmowali uchwały potępiające „ideologię LGBT”. Swoje trzy grosze dołożyli hierarchowie kościoła – w odpowiedzi na coraz głośniejsze pedofilskie skandale wśród kleru przystąpili do zwalczania „tęchowej zarazy”.

Naklejki szybko zrobiły międzynarodową karierę. Sam odebrałem kilka telefonów od dziennikarzy z zagranicy, którzy domagali się potwierdzenia, że historia o strefach wolnych od LGBT to prawda. „Na skraju Unii Europejskiej, między Niemcami a Rosją, homofobia rośnie w siłę” – oto idealne story dla zagranicznej prasy. Z kolei dla „Gazety Polskiej” świetna okazja, żeby wyruszyć na krucjatę w obronie wolności słowa i tradycyjnej rodziny.

Temat samograj dla jednych i drugich. Nic nie generuje tylu klików, co słuszne oburzenie.

Sztabowcy PiS-u musieli odnotować sobie latem, co w tym sezonie będzie rozgrzewać polityczne emocje do czerwoności. Kilka miesięcy później, kiedy pojawiły się obawy o mobilizację elektoratu, skorzystali z notatek.

* * *

Następnego dnia w Kielcach grane było mniej więcej to samo: PiS spokojnie dowoził zwycięstwo do mety, a po drodze odhaczał kolejną ważną porcję elektoratu. W hali ekspozycyjnej targów Kaczyński wspólnie z premierem, ministrem rolnictwa i byłą premier Szydło przymilali się do wsi.

– Siedziałem na YouTube z godzinę, i dalej nie mogę! No nie umiem, pomoże pan, co? – pyta mnie na parkingu młody strażak, cały czerwony ze stresu.

Wspólnymi siłami udaje się nam zawiązać czarny krawat. Wystaje trochę końcówka, ale chłopak chowa ją za kamizelkę.

– Dla prezesa tak się odstawiłeś czy dla premiera? – pytam.

– Prezes prezesem, a premier premierem. Jakby szef zobaczył bez krawata, tobym miał dopiero przejebane! Dzięki!

W tle bociany, pola, łąki, łany zboża. Na scenie zespół ludowy maltretujący *Mazurka Dąbrowskiego* na modłę dożynkowej przyśpiewki. Zaraz po nich prezes. Minuta ciszy za zmarłego Jana Szyszkę, byłego

ministra środowiska i arcywroga ekologów broniących Puszczy Białowieskiej przed wycinką.

– Majestat śmierci nie pozwala mi dzisiaj o tym mówić, ale trzeba będzie o tym powiedzieć, bo to nie był przypadek, że akurat dzisiaj, akurat teraz. – Kaczyński insynuuje, nie wiadomo co i komu. Robi się z tego taka afera, że już następnego dnia tłumaczy się w rozmowie z Polską Agencją Prasową, że chodziło mu o to, że kampania potrafi być tak wyczerpująca, że można od niej umrzeć. Pełna zgoda.

W Kielcach, tak samo jak w Częstochowie i Warszawie, są Polski plus i minus, doganianie Niemiec przez energicznego i utalentowanego premiera Morawieckiego i mobilizacja elektoratu przed niedzielnymi wyborami.

Za kilka dni okaże się, czy skuteczna.

Zasługujemy na więcej

- Panie premierze, panie premierze!
- Do nas jeszcze, uśmiech!
- Panie premierze, o tutaj, w obiektyw!

Kaczyński właśnie wrzucił swój głos do urny w Szkole Głównej Służby Pożarniczej. Tak zrelaksowanego jeszcze go nie widziałem. Na poprzednich wyborach, gdy jeden z fotoreporterów zanurkował za nim do budki do głosowania, sarknął na niego i mało mu nie chlasnął w aparat. Teraz uśmiechnięty, reaguje nawet na pokrzykiwania dziennikarzy jak celebryta na ścianie, spogląda to w jeden obiektyw, to w drugi. Czarna elegancka skoda odbiera go spod szkoły. Zobaczymy się za kilka godzin, na wieczorze wyborczym na Nowogrodzkiej.

Kalkulacja jest prosta: albo przyjdę za wcześnie i będę kisnąć na przestrzeni kilku metrów kwadratowych na górze, albo na czas, ale wtedy ryzykuję, że kolejka na schodach się przytka i wieczór wyborczy obejrzę sobie w telefonie, ściśnięty na klatce schodowej z sopowcami i dziesiątym szeregiem powiatowych działaczy PiS-u.

Dwie godziny do końca ciszy, a na górze już tłoczno. Kelnerzy w wyprasowanych koszulach i czarnych muchach śmigają przez zagrodę dla dziennikarzy i donoszą bankietowe kanapeczki na zaplecze. Przebrane resztki wracają po kilku minutach, kelnerzy pozwalają nam je wyżerać.

Ostatni wytrwali gramolą się z czyścica klatki schodowej do raju wyborczego zwycięstwa, które ma zostać ogłoszone już za chwilę. Spoceni jak szczury, objuczeni aparatami, statywami, małymi drabinkami, cisną się przy recepcji. Ze ściany spoglądają na nich beznamiętnie Lech i Maria Kaczyńscy, zastygli oprawieni w ramki.

Z miejsca, w którym stoję, szczerze mówiąc, gównu widać, ale co jakiś czas kukają do nas ciekawscy politycy. Myny mają nietęgę, bez śladu entuzjazmu z ostatniej nocy wyborczej, kiedy to ograli Platformę, wroga numer jeden w rywalizacji o brukselskie mandaty. W końcu apetyt rośnie w miarę jedzenia. A z tego, co donoszą bardziej gadatliwi dziennikarze na naszych paru metrach, kawałek wyborczego tortu jest na granicy bezwzględnej większości.

– Proszę państwa, mamy zwycięstwo – ogłasza prezes.

Nie cieszy się. Wygląda jak na pierwszym lepszym briefingu. Tłum klaszcze, ale nikt nie skacze, nie krzyczy „hura”, nie pogwizduje. Po sali niesie się: „Ja-ro-sław! Ja-ro-sław! Ja-ro-sław!”, ale jakby bardziej z obowiązku niż z ekscytacji, jaką zdarzało mi się widywać w kampanii czy na miesięcznicach.

Wywoływany jest daleki od huraoptymizmu.

– Jeśli przed nami kolejne cztery lata rządzenia, to czeka nas najpierw refleksja nad tym wszystkim, co się udało, o czym mówiliśmy, ale także nad tym, co się nie udawało i co spowodowało, że poważna część społeczeństwa jednak uznała, że nie należy nas popierać, mimo przecież zupełnie ewidentnych i oczywistych osiągnięć. Musimy o tym pamiętać, bo jesteśmy formacją, która zasługuje na więcej. Otrzymaliśmy dużo, ale zasługujemy na więcej.

– Ja to za dużo widziałem, żeby teraz się podniecać tymi wynikami, młody – zagaduje do mnie pod pustą już sceną brzuchaty gość w góralskim stroju. Chwali się tajemniczo, że zajmuje się polityczną kuchnią od trzydziestu lat. Gdy dopytuję, rozwija, że to taki branżowy żart. Jest cukiernikiem i obsługuje polityczne wydarzenia pis-u.

– Od Przemysła po Brukselę. Dobry biznes – zapewnia.

Część III

Przykaz, żeby nie cieszyć się za bardzo

– Zapraszam bliżej sceny, zapraszam. Jeśli nie będziecie wchodzić na górę i przemawiać, to raz-dwa pod scenę! – Młody chłopak z idealnym przedziałkiem maszeruje po podeście. Komendy wydaje krótko i zwięźle, jak w wojsku. Patrzy po ludziach, którzy zachęteni nawoływaniami dali się wyciągnąć z bezpiecznej ciemności, gdzie nie sięgały światła reflektorów. – Przypominam, że przy scenie stoją osoby wyglądające reprezentacyjnie. Osoby bez koszul, bez marynarek, takie, no, źle wyglądające, które uznam, że nie powinny tu być, po prostu wyproszę. Oczywiście za wyjątkiem kobiet. – Puszczą oko w przestrzeń.

Na jego twarzy gości jeszcze przez chwilę uśmieszek.

Żeby było jasne: każda ekipa selekcjonuje ludzi znajdujących się w zasięgu kamer. Wszyscy za wysocy, za niscy, ci, którzy psuliby kadr, najczęściej sami wiedzą, żeby się nie pchać. Bardziej postępowe ekipy dbają z kolei, żeby kadr nie był zbyt nudny. Różnorodność! Starych ustawiają na przemian z młodymi. I najważniejsze – sprawdzają, czy w obrazku nie ma samych facetów. Na imprezie Konfederacji po raz pierwszy, i jak na razie ostatni, widzę, że ktoś wprost każe brzydalom schować się z powrotem w ciemnościach.

Gościu z bebechem wystającym spod niebieskiego T-shirtu bardzo chce być pod sceną, ale konferansjer nie zna litości. Wzrokiem odprowadza go poza zasięg światła. Ostatecznie udaje mu się znaleźć miejsce zaraz pod godłem. Orzeł Konfederacji różni się od tego oficjalnego, na koronie ma krzyż, a dziób dumnie zadarty.

To wszystko dzieje się jeszcze przed wyborami parlamentarnymi. W blaszanej hali na warszawskiej Woli, w tym samym miejscu, w którym Konfederacja ma za chwilę głosować nad swoim kandydatem na prezydenta.

Znajduję bezpieczne miejsce przy stole z drażami Korsarz i zastanawiam się, czy organizatorzy znów zdecydowali się na formułę maratonu. W trakcie kampanii przed poprzednimi wyborami siedzieliśmy w tym blaszaku przez dobrych kilka godzin. Kiedy wygadali się już Korwin, Braun i Winnicki, na scenę wchodził po kolei reprezentanci

konfederacyjnego planktonu: rolnicy wkurwieni na PIS, zasileni przez niedobitki po Samoobronie, reprezentantka chicagowskiej Polonii we fryzurze *à la* Alexis z *Dynastii*, antyszczepionkowcy pod wodzą Justyny Sochy, prolajferzy z dziećmi na rękach, partia kierowców (bez dzieci na rękach), kresowiaczy.

Potem już wyszedłem.

– Zero podatków i benzyna za trzy złote, to najważniejsze – pożegnał mnie przy wyjściu gościu w muszce.

Ale kilka miesięcy później Konfederacja się zmieniła. Plankton wciąż się kręci, lecz zna już swoje miejsce.

– Wiemy, na czym stoimy. Jedenastu posłów, pięciu od Korwina, pięciu narodowców i jeden Braun, czyli taki jęczyczek u wagi – tłumaczy mi Marcin przy drazach korsarzach.

Jest nieźle zmęczony, bo od rana ustawiał krzesła na partyjne prawyborzy. W wyborach do parlamentu – nie licząc własnego – zebrał dla Konfederacji ponad dwieście głosów. Startował z trzydziestego czwartego miejsca, więc z wyniku jest zadowolony. Najbardziej cieszy go, że po latach, od chwili gdy dołączył do Ruchu Narodowego, wreszcie powstał sojusz z wolnościowcami od Korwina. Sam ma poglądy mocno wolnorynkowe i jest za zniesieniem podatku dochodowego.

– Tych bardziej socjalistów, takich jak PIS, tutaj trochę też jest, ale co zrobisz? Nic nie zrobisz. – Rozkłada ręce.

Chrupiemy drażę korsarze i czekamy na start.

– Kto wygra dzisiaj? Słyszałem przy wejściu, że Braun – podpuszczam.

– Jak to kto? Nasz Krzysiu Bosak, wiadomo. Nie chcę się chwalić, ale ja z nim po imieniu jestem. Zobaczysz, to będzie prezydent. Wygadany, młody, ułożony, w debacie nie do pokonania – zachwala Marcin.

Lubi mówić, a mnie nie pozostaje nic innego, jak słuchać. Najważniejsza kwestia dla młodego narodowca to walka z rewolucją obyczajową. Czyli co dokładnie?

– LGBT, seksualizacja, aborcja, dekadencja – odpowiada hasłowo. – To wszystko, co Unia promuje.

Szczepienia? Dobrowolne. Podatki? Jak najniższe. Polska ma być polska, a nie niemiecka ani żydowska.

– Patrz, my możemy normalnie ten czas spędzić, gadając sobie. A zobacz na tych przed nami, co robią. – Odchodzimy na chwilę od stolika z drazami. Nic szczególnego nie widzę. Rzędy krzeseł, a na nich ludzie

(w ogromnej większości mężczyźni) wpatrzeni w komórki zabijają czas w oczekiwaniu, aż wszyscy, którzy tłoczą się w kolejce na zewnątrz, wejdą do środka. – Internet, telefony non stop. Nie podoba mi się to. Bez przesady, korzystam normalnie z internetu, ale ludzie się zapomnieli. Uzależnienie dzieci od internetu to jest prawdziwy problem. Tym bym chciał się też zająć jako polityk... – Marcin się zamyśla.

„Wprowadzenie całkowitego zakazu stosowania wszelkich technologii związanych z 5G na terenie Polski”, doczytuję później w jego programie z poprzednich wyborów.

Głosowanie czas zacząć. Ośmiu kandydatów. Kandydatka jedna.

– Magdalena Ziętek-Wielomska? Nie wiem kto to nawet. Pewnie dali ją, żeby było, że jest kobieta. Żeby później nie mówili, że w Konfederacji kobiet nie ma. Nieprawda, zobacz, ile babek na sali, i to jakich ładnych!

Z grzeczności kiwam głową, ale to, co mówi Marcin, to zaklinanie rzeczywistości. Na sali kobiet jest zaledwie kilka.

Całą dziewiątkę Konfederacja wyłoniła wcześniej, na zjazdach wojewódzkich. Za trzydzieści zeta można było się zapisać na taki zjazd i zagłosować w regionie na swojego ulubieńca. Kandydaci zbierali głosy elektorskie województwo po województwie.

Po każdej rundzie odpada jeden kandydat, z najmniejszą liczbą głosów.

Na krzeselkach siedzą z pilotami do głosowania stronnicy każdego. Zgodnie z wynikami regionalnych potyczek najwięcej mógł ich przywieźć Bosak, choć nie oznacza to jeszcze, że wygra. Musi zdobyć ponad połowę głosów, co wymaga przekonania do siebie elektorów pozostałych kandydatów.

W przedostatniej rundzie zostają Dziambor, Braun i Bosak. Ten ostatni prowadził przez wszystkie dotychczasowe rozdania, ale teraz na czoło wysuwa się Grzegorz Braun. Marcin i jego koleżka z Ruchu Narodowego są spanikowani. Nie tak to miało wyglądać.

– Ja myślałem, że tu przyjdę, krzesła rozłożymy, raz-dwa Krzyśka wybierzemy, a to jest jakiś dramat! Całe ręce mam spocone! – Marcin zajada stres drażami korsarzami.

Im bardziej się denerwuje, tym więcej gada. Dziambor, korwinowiec, który zgodnie z przewidywaniami zajmie w prawyborach trzecie miejsce, prosi o przerwę i namawia się ze swoimi elektorami na parking, na kogo po niej zagłosować.

– Tego może nie widać tak na zewnątrz, ale w środku to jest ciągły kocioł. Korwinowcy kontra narodowcy. Cały czas jedni próbują drugich wyciąć. Teraz Dziambor próbuje coś ugrać, na pewno. – Marcin niby mówi do mnie, ale tak naprawdę wyrzuca z siebie napięcie.

– Prosimy nie czekać do ostatniego momentu z oddaniem głosu. Teraz rozstrzygnie się nam, kto będzie kandydatem Konfederacji – mówi Witold Tumanowicz z Ruchu Narodowego. Zasłynął kilka wyborów wcześniej własnym plakatem wyborczym: napis „Ruch Narodowy. Radykalna Zmiana”, w ręku drewniana sztacheta. – Zobaczmy, kto będzie kandydatem Konfederacji. Kto będzie prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej? – dodaje, a elektorzy biorą piloty w dłonie.

Wyniki pojawiają się na ekranie. Z daleka nie widzę, ale Marcin aż podskakuje z radości. Dosłownie w dupę piętami się bije ze szczęścia. Bije też brawo i krzyczy. Kandydatem Konfederacji zostaje Bosak.

– Dobra, spokój. – Jego wyznawca po chwili poprawia garnitur. – Przypomniało mi się, że było mówione: „Jak wybiorą Krzyśka, to się nie cieszyć za bardzo, żeby korwinowców nie wkurwiać. Dyscyplina musi być”.

Pauza. Teraz poważnie

Za kilkadziesiąt minut na głównej scenie słupskiej filharmonii oficjalnie rozpocznie się kampania prezydencka Biedronia. Przed sztabem, który doskonale zdaje sobie z tego sprawę, trudne zadanie. Najlepszym dowodem jest wystawione w hallu zdjęcie. Twarz na nim miała być chyba poważna, ale wyszło co najmniej dziwnie: usta ułożone idealnie poziomo, szczęka lekko zaciśnięta, policzki naprężone. Oczy patrzą w obiektyw, ale widać w nich głównie lęk. Biedroń całym sobą błaga, żeby potraktować go poważnie.

Dotychczas robił wszystko, żeby skrócić dystans między sobą a wyborcami. Wyściskał pewnie najwięcej starszych babek od morza po Tatry, obtańcował co młodsze na festynach, a z chłopami najadł się pierogów. Teraz jednak najwyraźniej obawia się, że na format prezydencki może to nie wystarczyć. Nie jest pierwszym kandydatem zafiksowanym na tym punkcie, a rozdźwięk między dotychczasowym wizerunkiem a wyobrażeniem o tym, jaki powinien być mąż stanu, mu nie pomaga.

Jaki powinien być? Odpowiedzi właśnie udzielają z ekranu na głównej sali osoby ucharakteryzowane na tak zwanych zwykłych ludzi. W sondzie ulicznej nagranej przez Lewicę.

- Prezydent powinien być do ludzi, otwarty, uśmiechnięty.
- Przede wszystkim odpowiedni, nie powinien się obrażać.
- Powinien być człowiekiem poważnym. Zaprzeczeniem obecnego.

Ale skoro obecny został wybrany? Oznacza to tyle, że wcale nie trzeba spełniać tych wszystkich kryteriów, by wygrać. Czy Wałęsa był prezydencki? Albo czy Olechowskiemu, z jego posagową twarzą, wąsem *à la* Piłsudski i tubalnym głosem, brakowało prezydenckości? Komorowskiego sarmacka prezydenckość też, zdaje się, nie obroniła przed porażką. Ciekawe, jak Lewica zamierza wcisnąć Biedronia w ten ciasny gorset.

Żeby się o tym przekonać, muszę poczekać jeszcze dobrą godzinę, aż przez scenę przewiną się wszyscy święci.

Na start hymn. Ale tylko jedna zwrotka, śpiewana z oszczędnym raczej zaangażowaniem.

– Witam w mieście moim, tysiący słupszczan i słupszczanek.
I w mieście Roberta Biedronia. – Przemowy otwiera Krystyna Danilecka-Wojewódzka, obecna prezydentka Słupska. – Bo to jest także miasto Roberta Biedronia, jedno z licznych na jego życiowej trasie. To właśnie to miasto, dumne, historyczne, które sięga swoją tradycją roku 1265. Wtedy gdański książę Świętopełk II nadał tej osadzie prawa miejskie. Zostały one potwierdzone przez Brandenburgię niemiecką w 1310 roku.

Różne już widywałem popisy lokalnych włodarzy, ale wykładu historycznego o księciu Świętopełku i margrabiach brandenburskich nikt mi jeszcze nie zaserwował.

Dziesięć minut później Danilecka ciągle za pulpitem. Dużo mówi o tym, jak wyjątkowy jest Robert, jeszcze więcej o wyjątkowości Słupska. Już dawno przegrała pojedynek o uwagę z ulotkami, facebookowym feedem, a nawet z nieszczerze porywającą architekturą wnętrza sali, którą oglądają znudzeni uczestnicy mityngu.

Dużo ciekawszy spektakl od tego na głównej scenie rozgrywa się tuż obok mnie – facet z jednej prywatnej stacji telewizyjnej próbuje poderwać koleżankę z drugiej. W końcu coś mu wychodzi.

– Na tapecie to zdjęcie z siostrą masz?

– Nie no, co ty, to moja córka. Nastolatka, wiesz, ma swoje życie.

– Nie wierzę! Wyglądacie identycznie.

Zadowolona kobieta odruchowo prostuje plecy.

Po kolejnych dziesięciu minutach akcja na scenie politycznej stoi w miejscu. Ktoś na backstage’u puszcza co chwila dzingiel przygotowany na odejście od mikrofonu. Prezydentka się nie przejmuje i przemawia.

Za to obok mnie romans kwitnie. Ciasno jest tak, że każdy ruch to gwarantowane szturchnięcie kilku osób. Tym nie przejmuje się z kolei bohater romansu. Odkłada mikrofon z logo redakcji na schody i ni z tego, ni z owego prezentuje koleżance z konkurencji tatuaż w okolicach kolana.

Danilecka w końcu się lituje i zwalnia scenę.

Ostatnie przemówienie przed wejściem kandydata należy do Czarzastego. W całości poświęcone tym, którzy z łezką w oku wspominają PRL.

Wreszcie światła gasną, a widownię filharmonii wypełnia głos Biedronia.

– Niejeden z was powiedziałby o mnie „zwykły człowiek”. Z rodzicami i trójką rodzeństwa mieszkaliśmy w kawalerce. Jako najstarszy syn często

musiałem brać odpowiedzialność za dom – mówi z przejęciem kandydat.

Publiczność patrzy, jak na ekranie robi sobie herbatę, wygląda przez okno. Widzi zdjęcia z dzieciństwa, dużo. Szybka filmowa wycieczka biograficzna: technikum, studia, praca po nocach, emigracja.

– Poznałem dzięki temu nowy świat, otwarty, w którym ludzie żyją godnie i są uśmiechnięci – mówi Biedroń na nagraniu. Wraca do Polski, robi w NGOsach, zostaje posłem, prezydentem Słupska. Wiosna. Lewica. Kandydatura na prezydenta. – Nam odwagi nie zabraknie – obiecuje. – Zrobiliśmy to w Słupsku, zrobimy to w całej Polsce.

Ostatnie słowa spotu ledwie słyszalne, bo cała sala klaszcze w opór.

Kandydat przeciska się między ludźmi: buziaczki, selfiaczki, uściski dłoni. Ktoś mu nawet oderwał od twarzy mikrofon, ale Biedroń szybko przykleja go z powrotem.

– Dzień dobry, Słupsk! Witam was w moim ukochanym mieście. Witam mieszkańców i mieszkanki Słupska. Trochę się nie widzieliśmy! Dziękuję wam za gorące przyjęcie! Witam też naszych gości z całej Polski. Podoba wam się w Słupsku? – Na żywo uśmiecha się od ucha do ucha.

Później, w szatni, oglądam zmiętoloną kartkę z roboczą wersją jego przemówienia, z didaskaliami. Po przywitaniu stoi kapitalikami: PAUZA. TERAZ POWAŻNIE. BEZ ZBĘDNYCH EMOCJI.

* * *

– Co zrobić, żebyśmy mieli wszyscy takie same szanse, to nie wiem. Bo gdybym wiedział, to ja bym tam stał – mówi następnego ranka były wiceprezydent Słupska Ryszard Kwiatkowski.

Przyszedł na otwarcie pierwszego komitetu Biedronia do restauracji Franciszkańska. Kandydat Lewicy stoi naprzeciwko kilkunastu osób i słucha ich pomysłów na tegoroczną kampanię. Były samorządowiec wyrywa się z poradami.

– Jeśli nie pomożemy przedsiębiorcom, nie ruszymy gospodarki, to się nie da. Proszę porozmawiać z przedsiębiorcami. To jest tragedia. Oni ze łzami w oczach wspominają ustawę Wilczka i Rakowskiego o podejmowaniu działalności gospodarczej. To nasi przedsiębiorcy, zaczynając od spółdzielczego mieszkania w bloku i malucha, zbudowali potęgę. Wtedy nie było kapitału, oni to robili z niczego. Łóżka, szczęki i margaryna przywożona z Berlina, tak to się robiło. Gdyby teraz przedsiębiorcy nasi mieli takie przepisy gospodarcze jak w roku

dziewięćdziesiątym, to moglibyśmy mieć emeryturę minimalną nawet dwa tysiące złotych – mówi Kwiatkowski.

– A jakie ma pan prezydent rozwiązanie na to? – dopytuje Biedroń.

– Zniesienie podatku dochodowego zupełnie.

– Aha.

Ktoś z sali sugeruje, że uszczelnianie VAT-u to może wcale nie jest taki dobry pomysł, bo tłamsi ducha przedsiębiorczości.

W tych niełatwych warunkach Biedroń radzi sobie dużo lepiej niż poprzedniego dnia. Pomysły z sufitu jest w stanie obrócić w żart, ale tak, żeby autor nie poczuł się urażony. Śmieje się, dowcipkuje, bawi spotkaniem. Najwyraźniej nikt nie wpisał mu do scenariusza na dziś: „Pauza. Teraz poważnie”.

Obecni na spotkaniu go uwielbiają i co chwila przypominają o tym swoim uwielbieniu przez mikrofon. Osobowość kandydata im wystarcza. A że w zasadzie nie zgadzają się z jego poglądami? Najwyraźniej im to nie przeszkadza.

Biedroń uprzejmie przypomina, że dla niego bardzo istotna jest równość i że nie do końca jest przekonany do zniesienia podatku dochodowego.

– Chciałam powiedzieć państwu bardzo ważną rzecz – mówi kobieta, która właśnie dostała mikrofon. Z silnym akcentem, jak to mieszkający długo w Stanach Polacy. – Jestem w Słupsku od roku. Po dwudziestu ośmiu latach przybyłam znowu do kraju. Wybrałam Słupsk dzięki temu człowiekowi, dzięki Robertowi Biedroniowi. To on rozślawił Słupsk. Tak, że ta sława dotarła aż za ocean, do Chicago.

Po spotkaniu przysiadam z Ewą na kawę. W Stanach przeprowadzała się co kilka lat. Zaczęła w Miami, później były Palm Springs, Atlanta, Michigan, Chicago. Pracowała jako psychoterapeutka, więc klientów nigdzie nie brakowało. Jakies dwa lata wcześniej wróciła z gabinetu do domu i włączyła telewizor. Poskakała chwilę pilotem po kanałach i zostawiła na TVP Polonia.

– I on tam był. Robert promował miasto Słupsk. Mówił: „Przyjeżdżajcie! To jest zielone, piękne miasto”.

Chęć powrotu była z nią już od dawna, a to wystarczyło, aby podjęła decyzję. W każdym miejscu, w którym mieszkała, nie narzekała na brak towarzystwa, ale z Polonią zawsze trudno było się jej dogadać.

– Potraciłam wielu przyjaciół. Nawet telefoniczne rozmowy schodziły w końcu na politykę i wtedy już było ciężko. – Kiedy wróciła do Polski,

przeżyła szok. – W sklepie, kawiarni, gdzie nie pójde, to ludzie chwalą te 500+, trzynastkę. A to przecież wszystko są ich pieniądze! Oni ich nie dostali od Kaczyńskiego! Ja to nazywam jednym słowem: ciemnogród. – Polonijny akcent przybiera na sile.

Biedroń ma w Słupsku oddanych fanów, którzy robią za jego ambasadorów wśród swoich znajomych. Na wizerunku samorządowca, którego kochają słupszczanie, będzie budował swoją kampanię jeszcze przez kilka najbliższych miesięcy. Nieważne, czy zrobi briefing, czy wielką konwencję, zawsze z jego ust padnie zdanie: „W Słupsku się udało, uda się w całej Polsce!”.

W pierwszej turze wyborów prezydenckich, które odbędą się 23 czerwca 2020 roku, głos na Roberta Biedronia odda 1603 słupszczan, czyli 3,75 procent głosujących. Krzysztof Bosak zbierze ponad 800 głosów więcej.

Niech żyje Polska! Niech żyje Andrzej Duda!

– Szczerze, ale niech pan nie mówi głośno, to wolałabym, żeby Robert Biedroń przyjechał. Ale jak jest Duda, to przyszliśmy Dudę zobaczyć – mówi mi w przyпіływie szczerości licealistka z Lubartowa.

Zazwyczaj żeby wejść na salę gimnastyczną, musi przebrać się w strój do wuefu i buty na białej podeszwie, ale dzisiaj wystarczyło, że sprawdzili ją funkcjonariusze Służby Ochrony Państwa. Przyszła posłuchać, co prezydent ma do powiedzenia, choć bardziej interesuje ją występ kolegi z chóru.

Chłopak miętoli kartkę.

– Co dzisiaj śpiewacie?

– Hymn, wiadomo. Wziąłem sobie słowa – wyjaśnia. – Trochę głupio, bo przecież znam słowa hymnu, ale boję się trochę, że się pomylę. „Kiedy my żyjemy”, a nie „póki my żyjemy”. Reszta bez problemu.

Jeszcze Polska nie zginęła,

Kiedy my żyjemy.

Co nam obca przemoc wzięła,

Szablą odbierzemy.

Marsz, marsz Dąbrowski,

Z ziemi włoskiej do Polski.

Za twoim przewodem

Złączym się z narodem.

Cała sala śpiewa z prezydentem.

Jak tylko odpalili muzykę, chłopak się odstresował, słów nie pomylił. A później już poszło z górki, aż do końca o zapłakany m ojcu Basi.

Do Lubartowa jeszcze nigdy nie przyjechał z wizytą urzędujący polski prezydent. Ale pełne pięć lat pierwszej kadencji sprawiło, że Duda zrozumiał, iż uścisk dłoni najlepiej pamięta się tam, gdzie nikt inny nie przyjeżdża tych dłoni ścisnąć. Na konwencji wyborczej w poprzedniej kampanii, kiedy gonił Komorowskiego, chwalił się, że odwiedził blisko siedemdziesiąt powiatów, zaraz później zapowiedział, że gdy zostanie

prezydentem, spotka się z mieszkańcami wszystkich trzystu czternastu. W listopadzie 2019 roku ogłosił, że obietnicy dotrzymał.

– Jesteście tutaj państwo od zawsze, na swojej ojcowiznie, wychowujecie kolejne pokolenia lubartowian w swojej pięknej, niesamowitej tradycji, zawsze jakże polskiej, dbałości o polskie państwo – komplementuje dziś zebranych w sali gimnastycznej.

Wokół sceny coś koło setki ludzi. Prezydencki magnetyzm nie jest wystarczająco silny, żeby oderwali się od swoich zajęć w środowe popołudnie. Duda dalej opowiada z głowy wykute na blachę najważniejsze daty z historii Lubartowa. Powoli zdobywa tłumek.

– Oczywiście, będę kandydował w tych wyborach prezydenckich – oznajmia w końcu po dramatycznej pauzie, po raz pierwszy oficjalnie.

Entuzjazm raczej umiarkowany. Dopiero później lubartowianie odpalą się do oklasków, przy przemowie o reformie sądownictwa. A ja, dopiero gdy prezydent idzie ścisnąć się z ludźmi, mogę poszukać chętnych do rozmowy przy drabinkach.

Wcześniej razem z innymi dziennikarzami zostałem zapędzony do zagrody naprzeciwko sceny. Ale kiedy Duda ma wejść na salę, przybić piątki i porozmawiać chwilę z mieszkańcami, dołączam do nich (w takich momentach, kiedy wyreżyserowany spektakl napotyka na czynnik ludzki, pojawia się szansa na coś ciekawszego niż polityczne komunały). Jednak pulchny blondyn z kancelarii prezydenta widzi, że z kieszeni wystaje mi plakietka z napisem MEDIA, więc najpierw zaczyna na mnie krzyczeć, a później wyszarpuje mnie spośród miejscowych i próbuje odprowadzić do zagrody. Gdy się stawiam, dzwoni po nabitych kolegów ze Służby Ochrony Państwa. Wszystko po to, żeby do minimum ograniczyć ryzyko nagrania prezydenta w starciu z niezręcznymi pytaniami.

Najgorsze jest to, że takiemu zestresowanemu blondasowi z kancelarii w ogóle przyszło do głowy, by wynieść mnie z sali rękami sopowców. Tyle że on dobrze wie, że nic mu za to nie grozi. Bo co mogę zrobić? Napisać krytyczny i pełen oburzenia artykuł? Co z tego, skoro pójdzie w jakiejś gazecie albo na portalu, który codziennie krytykuje władzę? Antyrządowy czytelnik się oburzy, prorządowy nawet o tym nie usłyszy.

Za kilka miesięcy ten sam gość nie wpuści fotoreporterów z „Wyborczej” ani z „Faktu” do Pałacu Prezydenckiego na konferencję Andrzeja Dudy. W środowisku oburzenie potrwa ze dwa dni, ludzie poużywają sobie w komentarzach, ale wielkiej afery nie będzie.

Kiedy w końcu ochroniarze pozwalają nam opuścić wydzieloną barierkami klaustrofobiczną przestrzeń, idę w tłum.

– Chętnie, chętnie. Powiem panu, co ja myślę o prezydencie i tej reformie – oświadcza emeryt z Lubartowa. Przedstawi się później jako Edward i doda, że wszyscy znajomi mówią mu Edek.

Styl inspirowany Jarosławem Kaczyńskim: stalowego koloru kurtka, troszkę przyduża, ale z lekkim eleganckim sznytem. Czapka przerzucana z ręki do ręki, filcowa, z daszkiem, z kolekcji „starszy pan jesień/zima”.

– Tylko zanim to panu powiem, to coś lepszego panu opowiem – oferuje, a ja nie mam serca odmówić.

– A nie chce pan najpierw prezydentowi ręki uścisnąć? – pytam, żeby później nie miał żalu.

– Idź pan, ja już się naściskałem ważniejszych! Wie pan, kto tę rękę ściskał? – Wskazuje na własną. – Skąd ma pan wiedzieć zresztą, ja panu powiem. Jaruzel. Sam Jaruzel kiedyś do nas przyjechał, do jednostki, i tam każdemu żołnierzowi podał grabę. Esbeków widziałem chyba pierwszy raz wtedy. Takie piękne kurtki mieli, skórzane, czarne, wyglancowany but, ech, piękne! No, były czasy, to były, się żyło. Ja byłem żołnierz i hipis jednocześnie. – Edek dostrzegł u mnie przejawy zainteresowania swoją życiową story i olewa już prezydenta całkowicie. – Sześćdziesiąty ósmy, budzą i mówią, że jedziemy. A w wojsku jak mówią, tak trzeba robić. Debile tacy zaczęli się nakręcać, że wojna i na front nas ciągną. Jechaliśmy dzień i noc, aż w końcu dum, kłapa od czołgu do góry i sru, w Czechosłowacji jesteśmy! I nam każą pacyfikować.

– To chyba mało hipisowskie – pozwalam sobie na komentarz.

– Jak wróciłem, to zapuszczałem włosy. Długie miałem, że policja zatrzymywała mnie co i raz. Nauczyłem się w końcu tłumaczyć z tych włosów. A bo ja w teatrze gram, Otella. Tak im mówiłem. A oni, jak wiedzieli, że teatr, to pierdolnięty jakiś, wiadomo.

– Edzio, Edzio, co ty panu bajdurzysz! Z prezydentem byś porozmawiał – mówi białowłosa emerytka, która przed chwilą przepychała się, żeby dotknąć najważniejszej dłoni.

– No, no, ja już się naściskałem!

Widzę, że nadlatuje kolejna historia, która tylko czeka, aż koleżanka Edka oddali się na bezpieczną odległość.

Chciał zostać bokserem, jechał kiedyś pociągiem ze Zbyszkiem Cybulskim, a gdyby nie kontuzja, grałby na Wembley. Prezydent oddala się

powoli w kierunku wyjścia, więc mój rozmówca przerywa na chwilę.

– W polityce to nigdy nie wiadomo – szepce do mnie konspiracyjnie, prawie w zaufaniu. – Albo wygra, albo nie wygra. Zresztą co za różnica, wszyscy oni tacy sami łgarze! – Kłania się, naciąga filcową czapeczkę na czoło i wychodzi z sali gimnastycznej.

W Lubartowie Duda zapowiada start w wyborach, ale kampanię ma zainaugurować dopiero za kilka dni w Warszawie.

– Będzie po amerykańsku, zobaczysz – słyszę od znajomych dziennikarzy.

– Pierwsza taka konwencja, jak w Ameryce.

– Podobno mają zrobić to z pompą, wiesz, po...

Tak, tak, wiem. Po amerykańsku.

Pis coraz lepiej radzi sobie z wypuszczaniem takich chwytliwych wabików, które później wszyscy uzależnieni od plotek reporterzy uwielbiają powtarzać.

Co oznacza „po amerykańsku”, mam się dowiedzieć dopiero na konwencji.

* * *

– Re-pu-blika Ba-na-siowa! Re-pu-blika Ba-na-siowa! – pokrzykuje kilkanaście osób w pewnej odległości od wejścia do hali EXPO na warszawskiej Woli. Starsi goście w koszulkach, z flagami Unii Europejskiej. Niegroźni, policja nawet ich nie obstawia.

– Chorzy na raka dostali faka! – Zmieniają repertuar.

To oczywiście z inspiracji gestem pokazanym światu przez Joannę Lichocką zaraz po tym, jak Pis przegłosował w Sejmie wsparcie mediów publicznych kwotą blisko dwóch miliardów złotych. Opozycja domagała się przekazania kasy na leczenie chorych onkologicznych. Zadowolona i triumfująca posłanka nie potrafiła opanować radości: wyprostowała środkowy palec, pozostałe cztery ścisnęła. Wystającym machnęła dwa razy pod okiem i już z dala od twarzy zaprezentowała klasycznie złożonego fakersa.

Widocznie było jej mało, bo następnego dnia postanowiła pogрузić się tłumaczeniami. Najpierw, że tylko drapała się pod okiem, później, że odgarniała kosmyk włosów.

– Ponieważ wiem, że opinia publiczna może być wprowadzona w błąd, również przez ten przekaz tego przemysłu nienawiści Platformy

Obywatelskiej, to chciałabym wszystkich tych, którzy poczuli się dotknięci tym niezamierzonym gestem, przeprosić i wyrazić słowa ubolewania, że poprzez ten ruch ręką dałam asumpt do takiego ataku na Prawo i Sprawiedliwość i na mnie. Mam nadzieję, że wyborcy popatrzą na to z wyrozumiałością – brzmiała wersja ostateczna nerwowych usprawiedliwień na sejmowych schodach.

Żadne taśmy Kaczyńskiego, pokoje na godziny Banasia ani afery agenta Tomka nie grzały później tak, jak palec posłanki PiS-u. Opozycja dostała prezent od losu i próbowała z niego wycisnąć, ile tylko mogła. Przez tydzień nagraniami z Lichocką żonglowali redaktorzy, montażyści i producenci, a „Gazeta Wyborcza” opublikowała nawet plakat ze zdjęciem posłanki pokazującej faka.

W kolejce do wejścia na konwencję nie było ani środkowego palca parlamentarzystki, ani jej samej. Ponoć była zmęczona odpowiadaniem na pytania w sprawie swoich gestów. PiS nieszczególnie kwapił się do obrony koleżanki – po kilku dniach czołowi przedstawiciele partii otwarcie mówili o „geście Lichockiej”. A prezydent Duda, prezentując swój sztab, złożył członkinię Rady Mediów Narodowych na kampanijnym ołtarzu.

– Proszę o to, żeby nie było takich sytuacji, jakie mieliśmy ostatnio okazję oglądać w Pucku [prezydenta wygwizdano – przyp. red.], czy takich sytuacji, jakie miały miejsce w polskim Sejmie. Żeby nie było obrażających, obscenicznych gestów, słów i zachowań – mówił.

Za kulisami na Woli ciemno tak, że nie widać, po czym idziemy. Sztabowcy PiS-u prowadzą nas na główną halę korytarzem, między grubymi kotarami. Podczas próby wdrapywania się na widownię nie trafiam nogą w rusztowanie i przez chwilę czuję, że lecę w dół. Ratuje mnie refleks podhalańskiego górala wystrojonego w portki, kierzce, pas i czarny kapelusz.

„Miło was widzieć” wyświetla wielki telebim. Na sali tysiące ludzi, tysiące kartoników z nazwiskiem prezydenta. W pierwszym rzędzie premier Morawiecki, prezes Kaczyński, pierwsza dama Agata Kornhauser-Duda i córka pary prezydenckiej Kinga.

W końcu gasną światła, punktowe reflektory kierują się w sufit. Naprzeciwko sceny łopocze ogromna biało-czerwona flaga, wysoka na kilkanaście metrów. Na jej tle zarysy postaci.

To prezydent Andrzej Duda.

Mamy kopię wejścia Donalda Trumpa na konwencję Republikanów w Cleveland w 2016 roku, jeszcze zanim został prezydentem USA. Miało być po amerykańsku, więc jest. Reżyserom spektaklu w hali na warszawskiej Woli zabrakło jednak muzycznej fantazji, która towarzyszyła tamtemu *entrée*. W Cleveland z głośników leciało *We are the Champions*, pis postawił na patetyczny kawałek, który mógłby równie dobrze wieńczyć jakiś bogoojczyźniany film.

Kiedy prezydent trafia już na scenę, mówi o Polsce, rodakach Polakach i „polskich sprawach”. Zapowiada, że wsiada w Dudabus i rusza w objazd po kraju.

* * *

– Jeden podpis, a tyle radości, prawda? – pyta ze sceny dziennikarka TVP Anna Popek. – Tak, tak, niech nas ręce bolą od braw! Później będziemy odpoczywać – zachęca seniorów do okazywania wdzięczności prezydentowi.

Salę gimnastyczną wypełniają oklaski starszych pań i panów – prezydent podpisał właśnie ustawę o trzynastej emeryturze. Tak przynajmniej nazywa ją obóz władzy; w rzeczywistości to jednorazowe świadczenie, około tysiąca złotych na rękę. Na konta emerytów ma wpłynąć w kwietniu, miesiąc przed planowaną datą wyborów.

Scenografią kampanii jest tym razem aquapark w Żyrardowie. Zdziwieni są nawet uczestnicy wydarzenia – od kilku godzin trwa tutaj Międzypokoleniowy Dzień Aktywności, czyli regularna impreza dla seniorów. Zrzeszeni w klubach prezentują swoje osiągnięcia. Pani ze Sterdyni przejechała dwieście kilometrów, żeby pokazać własnoręcznie wykonane lalki inspirowane *Krainą Lodu*. Wnuczka była podobno oczarowana figurką Elsy, z papieru, bibuły i jedwabiopodobnej tkaniny. Kilka stanowisk dalej starszy pan dumnie demonstruje fantazyjne muchy męskie, dzieło swoich rąk. Jeszcze dalej chusty w kwiaty i specjalistki od miniaturowych kamienic ulepionych z różnokolorowego cukru.

Niektórzy, wsiadając z rana do autobusu, nie mieli pojęcia, że po południu wezmą udział w kampanii Dudy.

– Przyjechaliśmy na dzień seniora, a tu prezydent, wspaniała niespodzianka! – mówi pani z klubu w Nasielsku. Za chwilę pokazuje mi sztuczne kwiatki zrobione z drutów i rajstop. Piękne. Z trzynastki bardzo się cieszy, wyda na wnuki.

Kiedy prezydent robi rundkę honorową wokół stoisk, widzę na pustej już widowni kobietę z założonymi na piersiach rękami. Kręci głową. Patrzy na emerytki, które ustawiają się do zdjęć z Anną Popek.

– Przecież ona jest dziennikarką telewizji publicznej, nie powinna robić kampanii jednemu kandydatowi. Gdzie ten nasz kraj oni zapędzili, no gdzie? – pyta retorycznie.

To również emerytka. Przyjechała z przyjaciółmi spod Warszawy. Wiedziała, że będzie prezydent, i wiedziała, że jej znajomi są jego zagorzałymi zwolennikami, choć ona wręcz przeciwnie. Teraz nie ma pojęcia, czy będą razem wracać.

– To wszystko, co mówią w telewizji o podziałach, kłótniach w rodzinie, to prawda. Trzydzieści lat się przyjaźnię z facetem, a odkąd pis doszedł do władzy, każda rozmowa kończy się kłótnią – dodaje smutno.

Zaczyna jej chodzić broda.

Dzisiaj usłyszała, że jak jej się nie podoba, to niech odda trzynastkę. A dzieci powinny pooddawać 500+, które dostały na swoje dzieciaki.

Chodź, tygrysie, scena jest twoja!

Chuderlawy gość ze słuchawką w uchu skacze przed fotoreporterem. Ochroniarz pod krawatem wyczynia jakieś koślawe pajacyki, a obwieszony obiektywami starszy facet stoi i patrzy na niego jak na debila. Zaraz podbiegają kolejni pracownicy ochrony. Na nowo wciskają słuchawki w uszy, bo im od tego podbiegania wypadły.

– Nie możecie, panowie, stać przy barierce. Proszę wejść do pokoju dla mediów. Takie są ustalenia – klaruje jeden. Łysy, nabity, brodaty. Nie ma dyskusji.

Czego tak broni kilkuosobowy zespół specjalizujący się w ochronie osób i mienia? Piętro niżej, w hali widowiskowej w Jasionce pod Rzeszowem zbierają się peeselowcy z całego kraju. Zaraz ma wystartować konwencja wyborcza Władysława Kosiniaka-Kamysza.

Na ścianie projektor wyświetla wyniki jednego z ostatnich sondaży, w którym kandydat ludowców wygrywa drugą turę z Andrzejem Dudą. Tuż obok orkiestra dziecięca dmie ile sił w trąbki i wali w bębny. Nic nadzwyczajnego. Może tylko woń żelu antybakteryjnego rozchodząca się na parterze to nowość – dezynfekcja rąk ma nas wszystkich uchronić przed koronawirusem, jakąś dziwną zarazą z Chin, która właśnie pojawiła się w Polsce.

Do wkurwionych dziennikarzy obstawionych pobudzonymi ochroniarzami podchodzą co chwila mało rozgarnięci wolontariusze, którzy systematycznie podbijają poziom wkurwienia swoimi prośbami o cierpliwość. Zresztą i tak prawie nikt nie słyszy, co mówią chłopaki w niebieskich koszulkach z napisem „Kosiniak. Prezydent 2020”. Z głośników wali muzyka na cały regulator, batalistyczna nuta zmiksowana z motywami jak z *Rocky’ego*.

Piętnaście minut przed planowanym rozpoczęciem przychodzi do nas Piotr Apel, były poseł Kukiz’15. W kampanii Kosiniaka odpowiedzialny za kontakt z dziennikarzami.

– Będziecie mogli państwo wejść na salę, ale wyjdziecie po hymnie – oznajmia. Nikt nic z tego nie rozumie, wkurwienie sięga zenitu. – Drodzy państwo, przecież tak samo jest na Pis-ie. – Sztabowiec się pogrąża.

– To sobie znaleźliście wzorce, pogratulować! – odpowiada mu ktoś na odchodnym.

– Ko-si-niak! Ko-si-niak! Ko-si-niak! – krzyczy do mikrofonu konferansjer, a my szukamy na oślep szefa PSL-u.

Ludzie machają tabliczkami i biało-czerwonymi chorągiewkami. Kosiniaka nie ma, bo to dopiero próba.

– Pamiętajcie, proszę, że dzisiaj skandujemy tylko: „Kosi-niak!”, nie: „Władek!” ani nic innego. Ko-si-niak! Ko-si-niak! Ko-si-niak! I trzeba będzie skandować długo i głośno, przez cały czas, jak nasz kandydat będzie zmierzał na scenę – ostrzega prowadzący.

Lider przejdzie po czerwonym dywanie i ustawi się na tle własnej podobizny w błękicie i zieleni. Na pierwszy rzut oka kampanijne grafiki wyglądają jak reklama napoju izotonicznego albo butów sportowych, ale z czasem doceniam, że sztabowców zmęczyły wreszcie granaty i przynajmniej szukają jakichś nowinek. Kidawa-Błońska też poszła niestandardowo, w dentystyczny turkus przełamany czerwienią.

Zanim na scenę wejdzie Jarosław Kalinowski, u którego Kosiniak zbierał pierwsze polityczne szlify (był wolontariuszem w jego kampanii prezydenckiej w 2000 roku), wywiady z uczestnikami konwencji.

Do jednego z nich przysiadła się szefowa sztabu, Magdalena Sobkowiak-Czarnecka. To słynny na cały kraj paprykarz, czyli Stanisław Kowalczyk, rolnik z Woli Wrzeszczowskiej pod Radomiem. Kiedy Donald Tusk miesiąc przed wyborami w 2011 roku wizytował tereny zniszczone przez nawałnicę, to właśnie on dopchał się, żeby zadać mu pytanie: „Jak mamy teraz żyć?”. Zrozpaczony, ze łzami w oczach był dla przeciwników rządu PO–PSL bohaterem idealnym. Obrazki płaczącego rolnika z bezsilnym premierem na pewno urwały trochę poparcia Platformie, choć nie tyle, żeby zagrozić zwycięstwu. Już po wyborach Pana Paprykarza odwiedził Jarosław Kaczyński.

– Pan Stanisław Kowalczyk miał odwagę postawić głośno pytanie o dzisiejszą Polskę – komplementował prezes na tle wiejskiego domu.

Dziennikarze już od blisko dekady pielgrzymują pod Radom niczym do wyroczni delfickiej, żeby poznać opinię tego niezwykłego „zwykłego człowieka”.

– Nie mogę tego, kurwa, słuchać, bo jak słucham, to mi się niedobrze robi! – powiedział pan Stanisław w jednym z wywiadów. NaTemat pytał go o rządy PiS-u za premierowania Beaty Szydło. Teraz siedzi grzecznie

i mówi tylko, że przyjechał na konwencję PSL-u, bo PIS obiecuje dobrobyt, a u niego tego dobrobytu ani widu, ani słychu.

Przepytywanych przez sztabowców jest czterech: oprócz paprykarza studentka medycyny, piekielnie zestresowany przedsiębiorca kukizowiec i Jacek Wójcicki, krakowski aktor i śpiewak. Nikt tu nie został dobrany przypadkowo; cała czwórka to uosobienie marzeń ludowców o ich nowym elektoracie. Z połączonej mocy rolników, którzy mówią, jak jest, pokolenia młodych, zdolnych i ambitnych, wkurwionych przedsiębiorców od Kukiza i wreszcie przyzwoitych krakowskich tradycjonalistów ma powstać *on*, Kapitan Kosiniak, by przeprowadzić swój lud z usychającej formacji reprezentującej interesy wsi do nowoczesnej partii chadeckiej.

W naszą stronę znów zmierzają nieogarnięci wolontariusze w asyście ochroniarzy.

– Dobrze, tak jak się umówiliśmy. Zapraszamy państwa do pokoju dla mediów.

Dopiero na miejscu dowiadujemy się, że organizatorzy życzą sobie, żebyśmy zostali w nim do końca konwencji. A najlepiej, żebyśmy byli tak mili i poczekali, aż uczestnicy opuszczą budynek. Mam wyjątkową okazję zaobserwować, jak w czasie rzeczywistym wygląda tak zwane przegięcie pały. Ten sam fotograf, któremu ochroniarz zasłaniał obiektyw przy barierce, teraz odpala się totalnie.

– Co to, kurwa, jest? Jak wy się zachowujecie? Po jaką cholerę wy nas w ogóle zapraszacie? Do czego my wam w ogóle jesteśmy potrzebni?

Fotograf pewnie już nie pamięta, co wykrzykiwał, bo w gruncie rzeczy chodziło o to, żeby wystarczająco stanowczo opierdolić wystarczająco dużo osób i wrócić do sali. Jednak pytanie, które zadał w furii sztabowcom z PSL-u, trafiło w samo sedno kampanijnych patologii.

Czekam, aż w końcu któryś z organizatorów nie wytrzyma i w przypiływie szczerości każe dziennikarzom po prostu wypierdalać tam, skąd wypęzli. Media są zapraszane na takie wydarzenia chyba tylko z przyzwyczajenia. Co bardziej rozgarnięci politycy zorientowali się już, że ich nie potrzebują.

Oficjalnie PSL nie chciał nas mieć na sali, żebyśmy nie kręcili się w czasie hymnu i nie przeszkadzali uczestnikom. Wymówka tak bzdurna, że nikt nawet nie upodlił się polemiką. Nie chcieli nas wpuścić do sali, bo po prostu im się to nie opłacało. Po co ryzykować, że przed konwencją uda się reporterom porozmawiać z kimś, kto nie ma wypowiedzi spisanych

i zatwierdzonych przez rzecznika prasowego? Potrzebny jest głos ludu? To sami organizatorzy mogą z nim porozmawiać. Że to cztery osoby, które swoich kwestii uczyły się przez cały tydzień? Kogo tak naprawdę to obchodzi? Obecność operatorów stacji telewizyjnych w sali to zawsze prawdopodobieństwo, że w świat pójda obrazki nie takie, jakich życzyłby sobie kandydat. Dlatego są tam zazwyczaj wyłącznie kamery wynajęte przez partię, a sygnał jest emitowany do wszystkich chętnych bezpłatnie. Fotografów jeszcze trudniej upilnować, więc lepiej wpuścić ich tylko na kilka minut, a imprezę obsłużyć własnymi obiektywami. Ostatecznie kto na Facebooku czy Instagramie będzie się przyglądał, czy zdjęcie zza kulis to robota niezależnego reportera czy opłaconego fotopstryka? Gównoportale, zarabiające przepisami newsów z innych mediów, rękami po dziadowsku opłacanych pracowników też przecież wolą wziąć sobie zdjęcia od organizatora za friko, niż płacić agencji.

Żeby było jasne: PSL wcale nie jest w tej kwestii jedynym zbójem. Inne partie też mają, może nawet więcej, za uszami. Nie chodzi nawet o to, że na wywiady umawiają się niemal wyłącznie ze służalczymi pismakami, którzy pytają o niekończące się pasma sukcesów, ale o to, że coraz częściej politycy decydują się w ogóle pominąć zbędne ogniwo w komunikacji z potencjalnymi wyborcami. Skoro Trump może ogłaszać, co chce, na Twitterze, czemu nie może tego robić rzeczniczka pis-u? Po co komu męczące układy z mediami i pilnowanie ich przez lata, skoro można udzielić wywiadu samemu sobie?

Argumentu, że „tak samo jest na pis-ie”, nie kupujemy. Wywiązuje się awantura o takiej temperaturze, że w końcu jakiś przestraszony peeselowiec prowadzi nas z powrotem pod scenę. Przechodzimy przed rządami ludowców, którzy sarkają, że zasłaniamy. Na scenie trwa występ, który później ma się okazać hitem kampanii.

– Jeżeli pozwolicie, chciałam przeczytać wam esemesa – mówi uśmiechnięta, trochę zestresowana blondynka w czerwonej bluzce. To Paulina Kosiniak-Kamysz, żona kandydata na prezydenta. Towarzyszyła mu na wcześniejszych eventach, pojawiała się sporadycznie na zdjęciach wrzucanych na Instagram. Teraz ma swoje pięć minut. – „14 września 2019 roku. Cześć, Kochanie. Przepraszam, nie dałem rady rozmawiać, dopiero teraz skończyłem spotkanie i pędzimy szybko na kolejne. Jak się macie, moje dziewczyny? Jak nasz maluszek kochany? Wszystko w porządku? Nie mogę napatrzeć się na ostatnie zdjęcie, które przesłałaś,

jak Zosia pięknie dźwiga główkę. Kocham was nad życie i wiesz, że to wszystko robię dla was. Myślę o was, moje dziewczyny, całuję Zosię w czołko i jestem na wieczorną kąpiel”.

Sala reaguje dzikim aplauzem.

– Wła-dek! Wła-dek! Wła-dek!

Podać tak przesłodzoną historię w sposób, który nie wywołuje zażenowania, to wielka sztuka.

Paulina opowiada jeszcze trochę o „Władziu”: o tym, jak jeździ po kraju, wsłuchując się w głos narodu, ale zawsze wraca do domu, kiedy jest potrzebny. Ale tak naprawdę stoi przy pulpicie, żeby mówić o Dudzie. O Agacie Kornhauser-Dudzie. Wprawdzie imię nie pada wprost, ale kiedy żona lidera oświadcza, że nie będzie „milczącą pierwszą damą” i nie zamierza chować się za ogrodzeniem Pałacu Prezydenckiego, wszyscy w Jasionce i przed telewizorami dobrze wiedzą, o kogo chodzi.

– Będę krzyczeć, będę przypominać o nas, o kobietach, o słabszych, niepełnosprawnych, o wartościach, które są dla nas najważniejsze. Nie dam się zamknąć pod kryształowym żyrandolem – wybrzmiewa zdecydowanie, choć z lekką tremą. Ale ta akurat dodaje wystąpieniu autentyczności. – Kochani, przed wami mój mąż, mój prezydent. Chodź, tygrysie, scena jest twoja! – pada ostatnie zdanie.

– Chcę Rzeczpospolitej nadziei, nadziei dla wszystkich. To ma być nasz cel, Rzeczpospolita nadziei, która szanuje wiele kwestii, dba o historię i tradycję, ale patrzy w przyszłość. To jest Rzeczpospolita przyszłości – podejmuje Kosiniak.

– Prezydencki. Prezydencki jest, nie? – zagaduje jeden podniecony peeselowiec drugiego.

Za plecami kandydata wyświetlane są kolejne punkty jego programu wyborczego, ale to nie one będą cytowane w wieczornych newsach. Z Jasionki pozostanie jedna fraza. Zwolennicy i przeciwnicy ludowców będą ją powtarzać jeszcze przez kilka miesięcy.

„Chodź, tygrysie, scena jest twoja!”

Czy z tym pincet plus da się coś zrobić?

– Dobrze! Jest energia! Uśmiechamy się! – Bartosz Arłukowicz biega jak nakręcony po niedużym lokalu na Kruczej, w centrum Warszawy. Za kilka minut wejdzie tu Małgorzata Kidawa-Błońska, by otworzyć biuro sztabu obywatelskiego. – Słuchawki! Ej, słuchawki na uszy! Załóżcie je na głowę, żeby było tak, że dzwonimy! Dzwonimy! Dzwonimy! Dzwonimy! – Strzela słowami z szybkością karabinu maszynowego.

Praca przy takim zajobie musi być totalnie wyczerpująca, ale po raz pierwszy na wydarzeniu Kidawy jest w ogóle jakaś energia. W poprzedniej kampanii wystarczyła mi chwila, żeby przekonać się, że nikt w jej sztabie nie wierzy w zwycięstwo. Od początku grano na obniżenie rozmiaru porażki. Obecne sondaże wciąż nie rozpieszczają, ale szanse na wygraną w drugiej turze są. Nie tylko teoretyczne.

Arłukowicz nie potrafi ustać w miejscu: klaszcze, skacze, nerwowe tiki rozsadzają go od środka. Widać, że mu się po prostu chce. I w przeciwieństwie do swoich partyjnych kolegów i koleżanek nie musi nikogo o tym przekonywać.

Miejsce na czele ekipy kandydatki wywalczył sobie serią sukcesów własnej kampanii, którą przypieczętował imponującym wynikiem w ostatnich wyborach do europarlamentu. Na liście wylądował na drugim miejscu, za Bogusławem Liberadzkim, eseldowcem starej daty, z legitymacją PZPR i ministerialną teką z lat dziewięćdziesiątych w życiorysie. Arłukowicz nie miał wyjścia – żeby dostać się do Brukseli, musiał zrobić wszystko, co można, i trochę więcej. #BartekTeam, czyli sztab, koordynował jego ojciec, syn ogarniał sekcję młodzieżową. I udało się, choć do samego końca nie było wiadomo, czy zdoła przeskoczyć barona. Dziennikarka szczecińskiej „Wyborczej” Jolanta Kowalewska relacjonowała, że w dzień głosowania obdzwaniał w totalnym amoku dziennikarzy i prowadził ich ze sobą do lokalu wyborczego. Ostatecznie zdobył ponad dwieście tysięcy głosów i wykręcił ósmy wynik w kraju. W partii ugruntował pozycję gościa, który potrafi, i wystartował nawet w wewnętrznych wyborach na przewodniczącego. Ostatecznie jednak wycofał się i udzielił poparcia Borysowi Budce.

– Albo nie! Ściągamy! I zakładacie słuchawki, jak wejdzie. Tak! Tak będzie dobrze! – ordynuje Arłukowicz na chwilę przed startem.

Biała koszula, podwinięte rękawy, džinsy. Średnio młoda gwardia Koalicji Obywatelskiej czeka na kandydatkę na scenie. Szłapka, Arłukowicz i Brejza klaszczą, a za nimi wolontariusze w niebiesko-turkusowych bluzach z nadrukowanym na przodzie biało-czerwonym V.

– Ki-da-wa! Ki-da-wa! Ki-da-wa!

– Chciałabym poprosić wszystkich, którym Polska leży na sercu, żeby zaangażowali się w kampanię. Tutaj jest serce kampanii, ale czekamy w całej Polsce – słyszymy.

Wolontariusze rozdają papierowe torby z plakatami i przypinkami. Jednym z pierwszych, którzy zgłaszają się po pakunek, jest asystent fryzjerki na warszawskiej Woli, były lider Komitetu Obrony Demokracji Mateusz Kijowski. Z czapką nasuniętą na oczy nie wychyla się i raczej unika mediów.

Po oskarżeniach o przywłaszczenie ponad stu dwudziestu tysięcy złotych stracił pozycję w środowisku ulicznej opozycji. Nie mógł znaleźć pracy w branży informatycznej, a pieniądze ze zbiórek „na Mateusza” w końcu przestały płynąć. Właścicielka salonu pielęgnacji włosów to jego znajoma, jeszcze z czasów, kiedy był pupilem antypisowskich mediów.

– Powiedzmy sobie szczerze, moja reputacja jest dziś mocno kontrowersyjna. Zdaję sobie z tego sprawę, szukałem więc takich stanowisk, na których byłbym w cieniu. Na przykład przy zdalnym zarządzaniu serwerami. Tutaj nikogo nie obchodzi, kto to robi. Ale kolejny pracodawca, gdy usłyszał, jak się nazywam, też odmówił. Wiele takich historii nazbierało się przez ostatnie trzy lata – powiedział Kijowski Norbertowi Frątczakowi z „Gazety Stołecznej”, gdy ten odwiedził go w salonie w lutym 2020 roku.

* * *

– No pewnie, że na nią zagłosuję, a na kogo? Przecież nie na Kaczora – mówi jowialny facet.

Kiedy wchodzi do baru, który prowadzi, trafia w sam środek dyskusji właściciela z operatorem TVN-u.

„Dobre i smaczne jedzonko” – zachwala plandeka zawieszona na klockowatym budynku przy głównej ulicy Ryk (między Warszawą a Lublinem). W menu kuchnia polska: schabowy z ziemniaczkami

i surówką za trzynaście zeta, zupa dnia za pięć. Za plecami faceta półki zastawione mirindą, pepsi i energetykami: z cukrem, guaraną i Mikiem Tysonem.

– Co to za zupa dzisiaj? – pytam.

– No, powiedzmy, że taka jarzynowa.

Zostawiam osiem zeta za zestaw berbelucha z mrożonki plus herbata malinowa i idziemy na spotkanie z panią marszałek. Na klatce schodowej czekamy chwilę, bo z korytarza na półpiętrze maszerują właśnie dzieci w harcerskich mundurkach. Z bronią w ręku, więc nawet gadatliwy szef knajpy cichnie na chwilę. Komenderuje postawna dziewczyna, która z pokrzykiwania na gówniarzy czerpie trochę zbyt dużo przyjemności.

Ostatni w szeregu anemiczny chłopaczek. Wychudzony jak trup, ledwie trzyma pion przechylany raz na jedną, raz na drugą stronę wielkim karabinem.

Coś ty za jeden, przyjacielu mój,
Że masz na sobie taki dziwny strój?
Jam z niewoli polski żołnierz,
Został mi z munduru kołnierz
I podszyty wiatrem płaszcz!...
Cóż za łachmany ty na sobie masz
I taką dziwną, wynędzniałą twarz?
Twarz – to głupstwo! Grunt, że żyję
I pod łachmanami kryję
Polskie serce, polską krew!

Oprócz piosenki od Andersa mają w repertuarze nawet pieśń włoskich antyfaszystów, którą znacznie częściej można usłyszeć na lewicowych demonstracjach niż na spotkaniach wyborczych.

*Una mattina mi son svegliato,
O bella ciao, bella ciao, bella ciao, ciao, ciao.
Una mattina mi son svegliato,
Eo ho trovato l'invasor.*

Dzieciaki w mundurkach walą w bębni i zdzierają gardła ku uciesze nagrywających pociechy rodziców, pani marszałek bezwiednie wybija rytm

dłonią o nogę. Na scenę może wejść dopiero po pokazie musztry.

– Nie podajemy sobie rąk, możemy zamiast tego uśmiechnąć się do siebie – przypomina na wstępie o ministerialnych zaleceniach w sprawie koronawirusa. – Na tych spotkaniach każdy ma prawo powiedzieć, co mu się podoba, a co nie – zaprasza.

Mikrofon wędruje do publiczności usadzonej w ławach sali wykładowej. Kidawa-Błońska stoi wyprostowana, w minimalistycznym piaskowym żakiecie, i słucha, co mają jej do powiedzenia Ryki. Patrzę na jej leciutko kiwającą się głowę i zastanawiam się, czy po wystosowaniu zaproszenia do otwartości nie przyszło jej czasem na myśl porzekadło: „Uważaj na życzenia, bo mogą się spełnić”.

– Co sądzi pani o Antonim Macierewiczu? – zaczyna chłopak z kitką, trapiiony nerwowymi tikami. Szef knajpki przedstawił mi go jako pisowca. – Ludzie wybrali Macierewicza, więc no, niech pani powie, co o nim sądzi – dąży.

– Dlaczego zagłosowaliście za tym, razem z waszym koalicjantem PSL-em, żeby odebrać bezpowrotnie milionom Polaków OFE? – To starszy facet na tyłach. Spokojnie, ale z wyraźną niechęcią. – Dlaczego pani jest przeciwna przekopowi Mierzei Wiślanej? – dorzuca w bonusie drugie pytanie.

Odpowiedzi nie zadowolają pytających, więc robi się trochę kwaśno. Atmosferę wyrywa się ratować odpicowany gość w okolicach czterdziestki.

– Pani marszałek, mnie przekonywać pani do siebie nie musi. Ja chciałbym usłyszeć tylko takie zobowiązanie, że nie będzie pani podpisywać wszystkiego, jak ten „długopis”, nasz prezydent – mówi. Zadowolony jest tak, że najchętniej pogratulowałby sam sobie.

Wyraźnie niesprzyjająca kandydatce ekipa jeszcze się nie wystrzelała. Ochroniarz pani marszałek, nabity typ w garniturze, strategicznie przesiada się na opozycyjną stronę sali. Spod mankietu wystaje mu tatuaż: literki IHS na hostii i końcówka różańca.

– Pięć lat temu słuchałem pani wywiadu w radiu RMF – mówi facet, który wiercił się nerwowo od samego początku. Ochroniarze mówią na takich „elektryczni”. Nie wiadomo, czy zaraz czegoś nie odwałą. – Powiedziała pani, że pieniądze poszły w dobre ręce. A pan Tusk... – Nazwisko byłego premiera wypowiada z obrzydzeniem. – Pan Tusk powiedział, że to nie były Polaków pieniądze. I jeszcze jedno. – Spogląda

na kartkę z gryzmołami. – Pani koleżanka, Mucha, powiedziała, że ludzi starych się nie powinno w ogóle leczyć.

Joanna Mucha, posłanka PO i była minister sportu, siedzi w pierwszym rządzie. Jest liderką lubelskiego sztabu Kidawy.

– Nic takiego nie powiedziałam – oświadcza oburzona, donośnym głosem.

Facet się cieszy, bo dopiął swego. Wyprowadził ją z równowagi. Pił do wywiadu w partyjnej gazetce, który przed laty znaleźli i wyciągnęli dziennikarze „Faktu”. „Ma rewolucyjne pomysły, na przykład nie widzi sensu w robieniu operacji biodra u osiemdziesięcioletka, gdyż taka osoba »nie chodzi i nie będzie chodzić, bo się nie zrehabilituje«. I w ogóle starsi ludzie to kłopot, bo »chodzą do lekarza co dwa tygodnie dla rozrywki«” – pisali w lutym 2011 roku. Z lewej flanki atakował ją wtedy poseł SLD z komisji zdrowia. „Odmawianie komuś leczenia, bo skończył osiemdziesiąt pięć lat, jest czymś, co porusza emocje każdego wrażliwego człowieka” – mówił Bartosz Arłukowicz, dziewięć lat później już kampanijny kolega ze sztabu. Mucha tłumaczyła się, że słowa są wyrwane z kontekstu, a wywiad dla partyjnej gazety nie był autoryzowany. Bez znaczenia. Przylepiło się i trzyma, prawie dziesięć lat.

– Asia, nie, nie, nie. Niech pan powie, co chce powiedzieć. – Kidawa próbuje pacyfikować bojowo nastawioną koleżankę. A za chwilę odpowiada mężczyźnie, że pieniędzy z OFE nikt nie ukradł, tylko zostały przekazane do ZUS-u. Chłop się gotuje, że dobrze o tym wie, i rzuca, że PiS dał mu przynajmniej 500+. Tu nie wytrzymują inni zgromadzeni i zaczynają w niewybredny sposób wypominać mu wiek, głośno powątpiewając w jego zdolności reprodukcyjne.

– A mam dzieciaka, małego. Co? Zdziwieni? – „Elektryczny” napina się jak kogut.

Kiedy ludzie wyklócają się o to, czy on w takim wieku jeszcze może, czy już nie, mikrofon wędruje do gościa pośrodku sali.

– Nazywam się Bogdan Wąsik – zaczyna oficjalnie, jak nikt przed nim. – Nie będę rozmawiać o miesięcznicach, porcie w Elblągu ani o pincet, bo to nie ma sensu. Mam inny problem. Jestem wędkarzem, działam w Polskim Związku Wędkarskim, czyli reprezentuję półtora miliona osób. – Zaraz po tym ogłoszeniu nastaje cisza, a salę wykładową wypełnia poczucie, że oto poruszamy sprawy najwyższej wagi. Ludzie słuchają, a pan Wąsik objaśnia świat. – PZW powstał siedemdziesiąt lat

temu i struktura była taka, ile było wtedy województw. Tak zostało do tej pory. Mamy czterdzieści dwa zarządy okręgu w całym kraju, które mają pod sobą dwa i pół tysiąca kół wędkarskich. Parodią i paranoją jest to, że w województwach jest kilka okręgów PZW. Podam przykład.

W województwie lubelskim jest okręg lubelski, chełmski, zamojski, siedlecki i... – odchrząkuje, próbując sobie przypomnieć. Jedzie z głowy, bez żadnych notatek. – ...I radomski. Jak ktoś jest z Dębłina, z powiatu ryckiego, z województwa lubelskiego, to na tamtej części wędkuje na wodach radomskich. Jak ktoś jedzie pod Warszawę, dojeżdża do Okrzejki, łowi już w okręgu siedleckim. Ja wiem, że może kogoś to nie interesuje, ale to jest bardzo ważna sprawa – rzuca. Jest rozgarnięty, więc orientuje się szybko, że powoli traci kontakt z salą. Wbija oczy w panią marszałek, która nie traci powagi ani przez sekundę. – Skoro mamy czterdzieści dwa okręgi, to jest pełno ryjów do wykarmienia: dyrektorów, prezesów, skarbników. Wybaczcie państwo, ale coś trzeba z tym zrobić. Ja tę kartę wędkarską opłacam już tylko dlatego, że startuję w różnych imprezach! – Po kulminacji wkurwu zwalnia na chwilę. – Jak można sobie z tym poradzić? – zadaje pytanie i odpowiada sam sobie. – W bardzo prosty sposób: to jest wszystko w pani rękach. A dlaczego? To powiem właśnie. Większość wód lądowych jest Skarbu Państwa. Na tych wodach działają RZGW, czyli inaczej Wody Polskie. Jest ich siedem, więc niech to one wytyczają okręgi. Wystarczy rozegnać to towarzystwo! Ustaw! Czymkolwiek! – piekli się od nowa. Do mety jeszcze daleko. – Druga rzecz. Powinna być jedna opłata. Proszę uwierzyć, ja płacę za kartę tutaj dwieście dwadzieścia złotych. Za Warszawę płacę dwieście, za Gdańsk, za Elbląg podobnie. Zresztą niejedna osoba z nas tutaj ryby łowi, to wie, o czym mówię. O, kolega Jerzy na przykład!

Pan Wąsik dzierży mikrofon już tak długo, że zaczyna sobie chyba wyobrażać, iż jest wodzirejem. Minuta, dwie i zaraz będziemy wszyscy tańczyć w kółku i recytować *Atlas ryb polskich*.

– Dochodzi do takiego absurdu, że jak ktoś wędkuje w okręgu siedleckim, złowi wymiarową rybę, włoży ją do siatki, to dokładnie w tym samym czasie musi ją wpisać w rejestr. To jest statut debili, proszę pani, bo to inaczej się nie da nazwać. Dlatego bardzo bym panią prosił, że jeśli będzie pani w stanie, żeby zrobiła pani z tym porządek. Wystarczy pogrozić palcem i rozegnać to towarzystwo. To wszystko!

Finisz.

Brawa. Szczere brawa! Aż odbijają się hukami od ścian.

– Widzę, że mamy problem i trzeba go rozwiązać. Przyznam, że nie znałam tej sprawy. Trzeba przygotować rozwiązanie prawne – odpowiada Kidawa-Błońska.

Największy aplauz na spotkaniach kandydatki KO zawsze wywołuje to samo pytanie. W kolejce czasem na przedzie, czasem ożywia publiczność w środku mityngu, a czasem, jak w Rykach, dokłada do pieca na koniec.

– Proszę pani, żeby utrzymać firmę, trzeba wypłacić wynagrodzenia, prawda? Teraz minimalne wynagrodzenie podnieśli, ale tutaj i tak są tacy, co wolą dostać te pincet na dziecko i siedzieć se w domu. – Pierwsze brawa, na zachętę, idą po sali. – Przepraszam bardzo, ale pan Kaczyński tworzy nową elytę: ludzi niepracujących i dobrze żyjących. To jest najbardziej przykre. Mam nadzieję, że ktoś kiedyś rozliczy tych ludzi za to, co zrobili, i mam nadzieję, że będzie taka szansa, żeby to zmienić. Pokaż mi PIT, to dostaniesz nawet tysiąc na to dziecko, ale pracuj i buduj polski dobrobyt. Czy coś z tym można zrobić? – pyta lokalny przedsiębiorca.

Brawo! Brawo! Brawo! Nawet gdyby wędkarz złowił i przytaszczył ze sobą rybę na chłopa wysoką, nie mógłby liczyć na taki wybuch entuzjazmu.

– Dlatego mówię zawsze o tym, że osoby, które pracują, powinny być premiiowane. Osoba, która dostaje tę najniższą pensję, powinna ją dostawać na rękę, żeby zachęcić ludzi do pracy. To, co pan mówi, słyszę na każdym spotkaniu, ludzie mają pretensje, że oni pracują, a inni nie – uspokaja Kidawa. I jak zawsze kiedy pojawia się pytanie o to, jak skończyć z „patologią”, „nową elytą”, „pincetami”, dodaje też, że nie zamierza ograniczać programu 500+. – Ludzie dostali to, bo im obiecano. Nie można tego cofnąć. Trzeba dodatkowo stworzyć coś, czym zachęci się ludzi do pracy – powtarza na każdym spotkaniu.

W Piasecznie dwa tygodnie wcześniej temat 500+ wjechał zaraz po żalach frankowiczów i złotych poradach „jak wygrać wybory”.

– Chciałabym, żeby była pani naszą Margaret Thatcher, bo rząd ma tylko to, co od nas weźmie, prawda? – zaczęła miejscowa emerytka. – Ostatnio byłam u nas na skwerku. Siedzi dwóch panów, trzeci podchodzi i pyta: „Znalazłeś robotę?”. „A po cholere?”, mówi drugi. Trzeci: „Ja też nie pracuję”.

Brzmiało to jak słaby dowcip typu Polak, Niemiec i Rusek. Wszyscy wiedzieli już dobrze, dokąd zmierza ta historia.

– Ten drugi ma czwórkę dzieci, czyli dwa tysiące. „Tyleśmy nigdy w życiu nie mieli. To po cholere szukać roboty?”, mówi do reszty. Ludzie, jak tak można, żeby dawać ludziom, którzy kpią z ludzi pracujących? To jest zbrodnia – zakończyła kompletnie roztrzęsiona starsza pani.

Kidawa zripostowała historią o kobiecie, którą miała spotkać na trasie kampanii. Podobno ze względu na świadczenie 500+ zrezygnowała z pracy. Za trójkę dzieci dostaje tysiąc pięćset złotych, czyli tyle samo, ile zarabiała wcześniej.

– „A czy pani sobie zdaje sprawę, że gdyby pani pracowała, miałyby pani trzy tysiące złotych?”. Ona na to: „No tak, nie pomyślałam”. Gdzieś edukacyjnie, wychowawczo straciliśmy budowanie w ludziach aspiracji.

W Lubartowie, godzinę drogi od Ryk, grany był podobny repertuar pytań i trosk. Miejscowy ośrodek kultury wypełnili znawcy sprzętu militarnego, którzy wypytywali kandydatkę o zakupy dla armii. Na chwilę spotkanie przerwał chłopak, który kilka tygodni wcześniej wystartował do Andrzeja Dudy z pytaniami o politykę wobec zmian klimatu. Krewkie dziadki trochę go wtedy poszarpały i próbowały zabrać mu transparent, ale prezydent zobaczył, co się dzieje, i wyrwał ze sceny przeprowadzać interwencję. Rozłożył transparent na nowo, wręczył chłopakowi i wysłuchał jego pytań. Teraz młody strategicznie usiadł w pierwszym rzędzie. A kiedy wyszedł na scenę, nikt nie próbował go obezwładniać.

– Widziałam cię na spotkaniu z prezydentem Dudą! – Uczestniczka spotkania podniosła się z fotela. – Widzisz, jaka jest różnica? Widzisz? Tutaj nikt ci nie chce zrobić krzywdy!

Chłopak odpowiedział, że widzi, najwyraźniej skonsternowany, iż oczekuje się od niego wdzięczności tylko za to, że nikt go nie glanuje.

Przyszedł też pan, który wykorzystał czas z mikrofonem, żeby wygłosić przemowę o tym, że „w dupie ma ekologię”.

– Od dwudziestu lat kopcę. I będę kopcił, dokąd będę żył – rozpoczął donośnym, głębokim głosem.

Kupił piec olejowy za rządów PO–PSL. Z początku inwestycja wyglądała na opłacalną, ale z czasem litr oleju zdrożał. Pan przerzucił się na palenie śmieciami, a teraz o wszystko obwiniał Kidawę.

Nie zabrakło też lejtmotywu spotkań z panią marszałek, czyli wątku 500+. Tym razem kobieta z pierwszych rzędów poprzedziła pytanie przypowiastką rzekomo z życia wziętą.

– Zacznę od takiej historii: sklepik wiejski spożywczy, pani kupująca stosunkowo młoda. Pani sprzedająca, również stosunkowo młoda, mówi tak: „Wiesz co? Chyba się zwolnię, nie opłaca mi się pracować”. Pani kupująca na to: „Ja już się zwolniłam i jestem zadowolona”. – Pani modulowała głos, żeby słuchacze połapali się, kto jest kto. – Zrobiła zakupy, wyszła. Przed sklepem stoi pan typu „zgrzewkę piwa poproszę”. Kupił zgrzewkę piwa, wraca i mówi: „Jeszcze cztery lizaki, bo pincet plus przyszło”. Ja bym chciała zapytać, czy jest możliwość rozwiązania tego problemu. 500+ rozwija patologię straszną. Ludzie pracują, płacą podatki, kiedy duża rzesza z tego korzysta, a nic nie robi. Wiem dobrze, bo codziennie oglądam, jak pod PCK podjeżdżają ładnymi, dobrymi samochodami. Tak chyba nie powinno być?

Odpowiedź Kidawy taka sama jak w Rykach i Piasecznie: trzeba docenić ludzi pracujących, ale 500+ zostanie, bo na to społeczeństwo umówiło się z władzą.

Całe spotkanie przesiedziałem wciśnięty między stopień schodów i krzesło, na którym usadowiła się tykająca bomba. Tyle że zamiast tykać, sapała. A kiedy ktoś, nawet nieznacznie, krytykował kandydatkę Platformy, wybuchała cichutko niepokojącym śmiechem. Nie widziałem jej twarzy, tylko starą kreszową kurtkę, która podobnie jak włosy bomby z wiekiem zupełnie straciła kolor. Przez niemal godzinę wpatrywałem się, jak jej but, czarny, znoszony mokasyn, jakich pełno na targowiskach, stukał o wykładzinę w coraz szybszym tempie. Skumulowane w nim napięcie sprawiło, że przy każdym uderzeniu wzbijał na kilka centymetrów chmurkę kurzu.

Widać było, że bomba musi odpalić. Kiedy zgłosiła się po mikrofon, prowadzący podał jej go niechętnie.

– Pani marszałek, ja mam siedemdziesiąt jeden lat i siedmioro dzieci – przemówiła głosem łamiącym się z nerwów. – Przeżyłam stan wojenny, przeżyłam komunę, ale nie przeżyłam, jak pani rządziła osiem lat z Tuskiem...

– Jak to? Co pani? Przecież pani żyje! – Poszły po sali echem słowa jakiegoś żartownisia.

– Moje dzieci pracowały za trzy pięćdziesiąt, a później za siedem złotych. Jak można żyć tak osiem lat w Lubartowie, tu? Tysiąc trzysta osiemdziesiąt złotych moje dzieci zarabiały: trzech synów i jedna córka, w Białej Podlasce. Jak można wierzyć w pani słowa? To pani do tego

doprowadziła, z Tuskiem! Nigdy w życiu nie będę na panią głosować! Siedmioro dzieci! Siedmioro dzieci! – Po ciemnym pomieszczeniu niósł się z głośników skrzekliwy krzyk. – Za Pis-u dostały czternaście złotych, teraz mają siedemnaście. Kupiły mieszkania zaraz koło mnie. A co za Platformy? Co było za platfusów? Szczaw i mirabelki! Szczaw i mirabelki! – Uderzeniom nogi dodawały siły palce zaciskające dłoń w pięść. – Po to tutaj przyszłam. Bo chciałam pani w twarz to powiedzieć. – Bomba splunęła w powietrze.

Mikrofon wrócił do prowadzącego.

Gdzieś w połowie tego występu do boju ruszyli samozwańczy obrońcy pani marszałek, łącz zdenerwowaną starszą kobietę. W efekcie Kidawa musiała radzić sobie nie z jednym problemem, ale z dwoma: uspokojeniem rozochoczonego tłumu i wysłuchaniem łajania z godnością.

Rozkopanymi przez remonty drogami wracam do domu. W radiowych serwisach informacyjnych jeden temat, koronawirus. „Francuski minister kultury zakażony” – trzeszczy w głośnikach na drodze S17 koło Żabianki. Kilka złotych przebojów dalej: „Najnowsze dane z Ministerstwa Zdrowia: potwierdzono 17 przypadków koronawirusa, 467 osób jest hospitalizowanych z podejrzeniem zakażenia, 1014 osób objęto kwarantanną, 7110 przebywa pod nadzorem epidemiologicznym”. Wsłuchuję się w każde słowo lakonicznych komunikatów, ale czekam wyłącznie na wiadomości o kampanii. Na znaku informacja, że najbliższa stacja za niecałe dwa kilometry. Powinienem zatankować, ale jadę dalej, bo nie wiem, czy jutro będę miał dokąd jechać. Wieczorem oglądam konferencję prezydenta w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego.

– Ja osobiście już mogę powiedzieć, że podjąłem decyzję, że nie będę organizował tych dużych spotkań w związku z moją kampanią prezydencką, bo to są spotkania, na które przychodzą setki osób. Wydaje mi się, że ryzyko tego, że może dojść przez to do rozprzestrzenienia się koronawirusa, jest zbyt wielkie. Nie chcę narażać ludzi, którzy przychodzą na te spotkania – płynie z telewizora i odbija się od ścian w mieszkaniu. Duda mówi jeszcze, że jest źle, ale nie tak źle, jak mogłoby być, bo we Włoszech jest gorzej.

Mnie to już mało interesuje. Jeśli spotkania wyborcze zawiesza prezydent, oznacza to tyle, że następnego dnia reszta zrobi tak samo. Kampanii nie będzie.

Część IV

W kagańce nas chcą poubierać

Nie ma kampanii, nie będzie wyborów. Powinny się odbyć za kilka dni, 10 maja, ale wszyscy już wiedzą, że nie ma na to szans. Szkoły zamknięte od dwóch miesięcy, podobnie knajpy, salony fryzjerskie, kwiaciarnie – wszystkie biznesy oparte na kontakcie z klientem. Za chodzenie po parku bez zasłoniętej twarzy i nosa można zarobić karę administracyjną sięgającą nawet kilkudziesięciu tysięcy złotych.

– Gorączka? – pyta lekarz w kontenerze ustawionym przed szpitalem w Bydgoszczy.

– Nie – odpowiadam.

– Duszności?

– Nie.

– Kontakt z osobami, u których stwierdzono koronawirusa?

– Też nie.

– Zaraz ktoś po was przyjdzie.

Pół godziny później ubieramy się z operatorem od stóp do głów w tak zwane środki ochrony osobistej: fartuch flizelinowy, maseczkę, nitrylowe rękawice, przyłbicę. Spryskają nas jeszcze tylko jakąś medyczną gorzałą i możemy ładować się na oddział intensywnej terapii bydgoskiego szpitala.

Kręcimy dla stacji telewizyjnej Euronews reportaż o walce z koronawirusem w Polsce.

Obiekttyw kamery wycelowany w pacjenta za szybą. Z ust wystaje plastikowa rurka prowadząca prosto do respiratora. Człowiek jest nieprzytomny. Jedyne oznaki życia to powolnie unosząca się klatka piersiowa, centymetr w górę, później powoli w dół.

– Sto dwadzieścia to chyba wysokie tętno, prawda? – zagaduję lekarkę monitorującą covidowych chorych.

– No tak, pan już w bardzo ciężkim stanie – przyznaje ze smutkiem.

Zielony wykres podskakuje co chwila na czarnym ekranie.

– Myślałem, że jak ciężki stan, to tętno powinno być niskie...

– Nie, niższe jest dopiero, jak by to powiedzieć, na sam koniec. Pewnie jutro.

* * *

Tydzień później dwieście metrów od siedziby Prawa i Sprawiedliwości na Nowogrodzkiej przedsiębiorcy blokują plac Zawiszy. W stronę radiowozu rusza typ w масeczce z napisem „Koronawirus to ściema”. Ciska żółtymi tulipanami w maskę samochodu i spieprza ile sił w nogach. Policjanci na chwilę zrywają szyk, żeby go dogonić. Przy akompaniamencie okrzyków: „Zostaw Polaka!”, odpuszczają.

– Dlaczego ściema? – pytam.

Odsapnął, ściągnął масечkę.

– A widział pan kogoś chorego na koronawirusa? Tak na własne oczy? – Na pewno odpowiada pytaniem na pytanie.

– Widziałem, kilka dni temu. Faceta pod respiratorem, jak umierał. Dzisiaj już pewno nie żyje.

Mija sekunda, dwie. Typ marszczy brew. Zakłada масечkę i zbiera się w sobie.

– A skąd pan wiesz, że akurat na koronawirusa, a nie na jakąś inną chorobę? Lekarzem pan jesteś? – atakuje.

Chętnie wdałbym się w tę filozoficzną dysputę o źródłach poznania. Pochylilibyśmy się wspólnie nad klasycznymi pytaniami. Czy rzeczy są tym, czym nam się jawią? Skąd wiemy, że zmysły nas nie zwodzą? Chętnie bym wśród nich pomeandrował, nawet jeśli miałbym wyruszyć w tę intelektualną podróż, tak jak stoję, pośrodku nielegalnie zablokowanego placu Zawiszy.

Nie tym razem. Między nami przebiega gość z megafonem w ręku. Szybciutko przebiera nogami w beżowych chinosach i zamszowych półbutach. Przed nim granatowa ściana policji.

– Za mną! Na centrum! – drze się bez opamiętania.

Antypolicyjnego wojownika poznam tydzień później, na kolejnym strajku przedsiębiorców. Pod Pałac Kultury i Nauki przyjdzie z białymi kwiatkami i przedstawi mi się jako Tymoteusz z Będzina, przedsiębiorca z branży budowlanej

– Nie straciłem na koronawirusie jakoś szczególnie – oznajmi. – Protestuję, bo zabierają nam wolność. Za komuny nie żyłem, to nie wiem, jak było, ale starsi koledzy mówią, że to są zomowskie metody. Żeby ludzi tak gazem? Do suk pakować?

Ostatni obrazek zarejestrowany przeze mnie przed tygodniem to blond łepetyna Tymoteusza uderzająca o metalowe okucie masywnej donicy. Wyrznął i zaraz znikł w granatowej masie pokładających się na nim funkcjonariuszy z prewencji. Kilkunastu chłopów, kilkadziesiąt kończyn. Resztki oporu wyciskają z niego jak pastę z tubki.

Za chwilę ktoś wyłącza mi wizję.

Na policzku czuję chłód, który szybko przechodzi w pieczenie i zaciska powiekę mojego lewego oka. Prawym widzę coś, co wygląda jak mała gaśnica. Policjant mierzy z niej w tłum, przyciska kciukiem i z kanisterka wali żółty gaz.

Oka nie mogę otworzyć z dobrą godzinę. Gaz pieprzowy.

Na szczęście policja jest tak zaaferowana obezwładnianiem przedsiębiorcy Tymoteusza, że reszcie odpuszcza.

– Dawać na psy! Odbijamy go! – wrzeszczy ziomek owinięty polską flagą.

Kiedy podbiega, żeby powygrażać policjantom, biało-czerwony materiał zawiązany przy szyi faluje na nim jak na lekkoatlecie podczas rundy honorowej. Ale nikt jakoś szczególnie się nie wrywa do walki z granatowym kordonem. Ostatecznie do ziomka w pelerynie dołącza dwóch wydziaranych wojowników, też w odzieży patriotycznej: mały powstaniec na łydce, kotwica Polski Walczącej na przedramieniu.

Bez słowa, tylko porozumiewawcze spojrzenia. Aż zapada jedyna decyzja, jaka mogła zapaść – zostawiają wyrywne go kompana w policyjnych objęciach. Sarkają coś, że lamusy przyszły, że to chuj, nie protest, że jakby było ich więcej, toby psiarskim wpierdolili. Im bliżej są rozlazłego peletonu blokującego Aleje Jerozolimskie, tym głośniejsze rozprawiają o swojej potencjalnej sile.

W peletonie wita ich ziomek w chabrowym dresie Adidasa, dumnie prezentujący na masce „yebać piss”. Inny wypina pierś z koszulką, na której wymazał markerem: „Koronawirus to ściema”.

Wszyscy wiedzą, że narobili dymu, blokując kilkupasmową ulicę w centrum miasta, ale za bardzo nie mają pomysłu, co robić dalej. Nawet gość, który na marsz przebrał się za Bane’a, złoczyńcę z *Batmana*, siedzi teraz na krawężniku i czeka na rozwój wypadków.

Niedobitki marszu snują się jeszcze ulicami Osiedla za Żelazną Bramą. Na każdym skrzyżowaniu policja wjeżdża w tłum i dzieli go na mniejsze grupki, doprowadzając wszelkiej maści blogerów, vlogerów i tiktokerów

(relacjonujących marsz w kamizelkach PRESS) do nadzwyczajnych uniesień.

– Co wy robicie? Łamiecie prawo! – pokrzykuje nadpobudliwy koleżka do policjantów.

Wymachuje legitymacją prasową na lewo i prawo. Wydrukował ją na plastiku, żeby było profesjonalnie. Kiedy przez chwilę trzyma ją prosto, doczytuję się nazwy redakcji: Chwdp.tv.

Ostatni rozbójnicy zostają wyłapani na ścianie biurowca przy Świętokrzyskiej. Nie ma już kamer największych stacji, więc policja się nie oszczędza. Radiowozy się nie zatrzymują; wyskakuje z nich kilkunastu byków, którzy wjeżdżają w każdego, kto wygląda na uczestnika przemarszu. Jeb o ścianę, gleba i do suki.

– Mówiłem Monice: spo-koj-nie. Idź, jakby w ogóle nie było przypału – tłumaczy mi zadowolony z siebie Rafał. Niski, krępy, nieogolony. Lekko „się wozi”, ale subtelnie. Nie powstrzymuje się i chwali, że nie pierwszy raz udało mu się uniknąć aresztowania. – Jak mają do wyboru powinnyć tego, co ucieka, i tego, co idzie sobie jak na spacerze, to kogo powinnyć – robi mi wykład pod Pałacem Kultury i Nauki.

Gaz pieprzowy już mnie puścił, więc widzę lepiej. Na tyle dobrze, że w trakcie wykładu Rafała na temat: „Jak fachowo nie dać się złapać” dostrzegam wyblakłe kropki tuszu, które ktoś przed laty wbił mu kolką pod skórę. Tam, gdzie policzek spotyka się z oczodołem. Stare dzieje.

– Zaprotestować przeciwko temu lockdownu przyszliśmy – mówi.

– A mocno ucierpiełście przez koronawirusa?

– Nie przez koronawirusa, tylko koronapanikę – poprawia mnie Monika, jego kobieta. – Ja na początku to jak szalona latałam z tym spirytusem. Skóra z rąk mi zaczęła schodzić. Dalej wysuszone mam, patrz! – Pokazuje popękane dłonie. – Zakupy tak samo. Szynek kupiłam, to szorowałam płynem plastikowe opakowanie, a później spirytus. Zwariowałam od tego – stwierdza. Kiwam głową potakująco. – Żebyś zrozumiał: naprawdę zwariowałam, to znaczy na zdrowie psychiczne mi się rzuciło. Zawsze miałam jakieś tam problemy, ale takiego pogorszenia, jak przez tę niby-pandemię, to w życiu nie miałam. Musiałam na antydepresanty wskoczyć. Dwa tygodnie tego stresu i padłam na łóżko. Życ mi się odechciało.

Monika i Rafał mieszkają w Markach pod Warszawą. Tam się urodzili, wychowali, tam pracują. Ona robi w zakładzie fryzjerskim: przycina, cieniuje, balejaże jak trzeba. Trwałą też umie, ale teraz niemodna, więc nie

pamięta, kiedy zawijała ostatnią. Lubi klientki, pogaduchy. Nawet czesanie i cięcie lubi. Ale od dwóch miesięcy jedyne głowy, z którymi ma do czynienia, to jej własna i konkubenta. On na górze łysy, a po bokach krótko, więc Monika całe swoje serce włożyła w idealne ufarbowanie własnych włosów. Na czarno, z granatowym połyskiem.

Rafał po życiowych przebojach wylądował w piekarni. Robota ciężka, codziennie trzeba się mąką ujebać po pachy, plecy od dźwigania siadają. Ale przynajmniej jest stabilnie.

– Obcięli nam dwadzieścia procent z wypłaty, tyle że trzeba powiedzieć szczerze, że i pracy było mniej. Chleb ludzie zawsze będą jedli, ale już bułki, ciastka to niekoniecznie. Ale teraz przecież odmrażają podobno gospodarkę, więc my znowu na całe obroty na hali zapieprzamy, pot się po dupie leje. Tylko tych dwudziestu procent z wypłaty jakoś nam nie odmrozili. – Rozkłada ręce, kopie kapsel po piwie Królewskim.

Pandemia mocno rozchwiała ich domowy budżet, ale wciąż trzymają się na nogach. Na razie udaje się bez pożyczania pieniędzy po bliskich. Stracili za to zaufanie do rządu, mediów, lekarzy.

– Proste pytanie: czy maseczki chronią przed koronawirusem, czy nie chronią? Proste, nie? – pyta mnie Rafał. Potwierdzam, że raczej proste. – To dłączego ten z rudy z worami pod oczami, Szumowski, minister zdrowia, raz mówi tak, raz mówi siak, a później jeszcze ze dwa razy zdanie zmienia? Bo raz mu się opłaca, a raz nie!

– Proste, nie? – pyta tym razem Monika.

Żadne nie oczekuje potwierdzenia.

– Zmieniło się nam też, jeśli chodzi o media. Kiedyś tylko telewizja, a teraz telewizora prawie nie włączamy. Jak media, to tylko nie te mainstreamowe. Niezależne raczej. W TVP robią debili z ludzi na stronę pis-u, w TVN-ie promują Platformę i pajaca Hołownię. – Rafał, objaśniając mi świat, kopie kapsel raz jedną nogą, raz drugą.

– Jak czytamy, to OKO.press, a jak oglądamy, to wRealu24 na YouTube. Niezależne, obywatelskie – rzuca tytułami jego dziewczyna.

Dotychczas szczytem otwartości moich rozmówców było przyznawanie się do oglądania *Faktów* i *Wiadomości* w tym samym domu, w jednym telewizorze, tego samego wieczoru. Ale Monika i Rafał, odkąd odłączyli się od telewizji, serwują sobie dzień w dzień koktajl z tekstów portalu prowadzonego przez Piotra Pacewicza, jednego z założycieli „Gazety Wyborczej”, uczestnika obrad Okrągłego Stołu, przeplatany telewizją

internetową Marcina Roli, vlogera, który dobił do kilkuset tysięcy subskrypcji na YouTube, promując teorie spiskowe i nacjonalistów.

Nie są przedsiębiorcami. Ona pracuje na śmieciówce, on ma umowę o pracę. Do facebookowej grupy Strajk Przedsiębiorców dołączyli zaraz po tym, jak premier w asyście ministrów ogłosił zamknięcie szkół i przedszkoli, czyli jeszcze w marcu.

– Dużo ludzi myślących niezależnie tam jest – mówi Monika.

– Czujesz, że nie jesteś z tym sam – dodaje Rafał nostalgicznie, aż traci koncentrację i kapsel spada kilka schodków. Odpuszcza.

Po dwóch miesiącach pandemii, nie licząc ich dwojga, na facebookowej grupie jest blisko dwieście tysięcy osób z całej Polski. Na liderów szybko wyrastają Paweł Tanajno, libertariański kandydat na prezydenta RP, Michał Wojciechowski, przedsiębiorca, i Michał Kołodziejczak, lider rolniczego stowarzyszenia AgroUnia, nazywany zarówno przez zwolenników, jak i przeciwników „nowym Lepperem”^[4].

Kiedy Rafał ratował Monikę przed zatrzymaniem, ordynując, żeby nie uciekała, policja już od kilku godzin rozwoziła osoby zatrzymane na placu Zamkowym. W jednym z radiowozów jechał Maciej Bajkowski. Umówiłem się z nim kilka dni później, w miejscu, w którym mieszka od kilku lat. Czyli w namiocie pod Sejmem.

– Dokładnie to 10 maja 2016 roku rozbiłem miasteczko namiotowe pod Kancelarią Premiera. Kilka dni później przeniosłem się tutaj i zostałem do dziś. Ostatni raz w domu byłem kilka miesięcy temu, ale nie pamiętam dokładnie kiedy – opowiada Bajkowski.

Uliczni opozycjoniści, jak mówią o sobie goście, których spotykam przed konstrukcją z plandek i rusztowań, nazywają ją miasteczkiem wolności. To raczej stare transparenty, banery, metry kwadratowe plakatów z demonstracji KOD-u poprzetykane metalowymi słupkami. Na plakacie przy wejściu naturalnych rozmiarów Donald Tusk kopie piłkę na tle barierki przed Sejmem. *Vis-à-vis* niego wieniec z napisem „Pamięci ofiar Lecha Kaczyńskiego”. Dziesiątego dnia każdego miesiąca z miasteczka wyrusza delegacja i składa go pod pomnikiem Ofiar Tragedii Smoleńskiej 2010 roku. Regularnie organizowane są też wycieczki pod budynek telewizji publicznej i puszcza tam sygnał z peerelowskiego *Dziennika Telewizyjnego*.

Bajkowski wita mnie w wejściu. Tęgi facet w okolicach pięćdziesiątki, z siwą szczeciną na brodzie. Niebieski T-shirt z symbolem dolara na piersi

pamięta lepsze dni, dresowe spodnie i basenowe klapki też. W klapkach śmiga podobno zarówno w zimie, jak i w lecie. Na szyi niedbale zawieszona maseczka.

– Mam być w maseczce, jak z panem rozmawiam? – pytam.

– Proszę pana, maska jest teraz tylko symbolem zniewolenia. Pan Szumowski sprowadził całego antonowa masek, więc chce, żebyśmy je nosili. Maseczki mogły pomóc w pierwszej fazie, żeby nie dopuścić do rozprzestrzeniania się choroby, teraz pomagają jak umarłemu kadzidło. To władza sprawdza, na ile można obywateli w kagańce ubrać – słyszę.

Drzwi policyjnej suki, która zawinęła go z placu Zamkowego, otworzyły się dopiero w Piasecznie. Miał szczęście, że się nie stawiał, więc nie zarobił gazem. Teraz zbiera z kanapy jakieś ulotki i robi mi miejsce naprzeciwko stołu, na którym są porozkładane megafony i pielgrzymkowe głośniki.

– Walczę z Kaczyńskimi i jego bandą nieustannie od 2004 roku. A obserwuję, co wyprawiają w polskiej polityce od czasów, kiedy Jarek palił kukłę Wałęsy. To będzie 1993 rok... – zamyśla się Bajkowski. Jeszcze zanim PiS doszedł do władzy po raz pierwszy, był stałym gościem politycznego talk-show prowadzonego przez Tomasza Lisa *Co z tą Polską*. Przychodził na widownię i wyklócał się z pisowskimi zwolennikami. – Mówiłem tak samo wtedy i powtórzę to dzisiaj: Jarosław Kaczyński stąpa śladami Hitlera. Dlatego robię wszystko, żeby nie było go u władzy – mówi.

Kiedy Kaczyński złożył dymisję rządu w 2007 roku i przegrał wybory, Bajkowski powrócił do życia poza polityką. Do prowadzenia firmy informatycznej, udzielania się na forach i rozwijania swojej pasji, rusznikarstwa. W 2016 roku zaktywizował się ponownie.

– Kaczyński znowu doszedł do władzy, więc i ja wyszedłem na ulicę – ciągnie. Wtedy poznał Mateusza Kijowskiego, późniejszego lidera KOD-u, i Pawła Kasprzaka, współzałożyciela Obywateli RP. Dzisiaj o protestach ulicznych sprzed lat wypowiada się z rezerwą. – To wszystko było puszczanie pary w gwizdek. Spędzali ludzi na ulicę, zapełniali skarbonki i wszyscy rozchodzili się wygodnie do domów – mówi zrezygnowany.

Twierdzi, że gdyby po pierwszych niekonstytucyjnych reformach ludzie masowo rozbijali namioty pod Sejmem, na wzór kijowskiego Majdanu, rządy Zjednoczonej Prawicy już dawno byłyby historią.

Dlaczego przyszedł na strajk przedsiębiorców? Przecież ani kwestie praworządności, ani demokracji liberalnej nie są w tym kręgu

protestujących jakoś szczególnie popularne. Obok biznesmenów, którzy postulują zniesienie wszystkich podatków, maszerują wkurwieni rolnicy i antyszczepionkowcy.

– Jestem na wszystkich protestach wymierzonych we władzę Kaczyńskiego i jego bandy, więc nie wyobrażam sobie, żeby mogłoby mnie tam zabraknąć. A że przy każdej ruchawce na ulice wychodzą elementy, które liczą, że mogą zaistnieć, to normalne. Ja uważam tak, jak powiedział Voltaire: mogę się z tobą nie zgadzać, ale będę bronił twojego prawa do głoszenia bredni – odpowiada.

W połowie maja rozmawiałem też z kilkoma innymi uczestnikami strajku przedsiębiorców. Niektórzy dostali gazem, inni pałką, jeszcze inni czekali w domu na karę z sanepidu. Wszyscy zarzekali się, że za tydzień znowu przyjadą do Warszawy pod Pałac Kultury i Nauki, żeby zakończyć rządy PiS-u.

Byłem tam. Nie przyszli.

Stawiło się niespełna sto osób. Z głośników poleciał antyrządowy kawałek Kazika *Twój ból jest lepszy niż mój*, powstał krzyż ze zniczy. Paweł Tanajno przyjechał pod PKiN wypucowanym białym mercem, z którego nadawał relację *live* na Facebooku. Później próbował przeprowadzić marsz pod Pałac Prezydencki, ale tym razem na każdym skrzyżowaniu rozbijała go policja, żeby ostatecznie na placu boju pozostał samotny. W końcu i jego zawinięto – noc spędził w areszcie, następnego dnia usłyszał zarzut naruszenia nietykalności cielesnej funkcjonariusza policji.

Majdanu pod Sejmem nie było.

Samotne pożegnanie

Pięć dni po wyborach, które się nie odbyły, prezydentem wciąż jest Andrzej Duda. W czasie pandemii otwiera konto na TikToku i nagrywa hiphopowy kawałek. Z tabletem w ręku rapuje:

Nie pytają cię o imię,
walcząc z ostrym cieniem mgły.
Nie pytają cię o imię,
walcząc z ostrym cieniem mgły.
Nie pytają cię o imię,
walcząc z ostrym cieniem mgły.

Pozostali kandydaci też działają głównie w internecie, bo koronawirus. Szymon Hołownia kilka razy dziennie rozmawia na żywo, to znaczy na Facebooku, z potencjalnymi wyborcami. Tysiące ludzi zamkniętych w domach oglądają te rozmowy i lawinowo wysyłają mu serduszka. Politycy Platformy próbują pociągnąć do odpowiedzialności ministra Jacka Sasina za bezprawny, ich zdaniem, druk kart wyborczych. Pis nieszczególnie się tym przejmuje. Władysław Kosiniak-Kamysz prawie codziennie zwołuje jakąś konferencję pod pomnikiem AK przed Sejmem, Bosak to samo. Sztabowcy Biedronia postavili na ryzykowny format: wieczorami nadają *Studio Biedroń*, w którym politycy Lewicy rozmawiają z politykami Lewicy o kandydacie Lewicy na prezydenta RP.

Za kilka godzin nikt nie będzie pamiętać o tych mniej lub bardziej udanych występach przed kamerkami internetowymi. Sondaże, które dają teraz Hołowni ponaddwudziestoprocentowe poparcie, a kandydatce KO dziesięć razy mniejsze, zostaną bezpowrotnie zmiecione z powierzchni smartfonów, gazet i ekranów telewizyjnych.

Kwadrans po dziewiątej rano wicemarszałek Sejmu Małgorzata Kidawa-Błońska podchodzi do mikrofonu ustawionego na tle czarno-złotej kraty oddzielającej Salę Kolumnową od sejmowego hallu głównego. Jest sama. Perłowy naszyjnik, prosty granatowy żakiet i prosty komunikat.

– Nie będę brała udziału w tych wyborach – oświadcza, tym samym potwierdzając plotki i nieoficjalne doniesienia z obozu Platformy Obywatelskiej.

Samotność kandydatki na tle zimnych metalowo-szklanych drzwi pozostanie w pamięci. Partyjni koledzy będą później przekonywać, że chcieli wyjść razem z nią, ale to Kidawa podjęła decyzję o samotnym pożegnaniu.

Przez następnych kilka godzin trwa polowanie na wywiady pod budynkiem Czytelnika na Wiejskiej, gdzie mieści się biuro PO. Radek Sikorski przyznaje, że będzie ubiegać się o nominację na kandydata w najbliższych wyborach prezydenckich. Ostatecznie – podobno – jego kandydatura nie zostanie nawet poddana pod głosowanie. Poparcie dla konkurenta będzie jednogłośnie.

Kilka dni później sztab wydrukuję koszulki z portretem Rafała Trzaskowskiego i hasłem: „Idę się bić o Polskę!”.

Jest robota do zrobienia!

Ogłuszający huk wypełnia wnętrze auta. Za chwilę drugi, gdzieś na zewnątrz. Po chwili włącza się alarm, taki jak samochodowy, a przy szlabanie rozbłyskuje i gaśnie żółte światło.

Dociera do mnie, że właśnie próbowałem przejechać przez zamkniętą bramkę na autostradzie.

– Co tu się stało!? – Z budki wypada spanikowany kasjer. – Niech pan mi powie, dlaczego pan to zrobił. Przecież tej opłaty to jest tylko dziewięć złotych z hakiem!

* * *

Dziesięć minut wcześniej jadę drogą wojewódzką numer 403 z Wrocławia do Gogolina. Na komórcie widzę, że zaraz przekroczę granicę dolnośląskiego i wjadę w opolskie.

To drugi dzień mojej wycieczki śladami Szymona Hołowni. Wczoraj w Dzierżoniowie, między Wrocławiem a Kłodzkiem, spotkałem nauczycielkę z przedszkola, która specjalnie zamieniła się z koleżanką na dyżur, żeby tylko przyjść na spotkanie z Szymonem (żaden ze zwolenników nie mówi o nim „Hołownia”, wszyscy po imieniu). Przedszkolanka miała na sobie kanarkową kurtkę – w końcu żółty to kampanijna barwa kandydata – a w dłoni ścisnęła książkę swojego faworyta. Na okładce on sam. W aureoli.

– Żeby pan sobie nie pomyślał, ja nie jestem jakaś kościelna. Ale akurat on do mnie przemawia. Powinien pan przeczytać – reklamowała mi książkę *Jak zostać świętym* już po spotkaniu pod dzierżoniowskim ratuszem.

– Przeczytam, jak mi pani powie, dlaczego będzie głosować na Hołownię.

– Pewnie! Bo to jest po prostu dobry i uczciwy człowiek. On naprawdę nie chce dzielić Polaków na PO i PiS, on nie chce Polski Zjednoczonej Prawicy ani zjednoczonej opozycji. On chce po prostu zjednoczonej Polski – powiedziała, podziwiając jednocześnie autograf na swoim egzemplarzu.

Nie mogę prowadzić i czytać, ale dałem słowo, więc znalazłem w internecie audiobook. Kupiłem za czterdzieści zeta i odpaliłem. Tylko dwie godziny? Książka wydawała się grubsza. Chyba dałem się naciągnąć, bo to nie audiobook, tylko jakiś dźwiękowy suplement do dzieła. Ani to nagranie ze spotkania autorskiego, bo nikt nie zadaje autorowi pytań, ani nie dyskusja, bo to monolog. Ale wykład też nie. Na oko połączenie świeckiego kazania, rekolekcji i kaset motywacyjnych.

Po godzinie słuchania byłem już w transie. Dobrze, że instrukcje z nawigacji przerywały od czasu do czasu autorowi, który jak na rasowego coacha przystało, zwracał się bezpośrednio do słuchacza.

Na granicy województw odpaliłem rozdział *Bądź gotowy pójść do nieba*.

„Jak myślę sobie o takich świętych, którzy po prostu spotkali się ze swoim życiem, to nie mogę wspomnieć o świętym Franku, naszym Franku z Kasisi^[5] – hipnotyzujący głos Szymona płynie z głośników. – Dostaliśmy go ze szpitala w takim stanie, że nie byliśmy w stanie znaleźć u niego żadnej żyły, żeby się podkłuć. On był jedną wielką grzybicą, miał grzybicę przełyku, całego ciała. Miał już wtedy bardzo prawdopodobnie zakażenie grzybicze mózgu, miał AIDS, miał gruźlicę nieleczoną, która spowodowała, że zniknęło mu jedno płuco, a drugie płuco praktycznie funkcjonowało w sześćdziesięciu procentach”.

– Za sto metrów skręć w lewo – przerywa wywód GPS.

„Ludzie Ignęli do niego, bo on ich nie obciążał swoim cierpieniem, tylko on im pozwalał być sobą przy sobie. To był wspaniały, kochany, cudowny młody człowiek” – płynie ewangelizacja.

– Za sto metrów skręć w lewo. – Pan GPS znów dba o mój kontakt z rzeczywistością.

„Franek umarł. Nie oddał tylko bransoletki, którą ode mnie dostał, i jestem mu za to wdzięczny. Ja mam jego dowód osobisty, ten, z którego był tak dumny, i mam go ze sobą jako relikwię”.

No i wtedy jeb! Uderzam z pełnym impetem w szlaban przy wjeździe na A4 w Młodoszowicach.

Otwieram okno i próbuję znaleźć odpowiedź na pytanie kasjera, które zlewa się z alarmem.

– Dlaczego pan to zrobił?

Dobrze wiem dlaczego. Słuchałem właśnie, jak kandydat na prezydenta opowiadał podekscytowany o „misterium umierania” jakiegoś biednego chłopaka z Afryki. Ze szczegółami opisywał, co i gdzie dzieciak miał

zagrzybione i jak strasznie cierpiał. Prowadząc, próbowałem pojąć ten fetysz cierpienia, na którym fiksują się gorliwi katolicy. Jasne, że kiedy Hołownia pisał tę książkę i nagrywał jej rekolekcyjny suplement, nie był kandydatem na najwyższy urząd w państwie, tylko autorem książek, celebrytą i niedoszłym zakonnikiem. Ale teraz jest – nimi wszystkimi. Nie zauważyłem ogromnej autostradowej bramki ani znaku poboru opłat, bo całym sobą zastanawiałem się, jakim prezydentem może być facet, który ma dom obwieszony ikonami i rozmawia ze świętymi, tak jakby to byli żywi ludzie.

Chcę to powiedzieć spanikowanemu kasjerowi, ale mówię co innego:

– Głupia sprawa, zagapiłem się.

Okazuje się, że autostradowi inżynierowie przewidzieli takich mistrzów kierownicy jak ja i szlaban się nie złamał. Przy silnym uderzeniu składa się wpół. Na szczęście nie rozwalilem też auta.

– Tyle lat tu siedzę i jeszcze nikt mi w szlaban nie wjechał! Pan siedzi i czeka, bo do kierowniczkę muszę zadzwonić.

Siedzę i czekam.

– Jak nie ma szkody, trzeba uiścić opłatę i można jechać – słyszę po chwili.

* * *

Godzinę później gotuję się w skwarze na betonowym placu w Gogolinie. Kilkaset metrów stąd swój pomnik mają Karolinka i Karliczek, bohaterowie ludowej przyśpiewki, z której znane jest miasteczko.

Zapełnia się powoli, ludźmi ubranymi na żółto.

Tylko na wiecach Hołowni jest tyle własnoręcznie przygotowanych transparentów. Na kartonie ulubione cytaty z Szymona: „Zrobimy tę robotę”, „Pokolenie nie kadencja”, „Dość partyjniactwa”. Dzieci przyszły z rysunkami drzew, kampanijnym symbolem sztabu kandydata.

Młoda dziewczyna w koszulce z napisem „*This is what a feminist looks like*” przyjechała do Gogolina odwiedzić rodziców. Studiuje psychologię we Wrocławiu. W poprzednich wyborach głosowała na Lewicę, teraz namawia znajomych, żeby postawili krzyżyk przy nazwisku Hołowni. Wciąż wierzy, że to właśnie on, a nie Trzaskowski, dostanie się do drugiej tury.

– Szymon, bo tylko on może oddzielić Kościół od państwa – odpowiada, kiedy pytam, dlaczego Hołownia, a nie Biedroń.

Nie opowiadam jej o audiobooku ani o bliskim spotkaniu ze szlabanem, ale dopytuję, czy wyborczyni Lewicy nie obawia się gorliwego katolika w Pałacu Prezydenckim.

– Po pierwsze, to Szymon mówi, że w pałacach niech mieszkają księżniczki, a on jak zostanie prezydentem, to chciałby zostać w mieszkaniu z żoną, pierwszą obywatelką, nie pierwszą damą, córeczką i psami. – Dziewczyna cytuje niemal słowo w słowo to, co lider opowiada na każdym kampanijnym przystanku. – A co do rozdziału Kościoła od państwa, to właśnie zrobić może tylko katolik.

Szymon mówi wprost, że trzeba zlikwidować fundusz kościelny i zastąpić go odpisem podatkowym. W Polsce nie da się wygrać z Kościołem, walcząc z religią. „Kościół i władza na swoje miejsce”, to jedno z głównych haseł. A to, czy w domu ma ikony i rozmawia ze świętymi, to jego prywatna sprawa.

* * *

Wypytyuję o Hołownię wyborców i sztabowców na spotkaniach Biedronia, Dudy i Trzaskowskiego.

Lewica mówi o nim prześmiewczo: „pastor”, „fajny ksiądz”, „ojciec Szymon”. Nie jest w stanie znieść katolickich korzeni Hołowni i jego uników przy pytaniach dziennikarzy o aborcję i prawa osób LGBT.

Wyborcy Dudy nie wierzą, że jest niezależnym kandydatem.

– To jest ustawka Schetyny, Budki i Tuska. Zbiera wszystkich, co nie chcą głosować na PO, a później i tak odda głosy Trzaskowskiemu – słyszę w Opolu.

Gdziekolwiek rozmawiam ze zwolennikami pis-u, odpowiadają podobnie.

– Hołownia to jakby się z innego świata urwał. Jakby chciał wygrać wybory nie w Polsce, tylko w jakimś świecie, gdzie w kampanii ludzie przejmują się klimatem, smogiem i partycypacją. Żeby było jasne, to są ważne rzeczy i Trzaskowski też to ma w programie, ale wyborów tym się nie wygra – mówi z kolei chłopak ze sztabu KO w trasie przed drugą turą.

Hołownia nie jest pierwszym, który próbuje pokazać, że istnieje polityka poza konfliktem PO i pis-u. Gdyby partia Razem miała sztandar, wyhaftowałyby na nim zapewne swoje hasło: „Inna polityka jest możliwa”. Może to jednak dobrze, że nie ma, bo po starcie z list SLD musiałaby haft wypruć. Paweł Kukiz po jednej kadencji wyleciał z Sejmu i rozpląnął się na

listach PSL-u. Z Nowoczesnej Ryszarda Petru ostała się śladowa liczba posłów.

We Wrocławiu na placu Wolności czeka na Hołownię kilkaset osób. Żółte baloniki, żółte transparenty, nawet jakiś facet w żółtych okularach. Zagaduję do małżeństwa w średnim wieku, które specjalnie na spotkanie z Szymonem kupiło psu żółtą smycz.

– Całe życie głosowaliśmy na Platformę, ale zawsze tak jakby z konieczności – mówi mężczyzna.

– Jak na to mniejsze zło – dodaje jego żona.

Wyborcą Platformy był też Hołownia. Podkreśla to co najmniej tak samo często jak to, że napisał dwadzieścia dwie książki i założył kilka fundacji.

– Żeby pan zrozumiał, my też jesteśmy tym anty-pis-em, jak to mówią. Nie znoszę Kaczyńskiego. Przez to 500+ będziemy mieli zaraz całe pokolenie leniwych ludzi, którzy wolą siedzieć przy trzepaku, niż pracować. – Znowu mąż.

– Tylko samym anty-pis-em się nie wygra. Widział pan pewnie sondaże. Hołownia jest jedynym kandydatem opozycji, który wygrywa z Dudą w drugiej turze.

Pytam, czy nie obawiają się, że Hołownia podzieli los innych polityków, którzy polegli w starciu z duopolem PO–pis.

– To jest projekt na pokolenie, nie na kadencję – odpowiadają małżonkowie sloganem.

Na schodkach przed nami Hołownia właśnie włącza *live* na Facebooku. Pokazuje tłumowi falę serduszek, która zalewa jego ekran. Po kilkunastu minutach relację ogląda w sieci ponad dziesięć tysięcy osób.

Ktoś lepszy niż ja

Z końskiego łba u stóp Neptuna sika zimna woda, spada i leci przez rzygacze w kształcie lwów.

Słońce nie jest już wysoko, ale pod Dworem Artusa w Gdańsku wciąż całkiem gorąco. Zazdroszczę tym, którzy dopchali się do fontanny i ochlapują się teraz chłodną wodą. Ja stoję daleko i od Neptuna, i od podwyższenia z mikrofonem. Widzę tylko wielkie litery z kartonu, układające się w nazwisko.

Trzaskowski.

Dokładnie rok wcześniej, kilkaset metrów stąd, prezydent Warszawy stał na scenie za Donaldem Tuskiem. Robił za samorządowe tło dla wiecowego przemówienia szefa Rady Europejskiej. Teraz to on jest głównym bohaterem i kandydatem obozu Tuska na prezydenta RP.

Z rana zgłosił w warszawskiej siedzibie Państwowej Komisji Wyborczej chęć startu w wyborach – od tej chwili ma dokładnie pięć dni na zebranie co najmniej stu tysięcy podpisów na listach poparcia. Zanim dotarł do PKW, przemaszerował ze swoją ekipą półtora kilometra ulicami stolicy, spod Metra Politechnika. Samuel Pereira, szef portalu TVP Info, skakał wokół tego pochodu i próbował zadawać pytania, ale sztabowcy byli czujni. Przypomnieli sobie o zasadzie zachowania dwóch metrów dystansu i nie dopuszczali Pereiry blisko szefa. Ten nie dawał za wygraną, więc na ostatniej prostej pod Sejmem Cezary Tomczyk złapał za szczekaczkę i postanowił z odległości kilkudziesięciu centymetrów przypomnieć pracownikowi TVP o obostrzeniach sanitarnych. Efekt? Przez kilka najbliższych tygodni Tomczyk będzie w publicznej telewizji posłem, który próbował ogłuszyć wolne media.

Nigdy wcześniej i – jak się ma okazać – nigdy później w czasie kampanii Trzaskowskiemu nie uda się wyzwolić w tłumie takich emocji. Będzie mówić na każdym przystanku o „niesamowitej energii”, ale jeśli była ona gdziekolwiek, to właśnie tu, na gdańskim Starym Mieście. Ludzie na zmianę wzruszają się i cieszą, płaczą i krzyczą z radości. „Ra-fał! Ra-fał! Ra-fał!”

– Zbieramy podpisy pod kandydaturą pana Rafała Trzaskowskiego, podpisze się pani? – pyta młoda dziewczyna kobietę z rowerem, która na wiec włożyła koszulkę z przesłaniem: „Nie kłamstwom, które nam wciskają”.

– Dziękuję, kochana, ale ja już podpisałam. Powodzenia, damy radę! – odpowiada starsza pani z uśmiechem. Formularz z wykazem podpisów pobrała ze strony „Gazety Wyborczej”. Następnego dnia będzie dostępny drukiem, z piątkowym wydaniem.

– A jak pani myśli? To dobrze, że gazeta tak otwarcie wspiera jednego kandydata? – pytam.

– Myślę, że tak. Gdyby o każdym kandydacie pisali podobnie, byłoby to odebrane jako brak zdecydowania. A gazeta powinna być zdecydowana, wyznaczać kierunek czytelnikom – odpowiada.

Mira jest już na emeryturze i ma czas śledzić życie polityczne bardzo dokładnie. Gdańszczanka z urodzenia i z miłości do miasta, podkreśla. Poranek zaczyna z radiem Tok FM. Najbardziej lubi piątki, bo wtedy Jacek Żakowski zaprasza do studia swoją trzódkę: Lisa, Wołka i Władkę.

– Chociaż nie, tak najbardziej z całego tygodnia to uwielbiam słuchać gości Daniela Passenta. Och, co za mądre głowy on podejmuje w swoim studiu! Niedziela, dziesiąta rano zawsze radio musi być włączone – mówi.

Trójki też słuchała, przez lata, ale od objęcia władzy przez PiS to już podobno nie to samo. W telewizji *Łoża prasowa* i *Szkło kontaktowe*, a do czytania, rzecz jasna, „Wyborcza”.

– Podoba się pani ten Trzaskowski? Jako kandydat na prezydenta? – Nie odpuszczam.

– Oj tak! Cieszę się, że Platforma zdecydowała się zmienić kandydata, chociaż pani Kidawa też mi się podobała. Tylko że ona to jest osoba spokojna, zrównoważona, a teraz potrzebny jest ktoś waleczny. Taki, co nie boi się bić o Polskę. Potrafi zza węgła i na wprost. – Mira się uśmiecha.

Co sądzi o Dudzie?

– Powiem panu tak: ja nie chcę prezydenta, o którym można powiedzieć „swój chłop”. W telewizji widziałam, jak pan Duda coś kupuje w warzywniaku i po drugiej stronie ulicy wykrzykuje do niego jakiś podpity gość: „Anżej! Anżej!”. – Mira wciela się w żulika. – Prezydent się do niego uśmiecha i jeszcze mu macha. To jest zupełnie błędne myślenie. Prezydent to nie powinien być ktoś taki jak ja, kogo można sobie poklepać po plecach. Po plecach to ja mam kogo klepać. Znajomych, szwagra mogę

poklepać. Prezydent to ma być ktoś lepszy niż ja czy pan. I kimś takim jest właśnie Rafał Trzaskowski.

Normalni ludzie, mówili „dzień dobry”

Snuję się pod sceną ustawioną w parku w Stalowej Woli. Łapię cień, bo grzeje czerwcową żarówka. Gdziekolwiek spojrzę, dopada mnie *déjà vu*. Już kiedyś tu byłem. Dokładnie w tym samym miejscu, w tej samej sytuacji. Widziałem już te stoiska gospodyń, te skwierczące pierogi i te dzieciaki w kolejce do zdjęcia z żołnierskim karabinem. Widziałem tych rekonstruktorów przebranych za żołnierzy i dorosłych facetów przebranych za Myszke Miki i Psa Pluto. Nie muszę nawet patrzeć za siebie, bo wiem, gdzie stoi dziewczyna z watą cukrową, a gdzie facet od niechcenia nasypuje prażoną kukurydzę. Starsi państwo w kościółowych kreacjach grzecznie siedzą na ławkach przed mównicą i żeby się czymś zająć, sztorcują usadzone przed nimi dzieciaki. Mógłbym się o to założyć.

A może wcale nie? Tylko mój mózg właśnie się zbuntował?

Stało się. W końcu przedawkowałem te kampanijne cyrki. Na pewno istnieje jakiś limit politycznego pustosłowania, który może przyjąć człowiek bez uszczerbku na zdrowiu. Chyba właśnie go przekroczyłem. Albo gorzej, utknąłem w podkarpackim remake’u *Dnia świstaka*.

Na budziku, który wyrwał mnie ze snu, była równo szósta, dokładnie tak, jak u głównego bohatera filmu, zgorzkniałego pogodynka z Pensylwanii. I teraz już, tak jak on, będę musiał w nieskończoność budzić się o świcie i jechać kilka godzin na południe Polski w aucie bez klimy, żeby relacjonować kampanijny event Prawa i Sprawiedliwości...

Z koszmaru na jawie wyrывa mnie zapach przyprawy kebab/gyros.

– Panie redaktorze, pamięta nas pan? – pyta młoda gospodyni z koła w Kłyżowie. Wykłada właśnie na stoisku pierożki z farszem podpisane „kebab”, jeden zeta za sztukę.

Pamiętam. Widzieliśmy się w tym samym miejscu podczas kampanii parlamentarnej. Ale teraz ona pyta o Trzaskowskiego, chce wiedzieć, czy on naprawdę taki agresywny, jak się jej w telewizji wydaje.

Trzaskowski wtedy nie startował, oddycham z ulgą. Jeszcze nie oszalałem. To nie ja mam zwidy, tylko sztabowcy Dudy cierpią na potężny spadek kreatywności.

Do wyborów jeszcze kilkanaście dni. Dzisiejszy występ w Stalowej Woli ma być pierwszym dużym wydarzeniem z udziałem prezydenta po koronawirusowej przerwie w kampanii. Wielki restart w pisowskim mateczniku na Podkarpaciu. Na razie wygląda jednak na to, że wszystko, na co stać sztab, to odkurzenie już raz wykorzystanego scenariusza.

– Bo ja wiem, czy on agresywny? – odpowiadam. – Ludzie na jego wiecach mówią, że to Duda nic, tylko krzyczy. To chyba zależy, kto komu kibicuje.

Gospodyni aż wzdryga się na ten symetryzm. I zasypuje mnie argumentami, że Duda spokojny i wyważony, a Trzaskowski to furia i podobno wywyższa się znajomością języków. Ona też języki zna, ale nie będzie chwalić się tym każdemu, kto przychodzi po pierożka za zeta.

Biorę pięć.

O ile scenariusz na dzisiaj rozpisany jest tak samo jak w poprzedniej kampanii, o tyle sztabowcy prezydenta mają tym razem poważne problemy z obsadą, na scenie i pod nią. Pamiętam, że kilka miesięcy wcześniej tysiące ludzi z podniecenia aż ryczały, kiedy z mównicy grzmiał Jarosław Kaczyński. Snuł wizje apokalipsy polskiej rodziny, bronił słów hierarchów kościelnych o „tęczowej zarazie” i straszył, że jeśli nie wygra PiS, znarkotyzowani geje będą molestować przedszkolaki. Prezes nie mógł skończyć, bo rozgorączkowany tłum co chwila przerywał mu oklaskami. Pod sceną aż buzowało. Człowiek na człowieku.

A teraz? Pustki.

Powitać Andrzeja Dudę i Beatę Szydło przyszło może kilkaset osób. Najwyraźniej obawa przed zarazą okazuje się, jak na razie, silniejsza od prezydenckiego magnetyzmu.

Do kampanii nie włączył się jeszcze Mateusz Morawiecki. Dopiero za dwa tygodnie odwoła pandemię, z co najmniej takim samym zaangażowaniem, jak przedsiębiorcy wojujący z policją w Alejach Jerozolimskich. Premier – na tle gospodyń wiejskich i tabliczek z nazwiskiem Dudy, na szkolnych boiskach i na rynkach w małych miasteczkach – będzie poklepywać ludzi, którzy przychodzą na wiece bez maseczek, i zaganiać wszystkich do urn.

– Cieszę się, że coraz mniej obawiamy się tego wirusa, tej epidemii. To jest dobre podejście, bo on jest w odwrocie. Już teraz nie trzeba się go bać – powie w Tomaszowie Lubelskim zaraz po pierwszej turze.

Obrazki i cytaty z kampanii prezydenckiej, które na długo odcisną się w zbiorowej pamięci, też jeszcze nie zdążyły powstać. O najbrutalniejszej kampanii w historii, dehumanizacji, nagonce i starciu cywilizacji dziennikarze zaczną mówić dopiero za kilka dni. Na razie pod sceną w Stalowej Woli nic nie zapowiada bezlitosnej walki o wyborcze zwycięstwo.

Beata Szydło ma za zadanie rozgrzać publiczność przed występhem prezydenta. Nie daje rady. W swoich notatkach z tego dnia, oprócz cytatów, znajduję takie zdanie: „To było po prostu smutne”.

Pamiętam ją sprzed trzech lat, z obchodów rocznicy katastrofy smoleńskiej, krótko po zastąpieniu jej przez Mateusza Morawieckiego. Zmierzała po czerwonym dywanie rozwiniętym na placu Piłsudskiego w kierunku pomnika w kształcie schodów, który dopiero co został odsłonięty. Nie mogła opędzić się od wielbicieli przewieszonych przez barierki. Najbardziej zapadł mi w pamięć wielki wytatuowany chłop z wieńcem w ręku – facet rozplakał się na widok byłej premier, uwiesił się jej na szyi i błagał, żeby znów stanęła na czele rządu.

Wtedy była uwielbiana, teraz jest cieniem samej siebie. Z czasów popularności pozostały jej tylko wspomnienia i żółty żakiet, w którym właśnie występuje. W Stalowej Woli wspomina o swojej heroicznej walce ze słowem *gender* w unijnych dokumentach. Zapewnia wzruszona, że niemal zerwała unijny szczyt, żeby tylko postawić się tej „ideologii”. Ludzie odpowiadają: „Dziękujemy!”, ale więcej w tym grzeczności niż szczerzej ekscytacji.

Kiedy kilka miesięcy później przeglądam zdjęcia z tego wiecu, kandydat na prezydenta jest na nich dokładnie taki sam jak w całej kampanii: czarne dżinsy, biała koszula z podwiniętymi rękawami. W stylu *smart casual*. Z nagrań i notatek odtwarzam jednak postać, która nie ma wiele wspólnego z tym Andrzejem Dudą, który już niedługo będzie wygłaszać gniewne przemowy, walczyć z Niemcami, dziennikarzami i „ideologią LGBT”.

Garstkę ludzi w stalowowolskim parku próbuje uwieść opowieściami o „stabilizacji”, „polskich sprawach” i o tym, że widzi Polskę „ambitną i odważną”. Ale kilkadziesiąt minut słownej watoliny nie wzbudza silniejszych emocji. Gdzieś pomiędzy okrągłymi zdaniem Duda obiecuje, że nie pozwoli anulować programu 500+ i doprowadzi do końca przekop Mierzei Wiślanej oraz budowę Centralnego Portu Komunikacyjnego. To jednak za mało, żeby odpalić stalowowolskich wyborców.

Kiedy schodzi z mównicy, zgromadzeni wykrzykują jego nazwisko. Ale w okrzykach nie słychać zaangażowania, które byłoby w stanie zapewnić mu reelekcję.

* * *

Mijają kolejne dni, w trakcie których Andrzej Duda objeżdża kraj, reklamując się jako „prezydent polskich spraw”. Dwa tygodnie przed pierwszą turą jego sztab wpada wreszcie na pomysł, jak tchnąć życie w kampanijny przekaz i rozgrzać polityczną histerię do czerwoności.

Nie było lepszej scenografii niż dmuchany zamek w kolorach tęczy. Obok zamku budka z watą cukrową. Rodzice z dziećmi ustawieni na drewnianym podeście, przed nimi, przy mikrofonie, prezydent Rzeczypospolitej.

– Witam moich najmłodszych przyjaciół razem z rodzicami, czyli rodziny, które przyszły tutaj na spotkanie ze mną po to, żeby wraz ze mną towarzyszyć mi przy ogłoszeniu tego niezwykle ważnego dokumentu – mówi Duda. Na telebimie zostaje wyświetlona Karta Rodziny. – Polska rodzina jest bardzo mocno osadzona w naszej tradycji. Ja bardzo często mówię, to jest ta tradycja oparta na pniu wyrosłym przez 1050 lat chrześcijaństwa. To jest nasz kod kulturowy i to jest właśnie nasza tożsamość. Ta tożsamość, która pozwoliła nam, poprzez polskie rodziny, przetrwać najtrudniejsze okresy w dziejach. Wtedy, kiedy nam zabierano nasze państwo, Polskę niszczone, kiedy próbowano nas zmuszać, żebyśmy nie posługiwali się polskim językiem, żeby w rodzinach nie mówiono językiem polskim, wtedy właśnie polska rodzina te najważniejsze wartości potrafiła przechować – tokuje.

Kartę Rodziny, jak każdy inny kampanijny dokument PiS-u, rozpoczyna przypomnienie o 500+ i wyprawce dla dziecka. Ale tym razem jest też obietnica bonu wakacyjnego, kolejnych pięciuset złotych, które można będzie wykorzystać na opłacenie dziecku wyjazdu.

– Wreszcie, proszę państwa, ochrona dzieci bezpośrednio przed ideologią LGBT. Zakaz propagowania ideologii LGBT w instytucjach publicznych, prawo rodziców do decydowania, w jakim duchu chcą kształcić swoje dzieci. – Kandydat ponownie kieruje wzrok w stronę telebimu, rzucając równoważniki zdań.

Na tej konferencji nikt nie bije braw. Przed chwilą padał deszcz, więc na dmuchanym zamku nikt się nie bawi. Rodzice za prezydentem są

niepokojąco poważni. Dzieci trzymane przez nich na rękach przez wieczność, czyli od kilkudziesięciu minut, wyraźnie się nudzą. Rozprawiający o rodzinie w pojedynkę, bez żony i córki, Duda też nie robi najlepszego wrażenia.

Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że wydarzenie to kłapa. Ale kiedy oglądam te obrazki w telewizji, dociera do mnie, że właśnie na tych mokrych deskach, przed dziećmi bawiącymi się kolorowanymi, rozpoczął się nowy etap kampanii. Oto walka z „ideologią LGBT”, którą od miesiący toczą redaktorzy prawicowych tygodników i wydawcy telewizji publicznej przy wsparciu konserwatywnego skrzydła PiS, właśnie zyskała prezydencki patronat.

Stawką wyborów nie są już jakieś mgliste „polskie sprawy”. Od teraz bój z Rafałem Trzaskowskim toczy się o przetrwanie polskiej rodziny i bezpieczeństwo dzieci.

* * *

– Czy jesteś za tym LGBT, czy przeciw? – zapytał mnie ponad rok wcześniej facet na widowni *Studia Polska*. Teraz to pytanie do mnie wróciło, tyle że już nie z ust kogoś, kto spędza sobotnie wieczory na darciu mordy przed kamerami, ale z ust polskiego prezydenta.

A to zmienia wszystko.

Przed wyborami parlamentarnymi Jarosław Kaczyński straszył swoich wyborców gejami, seksualizacją dzieci i eutanazją, ale dopiero kiedy o „ideologię LGBT” zaczął mówić na wiecach prezydent, zrobiło się niebezpiecznie.

Oczywiście to nie sztab Dudy wymyślił homofobię. Tym bardziej nikomu nie musiał jej wciskać siłą. Upředzenia wobec osób LGBT i związane z tym lęki nie są w naszym kraju niczym nowym, w przeciwieństwie do lęków, które wzbudzała stosunkowo świeża „ideologia gender” kilka sezonów politycznych wcześniej. Czy nawet niechęć do uchodźców, którymi na chwilę przed wyborami w 2015 roku także straszył prezes.

Politycy prawicy będą upierać się do samego końca kampanii, a nawet dłużej, że ich „sprzeciw wobec ideologii LGBT” nie ma z upředzeniami wobec gejów i lesbijek nic wspólnego. Nawet prezydent będzie się bronił, mówiąc, że miał kiedyś sąsiadów gejów i nic do nich nie miał.

– To byli bardzo mili, normalni mężczyźni, sympatyczni, kulturalni, mówili „dzień dobry”, zachowywali się grzecznie. W żaden sposób się nie zachowywali prowokacyjnie. Normalni ludzie – powie Duda w noc głosowania, czekając na ostateczny wynik.

Słyszałem już kiedyś coś bardzo podobnego. Nie od prezydenta ani od premiera, ale od bezimiennego wyborcy pis-u, od którego oddzielało mnie lustro weneckie. Był 2018 rok, na okładce tygodnika „Sieci” Beata Szydło właśnie ogłaszała, że „polityka nie jest dla grzecznych dziewczynek”, a za kilka tygodni miał rozpocząć się proces Mateusza Kijowskiego. Opozycja powoli przestawała wierzyć, że ulicznymi demonstracjami cokolwiek osiągnie. A co bardziej bystrzy przeciwnicy rządu pojęli, że muszą przynajmniej postarać się zrozumieć zwolenników Prawa i Sprawiedliwości.

Znajomy napisał do mnie, że może wkręcić mnie na badanie fokusowe „osób o skłonnościach autorytarnych”. Nie musiał namawiać. Po jednej stronie szyby zbieranina antypisowskich działaczy, kawka i ciastka. Po drugiej – mężczyźni „o skłonnościach autorytarnych”, dobrani na podstawie ankiet, w których mieli owe skłonności ujawnić. *De facto* dziesiątka facetów w średnim wieku, o średnich zarobkach i średnim guście. Większość głosowała na pis, kilku na Kukiza. Też mieli kawę i ciastka.

Prowadzący badanie, gdy już udało mu się przełamać lody, wyciągnął kartkę z pytaniami o stosunek do praw osób homoseksualnych.

– Czy uważają panowie, że osoby tej samej płci powinny mieć możliwość zawarcia związku partnerskiego? – zapytał.

– Ja mam takiego kolegę i on całkiem normalny jest – powiedział gość, który chwilę wcześniej z pamięci cytował żarty Piotra Semki i Bronisława Wildsteina. – Więc dlaczego oni nie mogliby sobie dziedziczyć czy do szpitala chodzić do siebie? Zresztą to prywatna sprawa, kto kogo tam wierci, czy od przodu, czy od tyłu! – zarechotał głośno, rozbawiając resztę niewybrednym żartem. A gdy wszyscy się wyśmiali, dodał zdecydowanie: – Tylko adopcji nie! I żeby się nie afiszowali za bardzo!

Cała dziesiątka mówiła w tej sprawie jednym głosem.

Po „naszej” stronie lustra powiało optymizmem. Jedna z podglądających pracownic prodemokratycznego NGO-su pozwoliła się ponieść fantazji i oczami wyobraźni zobaczyła, jak w ramach marszu po centrowe głosy Kaczyński wprowadza związki partnerskie.

Ale trzy lata później, kiedy Andrzej Duda prezentuje Kartę Rodziny, ustawy o związkach partnerskich jak nie było, tak nie ma. Telewizja publiczna produkuje za to reportaż *Inwazja* o działaczach LGBT, Rafał Ziemkiewicz na okładce „Do Rzeczy” gryzie tęczęwą flagę i straszy „homoterrorem”, a zagraniczni dziennikarze przyjeżdżają na reportaże do gmin, które ogłosiły się w uchwałach wolnymi od ideologii LGBT.

Kiedy Andrzej Duda wyrusza na front wojny z „ideologią LGBT”, podział na normalnych homoseksualistów, co to się nie obnoszą ze swoją orientacją i siedzą w domach (a najlepiej w szafach), i drapieżnych gejowskich ideologów jest już świetnie ugruntowany. W taki łączony obraz gejów, lesbijek, osób biseksualnych i trans zgodnie wierzyli zwolennicy prezydenta. Ale czy tylko oni? Co z jego przeciwnikami?

Ostateczną odpowiedź przyniosły najbliższe tygodnie. Można jednak było przewidzieć ją wcześniej. Wystarczyło zajrzeć do badań i przekonać się, jak Polacy odpowiadali na pytanie o prawo osób homoseksualnych do adopcji dzieci. Mniej więcej dziewięciu na dziesięciu nie uważało jej za dobry pomysł.

To na tak nakreślonej planszy Duda przestaje usypiać ludzi na wiecach przekopem Mierzei Wiślanej. Ma wreszcie jasno określony cel: przekonać, że zadba o dobro polskich dzieci lepiej niż bujający się na paradzie równości Rafał Trzaskowski.

Wychować syna w Polsce, po polsku, na Polaka

Na placu pod opolskim amfiteatrem temperatura odczuwalna sięga stu stopni. Wśród ludzi wrze. Jeszcze przed godziną po widowni oprowadzał Trzaskowskiego prezydent miasta, za chwilę zaparkuje tutaj Dudabus.

Chłopak o skrzekliwym wysokim głosie robi przy mikrofonie krzywdę piosenkom Marka Grechuty. Dramatycznie przegrywa bój o uwagę zebranych z antypisowską demonstracją.

Ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy.

Ważnych jest kilka tych chwil, tych, na które czekamy.

Ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy.

Ważnych jest kilka tych chwil, tych, na które czekamy.

– Idźcie sobie do tego swojego Trzaskowskiego, niech wam dzieci pedali w Warszawie! No już, poszli won! – wydziera się łysy kark na rodzinę z tęczowymi przypinkami.

– Sama wasza obecność obraża pana prezydenta! Proszę w tej chwili opuścić nasze zgromadzenie! – piekli się starszy pan w stroju kibica reprezentacji Polski.

– Co pan robi? Proszę się nie wdawać z nimi w dyskusję. Oni właśnie po to przyszli, żeby was prowokować – interweniuje Wilamowski, szef biura prasowego PiS-u. Chuderlawy, ze spodniami podciągniętymi komicznie pod pachy nie ma posłuchu u opolskich karków. – Niech pan idzie tam, gdzie prezydent będzie. Chce pan tutaj się wyklócać i zostać gwiazdą TVN-u? Przecież po to tu są, żeby pana nagrać i puszczać później w kółko w *Faktach* jako szurniętego pisowca – próbuje innych argumentów, tym razem skuteczniej.

Seniorzy wracają pod scenę.

Ktoś wpada na pomysł, żeby nad buzującym tłumem zapanować muzyką. W końcu jesteśmy w Opolu. Śpiewak od Grechuty zawodzi teraz *Wlazł kotek na płotek*, bo to wszyscy znają.

Wlazł kotek na płotek i mruga,

piękna to piosneczka, niedługa.
Wlazł kurek na murek i pieje,
niech się nikt z tych piosnek nie śmieje.

Muzyka łagodzi obyczaje tylko na kilku metrach od sceny. Przepychanki i wyzwiska są nie do opanowania.

– Skąd pan to ma? Proszę to natychmiast oddać! Albo nie, niech pan to do śmietnika wyrzuci! – Interweniuje ponownie facet z biura prasowego pis-u. Trzyma odebrane ludziom pomięte czarno-białe ulotki. Po chwili lokalizuje starszego pana w berecie, który je rozdaje. – Co to jest? Skąd pan to ma? – krzyczy. – Czy to jest materiał wyborczy? Nie jest! Czy pan wie, że rozdając nieoznaczone materiały wyborcze, łamie pan prawo? Proszę to wszystko wyrzucić do śmieci albo zawiadomiej policję! – Wpada w taki szal, że maseczka, którą miał na twarzy, teraz dynda mu tylko na jednym uchu.

Starszy pan nawet nie próbuje dyskutować. Grzecznie wrzuca cały pakiet do śmietnika.

Podnoszę jedną ulotkę, która upadła na chodnik. Nagłówek: „Tajny plan Trzaskowskiego”, poniżej dwadzieścia punktów. „Wprowadzenie obowiązkowej seksedukacji dla dzieci w szkołach na terenie całej Polski”, „Adopcja dzieci przez sodomitów”, „W ramach promowania tzw. tolerancji otwieranie klubów i teatrów LGBT w każdym powiatowym mieście”, „Dziecko z *in vitro* dla każdej chętnej lesbijki” to tylko niektóre.

Trzy dni wcześniej prezydent występował na tle dmuchanego zamku. Teraz wjeżdża do Opola Dudabusem. Zespół muzyczny zaczyna śpiewać:

Bravo, bravo, bravo, bravissimo!
Bravo, bravo, bravo, bravissimo!

– Poprzez kartę ochrony rodziny chcę pielegnować rodzinę. I chcę, żeby ta szczególna opieka była realizowana ze strony państwa – mówi Duda do tłumu. – Nie chcę, by kiedykolwiek wrócił do nas czas, kiedy jakakolwiek ideologia niszczy dzieci moralnie, seksualizuje małe dzieci.

Tłum jest już inny niż na poprzednich spotkaniach. Zaangażowany, głośny, zmobilizowany.

* * *

Na szklanych drzwiach wejściowych baru w Rykach wisi kartka. Nieczynne do odwołania. Dostrzegam udających się w kierunku dworca Pekaesu szefa baru z małżonką, którzy nakarmili mnie ostatnio „jakby jarzynową”.

– To gdzie ja teraz zjem, jak u was zamknięte? – pytam. – Kartkę widziałem.

– Panie redaktorze, niestety, już chyba nie u nas. Raczej nie otwieramy. Koronawirus nas wykończył – słyszę.

Bar hulał jako tako, bo w tygodniu jadali w nim studenci, a w weekendy bawiły się rodziny na ogrodowych imprezach: ślubach, chrztach, komuniach.

Na dworcu, przy stoisku z plakatami i przypinkami, stoi potężny facet z gęstym siwym wąsem. „Duda 2020” opina mu się na okrągłym brzuchu, „Duda 2020” na plecach, na przypince na piersi. Na czapce, jeszcze z poprzedniej kampanii, też Duda. Smycz z telefonem na szyi w barwach klubowych, niebieska, z orzełkiem i napisem „Prawo i Sprawiedliwość”.

– Pani kochana, nie mam już maseczek, skończyły się. Koszulką się pani zasłoni. – Pokazuje pusty kartonik. Pod kartonikiem przygotowany list. Pan Jarosław chce go wręczyć prezydentowi po spotkaniu.

„Sz. P. Prezydencie, przedstawiamy naszą trudną sytuację, spowodowaną ASF (afrykańskim pomorem świń). Nasze ognisko ASF było trzecie w gminie, drugie we wsi. [...] Pomimo upływu 10 miesięcy od wybicia stada nie otrzymałem żadnego odszkodowania. [...] Pragnę również dodać, że do tej pory nie prosiłem o pomoc z publicznych funduszy, ale własną ciężką pracą próbowałem zarobić na wychowanie czwórki dzieci. Moje dwie córki studiują w Warszawie i potrzebują dużej ilości pieniędzy na podstawowe opłaty” – napisał w liście przeznaczonym do rąk własnych.

– Suszowego nie dostałem. Za świnię wybite nic nie wypłacili. U posła byłem, na ministerstwo rolnictwa pisałem. Spławiają mnie wszyscy – żali mi się. Mówi, że jak dostał odmowną odpowiedź z ministerstwa, poczuł się tak, jakby ktoś napluł mu w twarz.

– Dlaczego w takim razie dalej głośnie pan na PiS? – pytam.

– A na kogo? Na tego skurwysyna Tuska i jego pomagierów? – denerwuje się. – Pan Duda mnie uratował przed dłuższym wiekiem emerytalnym. Gdyby nie on, siedziałbym teraz dalej za kółkiem autosana.

Nigdy w życiu nie zagłosuję na nikogo, kto przyłożył rękę do majstrowania przy emeryturze! – Pan Jarosław upuszcza w odpowiedzi na moje pytanie całą złość na afrykański pomór świń, wybite stado, niewypłacone suszowe i kręgosłup zrujnowany za kółkiem.

Prezydent Duda znów mówi o wielkich inwestycjach, godności, wolności i tradycji. Schodzi ze sceny, ustawia się do zdjęć. Pan Jarosław przeciska się do niego ze swoim listem.

Dudabusem przyjechał także poseł Jan Kanthak, jeden z trzech młodych frontmanów Zjednoczonej Prawicy. Dziennikarze sejmowi nazywają ich Trio Kakao, od nazwisk: Kanthak, Kaleta, Ozdoba. Niespełna trzydziestoletni, ambitni. Dobrej zmianie zawdzięczają życiowy awans.

– Prywatne stacje nie są sobie równe, nie ma co ich do jednego wora wrzucać – tłumaczy Kanthak grupce emerytów. – Pan Solorz z Polsatu jest na przykład grzeczny całkiem, nie to, co TVN. Powiem państwu, że oni nakładają na nas, polityków, tak zwanego bana, czyli taki zakaz zapraszania do programów, jeśli tylko powiemy coś krytycznego publicznie o ich stacji – mówi, a emeryci słuchają. – Uważajcie państwo tylko na prowokatorów. Wszędzie ich pełno. W Lublinie przed chwilą tacy LGBT z flagą tęczową przyszli i chcieli zakłócać. Wbiegali w tłum, proszę uważać.

Kiedy poseł przestrzega ludzi przed prowokacjami, mijają nas facet z dzieckiem i kartonowym transparentem: „Nie dla długopisu”. Trzyma karton wysoko. Chwilę później dostaje pięścią w nos i pada na ziemię. Z Ryk wyjeżdża karetką, prosto do szpitala.

* * *

Przy wejściu do biura przepustek Kancelarii Prezydenta gęsto od kamer, wpiętych w statywy i wycelowanych w drewniane drzwi.

Na chwilę uwagę dziennikarzy odwraca pochód w czerwonych pelerynach. To ksiądz Piotr Natanek, znany ze swoich kazań, w których tropi satanizm pokemonów i żelu do włosów, prowadzi kilkusetosobowy marsz Krakowskim Przedmieściem. Z głośników słychać modlitwę po łacinie.

Kiedy pochód przystaje przed lwami u bram Pałacu Prezydenckiego, ksiądz wzywa rządzących do intronizacji Jezusa Chrystusa na Króla Polski. W środku trwa spotkanie Barta Staszewskiego, organizatora lubelskiego

Marszu Równości, z Andrzejem Dudą. To między innymi jego Kanthak nazywał prowokatorem.

Staszewski dopchał się do prezydenta na wiecu w Lublinie. Poprosił o spotkanie, żeby – jak mówi – skonfrontować go z tym, do czego prowadzi szczucie na osoby LGBT. Kancelaria się zgodziła, bo w końcu prezydent rozmawia z Polakami.

Na ścianie portret Lecha Kaczyńskiego, na stole połączana zastawa i ciasteczka. Aktywista podaje rękę prezydentowi na przywitanie. Siadają przy stole.

– Zsunąłem zastawę, żeby zrobić miejsce na zdjęcia ofiar homofobii: Milo Mazurkiewicz, Dominika z Bieżunia i Kacpra – powie Staszewski po wyjściu z pałacu. Oprócz zdjęć zabrał na spotkanie książkę *Różowe trójkąty* o zbrodniach nazistów na osobach homoseksualnych.

– Czy prezydent przeprosił za słowa o ideologii LGBT? – pytają dziennikarze.

– Nie przeprosił. Mam nadzieję, że przyśnią mu się te wszystkie dzieci, które zginęły przez homofobię polskich polityków.

Jeszcze tego samego dnia Dudabus wjeżdża na rynek w Serocku.

– Muszę, no po prostu muszę, podejść do prezydenta. Muszę mu coś powiedzieć – gorączkuje się mężczyzna w okolicach czterdziestki. Koszula z krótkimi rękawami w jasnofioletową kratkę, w jednym ręku ulotka Dudy, na drugim kilkuletni synek. – Chcę mu powiedzieć, że razem z młodym głosowaliśmy na niego w Anglii pięć lat temu, a teraz aż mi się płakać chce ze szczęścia, bo zagłosujemy na niego u nas w domu, w Serocku – dodaje szczerze przejęty.

Emigranckie historie zawsze mnie ruszają, więc oferuję pomoc. Przeciskam się pod sopowców z aparatem, a później wycofuję, żeby gość mógł wejść na moje miejsce.

– Panie prezydencie, dziękuję! Dzięki panu wróciliśmy – mówi podekscytowany.

Duda wsiada do autobusu, a nad naszymi głowami obrywa się chmura. Biegnę z mężczyzną i jego synem pod daszek pocztu na serockim Rynku.

Łukasz i Kasia wyjechali do Londynu osiemnaście lat wcześniej, zaraz po otwarciu granic dla polskich pracowników. Na początku nie było im łatwo: zmywak, dostawy, sprzątanie. Po pracy do wynajmowanego pokoju, a w niedzielę na mszę do polskiego kościoła. Nie opuścili żadnego nabożeństwa. Kościół dawał im poczucie bezpieczeństwa, kojarzył się

z domem. Kiedy już się dorobili, a praca w agencjach nieruchomości pozwoliła na odłożenie pieniędzy, nie zapomnieli o kościele. Jeździli po polskich parafiach na spotkania ewangelizacyjne.

Przed siedmiu laty urodził im się syn. Jako dwulatek wrzucił do urny w Islington kartę do głosowania z krzyżykiem przy nazwisku Andrzej Sebastian Duda.

– To dlaczego właściwie państwo wrócili? – pytam. – Radziliście tam sobie państwo całkiem nieźle.

– Ze względu na młodego. Chcieliśmy go wychować w Polsce, po polsku, na Polaka – mówi Łukasz i z miłością poklepuje syna po głowie.

– Był w takim wieku, że zaczynała się szkoła. A co się wyprawia w angielskiej szkole, to się wam w Polsce nawet nie śni – dodaje Kasia.

– Co takiego?

– Przychodzą ci tak zwani edukatorzy seksualni i uczą dzieci masturbacji. Takim małym dzieciaczkom pokazują, jak się dotykać – odpowiada zaaferowana. Moja mina świadczy chyba, że nie do końca w to wierzę. – Naprawdę, to nie są żarty. Koleżanka mi mówiła, że w jej szkole to nawet zorganizowali taki kącik w klasie. I namawiali dzieci, że jak się zestresują, to mogą tam pójść w ten kącik i wie pan, co sobie zrobić.

* * *

Tydzień przed pierwszą turą mam nieodparte wrażenie, że wybory nie dotyczą najwyższego urzędu w państwie, tylko stosunku do homoseksualizmu. Nie ma znaczenia, czy Dudabus zatrzymuje się na północy czy na południu, czy w dużym mieście, czy w małym. Każda rozmowa ze zwolennikami prezydenta musi zawędrować w rejony „ideologii LGBT”, „grzechu sodomskiego” i adopcji dzieci przez pary homoseksualne. Każdy, kto na wiecu nie wygląda wystarczająco heteroseksualnie, jest podejrzany.

– Ciekawe, czy przyjdą te, wiesz, kolorowo ubrane – słyszę w Grajewie pod urzędem miasta, zaraz obok plakatu Biedronia zamazanego słowem „pedał” i Trzaskowskiego ozdobionego swastyką i napisem „komuch”.

Nie inaczej jest w Białymstoku. Prezydent mówi na scenie o rodzinie, świadczeniach społecznych, szacunku. Kilkadziesiąt metrów przed nim w najlepsze trwa napierdalanka.

– Zabierz te szmatę! Tu jest Polska! – krzyczy starsza kobieta do zestresowanej dziewczyny z tęcza flagą.

Siwy facet z krzyżykiem na piersi zasłania karton z hasłem: „Za miłość naszą i waszą”. Tuż obok jego kolega próbuje sięgnąć kijem dziewczyn, które przyszły na wiec z wymalowanym pytaniem: „A co z klimatem?”. Nie trafia w nie, tylko we mnie. Zbieram kijem w aparat, a później w ryj.

Dorośle, siwe chłopcy dokładają dzieciakom w najlepsze. Podgolony po bokach i z tyłu głowy facet podbiega do nastolatek i wyzywa je od kurew. Nie reagują, więc językiem i pięścią symuluje robienie laski. Nie dają się sprowokować; wyciągają ręce i próbują utrzymać swój karton powyżej polskich flag, którymi zasłaniają ich zwolennicy prezydenta. Bluzgi, wyzwiska, plucie. W końcu łapska jednego gościa lądują na białym topie dziewczyny.

– To był starszy facet, niczym się nie wyróżniał, mógłby być spokojnie moim dziadkiem. Podchodził do nas coraz bliżej. Najpierw powiedział mi, że skoro tak się ubrałam, to już w ogóle mogłam naga przyjść – opowiada Gabrysia. Na proteście była z przyjaciółką. Dwie siedemnastolatki. – Zignorowałam to. Mam prawo nosić taką koszulkę, jaka mi się podoba. Po chwili podbiegł i pociągnął. Wszyscy zobaczyli moje nagie piersi – relacjonuje.

Dziewczyny zgłosiły napaść policjantom, których na miejscu nie brakowało. Wskazały napastnika, policja od razu go zatrzymała i przewiozła na przesłuchanie. Kiedy Andrzej Duda schodził ze sceny i ściszał się z ludźmi, one siedziały na komisariacie i składały zeznania.

Następnego dnia policja potwierdza, że przesłuchiwała w tej sprawie siedemdziesięcioletniego mężczyznę. Trzy miesiące później dowiaduję się w białostockiej prokuraturze, że postawiono mu zarzut naruszenia nietykalności cielesnej zagrożony karą do roku więzienia. Kiedy oddaję tę książkę do druku, terminu pierwszej rozprawy jeszcze nie wyznaczono.

Siedemdziesięciolatek to niejedyny wyborca Dudy, który tego czerwcowego popołudnia jest bardziej zainteresowany protestującym dzieciakami niż tym, co ma do powiedzenia jego kandydat. Łąduje w radiowozie, ale to nie koniec zabawy pod sceną.

Pani w skórzanych sandałkach, spódnicy za kolano i kwiecistej koszulce prosi męża, żeby ten ustawił się do zdjęcia. Łysiejący gość w polówce zapiętej pod szyję wyciąga rękę z kartonikiem „Duda 2020” i zasłania chłopaka z transparentem „Jestem człowiekiem”. Mąż już zadowolony. Teraz karton z nazwiskiem prezydenta dostaje od mamy synek.

– Dlaczego właściwie państwo zasłaniają te dzieciaki? – pytam.

- Jak to: dlaczego? Przecież to są ohydne hasła – mówi kobieta.
- Tam jest napisane: „Jestem człowiekiem”. Co w tym ohydneho? –
dociekam.
- Ohydne, bo tęczowe.

Oddaj mnie pan moją tutkę!

Wyglądają jak bracia: obaj łysi u góry, z milimetrowym siwym językiem po bokach i z tyłu. Czarne okulary na pół twarzy. Koszuliny rozpięte na trzy guziki, tak że krzyżyk zawieszony na łańcuchu osiada spokojnie we włosach na kłacie. U jednego i u drugiego. Są z Augustowa i przyszli na rynek zaprotestować przeciwko wizycie Rafała Trzaskowskiego.

– Kłamca! Kłamca! Kłamca! – krzyczą na zmianę.

Wyższy nadaje rytm, ściskając rowerowy klakson. Powietrze z gumowego uchwytu leci przez trzy plastikowe rurki i zagłusza na chwilę słowa kandydata, który produkuje się właśnie na scenie.

Jeb!

Nagle gość traci plastikową trąbkę i zostaje z samą gumową końcówką w ręku. W szoku. Ściska ją nadal, ale ta już nie wydaje dźwięku. Kawałek gumy jest jak gnieciona piłeczka antystresowa.

– Panie! Co pan, kurwa? Oddaj mnie pan moją tutkę! – Facet ocknął się i wykrzykuje.

– Pan jesteś poseł? Cham, nie poseł! – wtóruje mu niższy.

Tutkę wyrwał przed chwilą poseł Sławomir Nitras, głównodowodzący kampanią Trzaskowskiego w terenie. Podleciał migiem, złapał za plastik, pociągnął, a połamane resztki oddał szybko komuś w tłumie. Akcja z zaskoczenia, protest spacyfikowany.

To nie pierwszy raz, kiedy poseł ze Szczecina wyrywa się do uspokajania potencjalnych rozbójników. W zasadzie na każdym wiecu chodzi między ludźmi i nagrywa przeciwników szefa komórką. Dyskutuje z nimi, przeprowadza wywiady; raz próbował ich nawet przegadać, opowiadając o swoich wygodnych butach za sześć stów. Bohaterem *Wiadomości* zostanie po szarpaninie z posłami Zjednoczonej Prawicy na terenie warszawskiej oczyszczalni ścieków.

Skład sztabu Trzaskowskiego nie został nigdy oficjalnie podany do publicznej wiadomości. Platforma dobrze zdawała sobie sprawę z tego, że im mniej skojarzeń z partią, tym lepiej. Trzaskowski miał być nowym brandem, zdystansowanym od Schetyny, Budki i Tuska – w kontraście do Andrzeja Dudy, któremu opozycja zarzuca brak niezależności i służalczość

wobec prezesa PiS-u. Ale ogólnopolskiej kampanii nie robi się w pojedynkę.

Oprócz Nitrasa z Trzaskowskim jeździ w niedużym srebrnym busie tylko najbardziej zaufana ekipa. Agnieszka Pomaska, posłanka PO z Gdańska, Łukasz Pawłowski, odpowiedzialny za kontakt z mediami, a w praktyce za odmawianie dziennikarzom wywiadów jeden na jeden, sprawdzony przez Platformę jeszcze za czasów Tusko-busa w 2011 roku. Przed nimi na wiece, innym busiem, przyjeżdża zawsze Michał Marcinkiewicz, postać chyba najciekawsza. Postawny, opalony, przystojny. Dziennikarze TVP złośliwie wołają na niego „model”. Energii ma jak młodociany wolontariusz, ale polityczne CV bogatsze od niejednego ministra.

Radnym w Szczecinie został jako dwudziestodwulatek, w 2006 roku. Po roku przeskoczył do ław sejmowych. Zawsze w Platformie. Na początku blisko Sławomira Nitrasa, później u boku Radka Sikorskiego. W następnej kadencji lokalny aktyw wykoługuje go z listy, ale dzięki wstawiennictwu Sikorskiego, ówczesnego szefa MSZ, wylądowuje na placówce dyplomatycznej jako konsul RP w Helsinkach. Po powrocie do kraju dyrekturuje w gabinecie marszałka Sejmu, najpierw Radka Sikorskiego, później Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Kiedy ta zostaje kandydatką KO na premiera, a później na prezydenta, Marcinkiewicz rozkręca jej kampanię. Po rezygnacji Kidawy angażuje go nowa ekipa.

Z biura w Warszawie kampanię koordynuje poseł Cezary Tomczyk, doradzać mają mu Sławomir Nowak i Igor Ostachowicz, obydwaj byli ministrowie w rządzie Donalda Tuska. Od lat na obrzeżach sceny politycznej, dużo lepiej czują się w cieniu. Tydzień po wyborach Nowaka wyciągną z cienia funkcjonariusze CBA. Zostanie oskarżony o kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą w Polsce i na Ukrainie.

Żaden z podejmujących w sztabie jakiegokolwiek istotne decyzje nie reprezentuje pokolenia ojców założycieli Platformy. Z każdymi przegranymi wyborami jej działacze w okolicy czterdziestki wydrapywali sobie coraz wyższe partyjne pozycje. Kampania Trzaskowskiego to ich polityczny egzamin.

* * *

Dołączam do ekipy srebrnego busa w Kadłubie, wsi na Opolszczyźnie. Przed trzema laty mieszkańcy wywalczyli dla swojej miejscowości tytuł

„najpiękniejszej wsi dwudziestolecia”. Dom Strażaka, pod którym czekamy na przyjazd kandydata, rzeczywiście odpicowany bez zarzutu. Obok nowiutkie boisko. Domy z trawnikami strzyżonymi jak pod linijkę to tutaj raczej reguła niż wyjątek.

Ani Platforma, ani tym bardziej Trzaskowski to nie naturalne wybory wsi. Tusk dobrze to wiedział i wiejski elektorat po prostu sobie odpuścił, zostawiając go w całości koalicjantowi, czyli ludowcom. Prezydent jednak, zgodnie z popularnym sloganem, musi być prezydentem wszystkich Polaków. Dla przyzwoitości pinezki na mapie objazdu zostały przypięte także w kilku wioskach.

– Cały Kadłub przyszedł, proszę pana, i jeszcze trochę, bo ja z mężem to akurat ze Strzelec Opolskich dzisiaj przyjechaliśmy – mówi pani Basia. Odstawiła się w okazałe perły. Czym przekonał ją do siebie Trzaskowski, że postanowiła przybyć z sąsiedniej miejscowości? – To tylko piętnaście minut samochodem, więc wielka podróż to nie była. A pan Trzaskowski przyciąga tym, że pociąga, tak żartobliwie powiem. – Śmieje się szczerym, głośnym śmiechem. – Trochę żartuję, ale dobrze pan wie pewnie, że przystojnemu łatwiej coś wynegocjować. A że on przystojny, to mu nie można odmówić.

Pani Basia jest z mężem, ale bez syna.

– Powiem panu w zaufaniu, że syn pisowiec. – Ścisza głos niemal do szeptu. Za każdym razem, kiedy ktoś na wiecach opozycyjnych kandydatów mówi, że jego bliscy głosują na pis, robi podobnie. Jakby opowiadał o wstydlivej chorobie, która go dotknęła. – Ale co zrobić? W więzieniu pracuje, dzieci ma, to dostał wszystkie te pincet plusy, dodatki. Życie mu się zmieniło na lepsze, to co on się będzie przejmował konstytucją – stwierdza strzelczanka.

Trzaskowski już dezynfekuje dłonie przy wejściu. Akordeoniści z lokalnego zespołu zakładają sprzęt. Bębniarz daje sygnał.

Hej tam po lasem coś błyszczący z dala,
Banda Cyganów ogień rozpala.
Goń stare baby, goń stare baby,
Goń stare baby do lasa!
Goń młode baby, goń młode baby,
Goń młode baby, goń!

– Ziemia strzelecka pięknnością słynie, a jej perłą wieś nasza, przyjeźdź, zobacz, odpocznij. Kadłub zaprasza – wita wszystkich ze sceny pani sołtys.

Sielankowej atmosfery nie pozwoli zakłócić poseł Nitras, który właśnie blokuje ciałem lokalsa, by ten nie zadał pytania.

– Proszę przestać, ja pana znam, pan jest działaczem pis-u, proszę odejść – mówi Nitras, marszcząc brwi.

– Co z tego? Jestem radnym, ale jesteście u mnie, to chyba mogę zadać pytanie? – Facet się nie daje. Nie jest wariatem ani gościem, który chce się przedrzeć, żeby kogoś opluć czy mu nabluzgać. Interesuje go stanowisko Trzaskowskiego w sprawie dyrektywy dotyczącej płac pracowników delegowanych.

– Czy będzie chciał, żeby polski przedsiębiorca musiał płacić pracownikowi, co jedzie przez Francję, francuską płacę minimalną? Co, złe pytanie? – Patrzy na mnie rozsierdzony.

Trzaskowski wsiada do wozu. Pytania nie usłyszał.

– Goguś trochę, nie? – mówi jeden strażak do drugiego.

– No trochę tak. Wpadł na chwilę, powiedział swoje i tyle go widzieli. Myślałem, że coś pogada z ludźmi – odpowiada jego kolega.

Pytań od mieszkańców nie ma w Kadłubie i nie będzie ich nigdzie, ani dzisiaj, ani jutro, ani przez najbliższych kilka dni. Nie bez powodu.

Sztabowcy Trzaskowskiego dobrze wiedzą, że na pewno ktoś zapytałby o równość małżeńską czy adopcję dzieci przez pary homoseksualne.

Kandydat KO robi wszystko, żeby w tych sprawach się nie wypowiadać.

Od konferencji na tle dmuchanego zamku Duda mówi na swoich wiecach o tradycyjnej rodzinie, edukatorach seksualnych i „obcych ideologiach”. Posłów pis-u nie ogranicza prezydencki majestat, więc mówią więcej. Jacek Żalek kilkanaście godzin wcześniej wylatuje ze studia *Faktów po Faktach* za tekst: „LGBT to nie ludzie, to ideologia”. Za kilka dni poseł Przemysław Czarnek powie w TVP o homoseksualistach: „Skończmy słuchać tych idiotyzmów o jakichś prawach człowieka czy jakiejś równości. Ci ludzie nie są równi ludziom normalnym”. W *Wiadomościach* i serwisach TVP Info na okrągło leci fragment wywiadu, którego Trzaskowski udzielił dwa lata wcześniej. „Czy pan sobie wyobraża siebie jako człowieka, który udziela ślubu parom tej samej płci, na przykład?” – pyta Olejnik. „No, trzeba byłoby zmienić prawo w Polsce [...]. Bardzo bym chciał być prezydentem Warszawy, który takiego ślubu mógłby udzielić” – odpowiada ówczesny poseł i kandydat na prezydenta stolicy.

Koalicja Obywatelska zbiera wyborców, którzy zagłosują na jej kandydata 23 czerwca, ale wie, że wybory rozstrzygną się w drugiej turze. Dlatego musi łowić szeroko, od lewicy do prawicy. Decyzja w sprawie, jak Trzaskowski zareaguje na nagonkę na osoby LGBT, zapada szybko: nie zareaguje. A strach przed tym, że będzie musiał opowiedzieć się w kwestii praw mniejszości seksualnych, zdeterminuje przebieg kolejnych dni kampanii.

Kilka godzin po ekspresowym wystąpieniu w Kadłubie Rafał Trzaskowski stoi przy mikrofonie na opolskim placu Wolności obok „baby na byku”, czyli wysokiego na kilkanaście metrów pomnika Bojownikom o Polskość Śląska Opolskiego. Mówi o swoim ojcu, który dyrygował orkiestrą Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu.

Bohaterem akcji, która rozgrywa się w tłumie, jest ponownie poseł Nitras.

– Ale idź stąd, człowieku! – mówi z niesmakiem. – Idźcie witać swojego prezydenta! Tam macie swój wiec, nie przeszkadzaj teraz.

Zagradza drogę do sceny posłom Zjednoczonej Prawicy, Januszowi Kowalskiemu i Kamilowi Bortniczukowi. A jednocześnie uspokaja bojowych emerytów w koszulkach KOD-u, którzy wygrażają tamtym pięściami.

– My chcieliśmy tylko zapytać waszego kandydata, czy podpisze się pod Kartą Rodziny. Prezydent Duda się podpisał – mówi uśmiechnięty Bortniczuk, ale Nitras jest przeszkodą nie do pokonania.

Emeryt, który groził pięścią posłom popierającym kandydata PiS-u, siedzi na ławce i głęboko oddycha. Próbuje się uspokoić.

– Wie pan, co o Gowinie mówią? Że to jest gówno, co się przyczepiło do tego pisowskiego okrętu i krzyczy: „Płyniemy!” – mówi. Szczeka chodzi mu ze zdenerwowania. – Ale jak ja widzę tych młodych posłów, co robią dokładnie to samo, to aż się we mnie krew gotuje. Bo taki Bortniczuk od Gowina to nawet gówno nie jest, tylko sraczka! – wykrzykuje na koniec.

Trzaskowskiego nie ma już na placu. „Baba na byku” stoi tam, gdzie stała, a z głośników leci kawałek Tiltu.

Mieszkańcy miasta i przyjeżdżający,
Tacy zmęczeni i tacy cierpiący,
Przeklinający swój codzienny los,
Słyszałem także taki głos:

Jeszcze będzie przepięknie,
Jeszcze będzie normalnie,
Jeszcze będzie przepięknie.

Z jednej strony pis i sztabowcy Dudy próbują konferencjami zmusić Trzaskowskiego do zajęcia stanowiska, z drugiej – aktywiści LGBT domagają się, żeby kandydat partii liberalnej, który maszerował w paradzie równości, powiedział coś w obronie osób niehetero. Z trzeciej – nie brakuje na wiecach opozycji tych, którzy nie zagłosują na Dudę, ale nie chcą równych praw dla gejów ani lesbijek.

– Powiem panu, że na niego zagłosuję. Ale niech go ręka boska broni dawać gejom dzieci do adopcji! Nie przeżyłabym, jakbym wiedziała, że rękę przyłożyłam do wygranej kogoś takiego – słyszę od mieszkanki Legnicy witającej Trzaskowskiego na miejskim rynku.

Na każdy wiec, briefing, konferencję przychodzi ktoś w tęczowej koszulce, z tęczową torbą czy flagą. Na rynku we Wrocławiu jest takich osób kilka, a jedna flaga całkiem przyzwoitych rozmiarów. Trzaskowski za godzinę wygłosi tu przemówienie wieńczące jego objazd po Opolszczyźnie i Dolnym Śląsku. Operatorzy wpinają kable, a goście w turkusowych koszulkach z nazwiskiem kandydata ustawiają stosownie ludzi z tabliczkami z tym samym nazwiskiem.

Po kilku dniach gimnastycznych uników wokół tematu LGBT sztabowcom wyraźnie puszczają nerwy. Jeden z nich staje na palcach, żeby lepiej się rozejrzeć. Podenerwowany przykłada klips z mikrofonem do ust.

– Wiedziałem, że przyjdą. No i są. Stoją tam, obok ludzi z unijnymi flagami. Nie obchodzi mnie jak, ale masz ich, kurwa, stamtąd zabrać! Nie chcę ich widzieć w kamerze! – syczy.

Widzę z daleka, jak tęczowa flaga przesuwa się z centralnego miejsca w tłumie na obrzeża, gdzie nie sięgają obiektywy.

– Jak się czujecie z tym, że was tu przepchnęli? – pytam wprost dziewczynę wspartą na długim drzewcu.

– Cóż, no to jest polityka. My i tak wiemy, kto jest kto w tych wyborach.

* * *

Drewniane chaty, gęste lasy i plakaty Dudy na płotach. Droga z Białegostoku do Suwałk. Zanim jednak srebrny bus z podobizną

Trzaskowskiego zatrzyma się w Augustowie, gdzie rozegra się walka o plastikową tutkę, w planie dnia jest konferencja w suwalskim parku.

Kwadrans przed ósmą nic nie wskazuje na to, że na trawniku pod rozłożystymi koronami drzew zaraz dojdzie do pierwszej – i jak się okaże jedynej – próby zamachu w trakcie całej kampanii.

Ekipa Trzaskowskiego ma dopięte wszystko grubo przed czasem. Kartony z nazwiskiem kandydata ustawione. Chłopak trzyma blendę, żeby twarz bohatera konferencji dobrze wyglądała w kamerze. Turkusowe koszulki rozdane. Pozostaje tylko przypilnować ludzi, żeby nie włożyli ich tył na przód.

– Pierwsze poważne potknięcie wczoraj zaliczyliście chyba? – zagaduję wolontariusza.

– Które masz na myśli? Bo z wczoraj to dwa mamy na koncie – odpowiada.

Dzień wcześniej TVP grała od rana do wieczora ujęcia z konferencji pod remizą, na której Trzaskowski zapomniał, że kiedy głosował przeciwko obniżeniu wieku emerytalnego, był posłem. Musiał wracać do mikrofonu i prostować to, co mówił wcześniej.

– A, to! To luz. Myślałem, że chodzi ci o Sławka, co panu wuwuzelę w Bydgoszczy połamał. Zobacz sobie na Twitterze.

Sprawdzam. Brzuchaty łysy chłop dmie w trąby. Dziewczyna ze sztabu Trzaskowskiego próbuje go przekonać, żeby przestał. W kadrze pojawia się facet w białej koszuli z podwiniętymi rękawami, zmierza dziarskim krokiem do trębacza. Jednym szarpnięciem pozbawia go plastikowego instrumentu. Na koniec słychać rozpaczliwie rzucone: „Panie, co pan?”. Mężczyzna w koszuli to Sławomir Nitras.

– Mieliśmy później rozmowę z nim nawet. My mu tłumaczymy, że nie potrzebujemy wokół nas takich emocji. To jest inna kampania, pozytywna. Obiecał, że się uspokoi. Ale Sławek to Sławek – kwituje wolontariusz.

Trzaskowski mówi do mikrofonu to samo, co na każdym poprzednim wiecu. Dziękuje za „niesamowitą energię” i recytuje, czego „mamy dość”. Po konferencji czas na zdjęcia, ale nie wchodzi w tłum jak Duda. Ludzie z jego sztabu mówią, że to z obawy o bezpieczeństwo: wokół witającego się z mieszkańcami prezydenta jest zawsze kilkudziesięciu funkcjonariuszy Służby Ochrony Państwa. Trzaskowski ma dwóch zawodowych ochroniarzy i kilku wyrośniętych gości odpowiedzialnych za rozstawianie konferencji. Po zabójstwie Pawła Adamowicza lepiej nie ryzykować.

Kolejka ustawia się po prawej stronie – szybka fota i fani są grzecznie przepychani na lewo. Nie ma czasu, żeby życzyć powodzenia ani otworzyć się ze swoimi żalami. Wjazd, zdjęcie, wyjazd. Jeden za drugim, w każdym mieście, gminie, powiecie. Każde takie zdjęcie wrzucone na portale społecznościowe to darmowa reklama, więc kandydat stoi i z przyklejonym uśmiechem znosi nużący rytuał.

Trzask!

Butelka po domestosie uderza w kamerę tuż obok niego. Daniel, nabity sztabowiec, zostawia szefa i wbiega w tłum. Na trawniku już leży zglebowany przez policję chłopak w kucyku. Z drugim szarpie się Nitras.

– Powiedziałem, że Trzaskowski jest za edukacją seksualną, i mnie zaatakowali! – żali się koleżka zglebowanego.

Daniel nie jest zainteresowany dyskusją. Łapie chłopaka wpół, podrywa do góry, obraca w powietrzu i powala pięknym suplesem.

– Zostawcie mnie! Ja tylko chciałem zapytać o edukację seksualną! – wykrzykuje ten, gdy tylko łapie oddech.

Zatrzymuje go policja.

Na wieczorny finał kolejnego tygodnia kampanii na białostocki rynek przyjdzie gość ze słoikiem pełnym czegoś fioletowego. Nie rzuci, bo obstawią go ochroniarze. Na słoiku napisze wcześniej: „Sok z buraka”. Albo poszedł w dosłowność, albo zainspirował się nazwą jednego z najpopularniejszych antypisowskich fanpejdżów.

* * *

Między Suwałkami a Białymstokiem przystanek w Sobolewie. Zgodnie z planem ma być powitanie, zdjęcia z sękaczami i gospodyniami z miejscowego koła, a później szybka konferencja przed chałupą.

Aż do zdjęć z sękaczami wszystko idzie zgodnie z planem.

– Już dziękujemy panom fotoreporterom – oświadcza nagle gość od Trzaskowskiego i próbuje nas wyprowadzić z sali. – Bardzo proszę do wyjścia i zaraz pan prezydent wyjdzie na briefing.

Akurat kucam przy zastawionym wypiekami stole, więc nie widzę, co dzieje się przy drzwiach. Najpierw słyszę, jak migawki aparatów zaczynają strzelać bardzo szybko, później widzę wytrzeszczone oczy Trzaskowskiego. Szok, szybko zamaskowany uśmiechem.

– Dzień dobry, panie prezydencie. – Kandydat wstaje, by powitać niezapowiedzianego gościa.

Dłoń ściska mu były prezydent Rzeczypospolitej i zwierzchnik Sił Zbrojnych Bronisław Komorowski. Po minach ekipy ze srebrnego busa widać, że obecność tego ducha przeszłości jest niespodzianką dla wszystkich.

Komorowski spędza prezydencką emeryturę niedaleko Sobolewa, więc pomyślał, że wpadnie z wizytą. Dumnie prezentuje zgromadzonym zagipsowany środkowy palec i w swoim stylu żartuje, że jest teraz jak posłanka Lichocka. Na krótką wypowiedź nie trzeba go namawiać.

– Panie prezydencie, miał pan okazję rywalizować w wyborach z tym samym przeciwnikiem, z którym mierzy się właśnie Rafał Trzaskowski. Jakież kampanijne rady dla kandydata? – pytam.

– Z tego, co widzę, jest dobrze. I tak trzeba trzymać. Jest dobrze i będzie jeszcze lepiej – pada odpowiedź.

Komorowski zaciska zdrową dłoń, kciuk stawia na sztorc i dumnie prezentuje okejkę do kamer.

Nie wiem, czy pan prezydent śledzi media społecznościowe. Ale tego wieczoru lepiej byłoby dla niego, gdyby nie śledził. Na oficjalnym profilu kandydata na żadnym ze zdjęć z Sobolewa go nie ma. Najwidoczniej sztab uznał, że skojarzenia z politykiem, który przed pięciu laty roztrwonił przewagę kilkudziesięciu procent, żeby ostatecznie przegrać wybory, w tym wyścigu nie pomogą.

* * *

W każdy piątek i sobotę na tutejszym dziedzińcu rozkłada się targ, na którym wybierać można spośród kilkuset „certyfikowanych, ekologicznych produktów prosto od lokalnych rolników i producentów żywności organicznej”. W weekendy zajęcia z jogi i kino letnie. Z parkingu wyruszyć można też na jazdę testową w pełni elektrycznym szpanerskim samochodem i wrócić na pazurki w Beauty Hall, „zupełnie nowym, niespotykanym dotąd w Polsce koncepcie, który na powierzchni 1500 mkw. skupia kompleksową ofertę *beauty* i *wellness*”.

Za godzinę w tym miejscu, czyli w warszawskiej Elektrowni Powiśle, ma się rozpocząć wieczór wyborczy Rafała Trzaskowskiego po pierwszej turze.

Na dziedzińcu przed ceglany budynkiem, który kiedyś zaopatrywał w energię Pałac Kultury i Nauki, jeszcze mało energetycznie. Chwilę przed końcem ciszy wyborczej przyjdzie trochę gości, ale placu nie wypełnią

nawet w połowie. Na razie większe obłożenie tylko w knajpach bliżej sceny. W restauracji Kuby Wojewódzkiego brakuje miejsc – hot dog za niecałe cztery dychy, burger za czterdzieści pięć zeta, lody z wędzonej śliwki za dwadzieścia jeden.

Wybija dwudziesta pierwsza, koniec ciszy wyborczej. Słupki poparcia przestają skakać na telebimie i się stabilizują, a obok nich pojawiają się sylwetki polityków. Andrzej Duda 41,8 procent, Rafał Trzaskowski 30,4, Szymon Hołownia 13,3, Krzysztof Bosak 7,4, Robert Biedroń 2,9. Wreszcie Władysław Kosiniak-Kamysz – 2,6 procent.

– Dzię-ku-je-my! Dzię-ku-je-my! Dzię-ku-je-my! – krzyczą ludzie pod sceną.

Zero zaskoczenia. Wynik dokładnie taki, jaki przewidywały sondaże i jakiego spodziewał się sztab kandydata KO.

– Jak będzie między dziesięcioma a trzynastoma procentami różnicy, to jeszcze jesteśmy w stanie to wygrać – słyszałem w piątek.

Kampania startuje na nowo sekundy po słupkach. Trzaskowski dziękuje Polsce, samorządowcom. Ale najpierw Małgorzacie Kidawie-Błońskiej, która stoi teraz tuż obok niego.

Szymonowi Hołowni dziękuje za „nieprawdopodobny hart ducha”. Trochę komplementów pod adresem Kosiniaka-Kamysza i Biedronia. Wreszcie ciepłe słowa w kierunku Krzysztofa Bosaka.

Dla Dudy zaproszenie do debaty.

Ze sceny Trzaskowski ucieka szybko do hotelu, godzinę później jest znowu w trasie, tak samo jak urzędujący prezydent. Z dziennikarzami rozmawiają w Elektrowni Powiśle Tomczyk, Nitras, Nowacka. Wszyscy mówią to samo:

– Pięćdziesiąt osiem procent, panie redaktorze, tyle osób nie chce widzieć w Pałacu Prezydenckim Andrzeja Dudy. Pięćdziesiąt osiem procent.

Pięćdziesiąt osiem procent. Czyli prawie dwa razy tyle, ile dostał Trzaskowski.

Żeby tylko się nie chcieli mścić!

Głaca mu się świeci, jakby ją czymś nasmarował. Dbą nie tylko o skórę głowy, ale i o skórzaną kamizelkę narzuconą na plecy, perfekcyjnie natłuszczoną i wypolerowaną. Odstawił się tak, że na kulistą czaszkę powychodziły cienkie żyły.

– Piece trzeba odpalić. I puścić kominem tę zarazę LGBT! Inaczej się nigdy zdrajców nie pozbędziemy – mówi.

Nie chce się przedstawić. Mówi tylko, że jest stąd i jest u siebie. W Końskich.

– Jakie piece? O czym pan mówi? – pytam.

– Dobrze pan wiesz jakie. Ale ja panu powiem, bo się nie boję.

Auschwitz!

Na wielkim telebimie ustawionym na skwerze Kościuszki pusty pulpit z tabliczką „Rafał Trzaskowski”. Po chwili ciszę wypełniają gwizdy i buczenie. Oglądamy program TVP *Debata Prezydencka 2020*. Kilkaset metrów stąd, w studiu zbudowanym w hali widowiskowej, prezydent Andrzej Duda odpowiada na pytania Michała Adamczyka, prezentera *Wiadomości*.

– Słyszała pani, co ten facet mówił o zdrajcach, LGBT, piecach w Auschwitz? To nie przesada? – zagaduję panią w garsonce.

– Wie pan, ja też jestem za Dudą, jak ten pan, więc nie chcę tak krytykować. Ale trudno mi się tego rzeczywiście słucha. Mój świętej pamięci dziadziś został zamordowany w Oświęcimiu, więc rozumie pan – odpowiada najspokojniej w świecie.

* * *

Jubiler Skorpion na Piłsudskiego reklamuje się wielkim złotym napisem, tak samo złotym pajęczakiem i zdjęciami modelek w sukniach ślubnych. W poniedziałkowy wieczór zamknięty, podobnie jak większość pobliskich sklepów z odzieżą używaną. Działają tylko kebabownie i sklep z džinsami.

– Kurtki džinsowej pan szuka? Albo może spodnie jakieś? Albo może jedno i drugie? Skompletuję dla pana taki zestaw za trzy stówki. Najwyższa

jakość, ludzie z Reichu zjeżdżają specjalnie, żeby u mnie kupić – zachwala asortyment sprzedawca.

– Nie będę kręcił. Nie przyszedłem na zakupy. Chciałem zapytać, jak się pan czuje jako gospodarz debaty prezydenckiej. Końskie to dzisiaj chyba najważniejsza miejscowość w Polsce?

– Bardzo dobrze, wreszcie ktoś się nami zainteresował. Najechało się tutaj ludzi. Normalnie tak powinno być, to na turystyce można byłoby zarobić – opowiada.

Wychodzimy przed sklep.

Dżinsy przywozi z Rawy Mazowieckiej, bezpośrednio od producenta. Mówi, że odkładają mu zawsze lepszy towar, ale nie wiem, czy to prawda, czy dalej próbuje opylić mi dżinsowy komplecik. Kiedyś prowadził warzywniak, ale od kiedy weszła Biedronka, to biznes bez przyszłości, więc przebranzował się na odzież męską. Żyje ze stałych klientów. Kupują te same modele co rok, dwa. Nawet nie muszą mierzyć.

Skwer Kościuszki wygląda jak festiwalowe miasteczko TVP. W parku ustawione jedno studio i gigantyczny telebim, samochodów z logo telewizji nie sposób zliczyć. Jeszcze więcej sprzętu stoi przy hali widowiskowej. Tam za dwie godziny prezydent będzie odpowiadać na pytania lokalsów.

TVP zaproponowała Końskie w odpowiedzi na propozycję debaty ze strony TVN-u, TVN24, Onetu i Wirtualnej Polski. Duda odrzucił zaproszenie od prywatnych stacji, sztab Trzaskowskiego mówił publicznie, że debata w telewizji publicznej to ustawka, choć podobno do samego końca przyjazd do Końskich rozważał.

Niedużą miejscowość w świętokrzyskim rozślawił przed kilku laty na cały kraj Grzegorz Schetyna. W wywiadzie dla tygodnika „Do Rzeczy” powiedział, że „wybory wygrywa się w Końskich, a nie w Wilanowie”. Innymi słowy: na prowincji, a nie na elitarnych przedmieściach.

Handlarz dżinsem śledzi kampanię wyborczą bardzo uważnie. Codziennie po pracy odpala telewizor i jedzie po kolei: *Wydarzenia* na Polsacie, *Fakty* TVN-u i *Wiadomości* w TVP.

– Każdy na swoją modłę pokazuje, więc trzeba z każdej strony to oglądać. Ale zdanie swoje mam i go nie zmienię. Na Dudę będę głosował. I każdy, kto wie, co się dzieje, powinien tak samo zrobić – mówi pewnie.

Jego kandydat mówi na wiecach przed drugą turą mniej więcej to samo, co w pierwszej. Głównie, że obroni programy socjalne i polską rodzinę przed obcymi ideologiami. Z samego rana, przed przyjazdem do Końskich,

podpisał projekt zmiany Konstytucji RP, który ma uniemożliwić adopcję dzieci parom jedнопłciowym.

– Przecież ani geje, ani lesbijki nie mogą w Polsce adoptować dzieci, więc po co on to podpisuje? – pytam sklepikarza.

– Żeby nie mogli na pewno, nawet jak Trzaskowski, nie daj Bóg, wygra. Niech se te pedały żyją i tam wyprawiają pod kołdrą, co im się podoba, ale z dala od dzieci! I żeby nie obnosili się i nie promowali!

– Słyszę o tym promowaniu homoseksualizmu cały czas – prowokuję. – A niech mi pan powie, co to właściwie znaczy. Jakby tak dwóch gejów tu, przed nami, się pocałowało teraz, toby pan żonę zostawił i pojechał na paradę równości do Warszawy z Trzaskowskim tańczyć?

Udaje mi się go nawet rozbawić.

– No wiadomo, że nie. Ale jakby taki młody człowiek zobaczył, nieukształtowany jeszcze, to kto wie, może by chciał spróbować – odpowiada.

Widzę, że lubi pytania. A ja lubię pytać.

– A o tym ułaskawieniu pedofila przez pana prezydenta to co pan myśli?

– Oj, już tam, pedofila od razu! – oburza się troszkę.

Trzy dni wcześniej „Fakt” wrzucił na okładkę wielkie zdjęcie Andrzeja Dudy i nagłówek: *Trzymał córkę, bił po twarzy i wkładał jej rękę w krocze*. W środku dziennikarze tabloidu opisali sprawę ułaskawienia mężczyzny, który wielokrotnie gwałcił córkę. Wyrok za gwałt odsiedział, ale sąd zakazał mu zbliżania się do dziewczyny i jej matki. Na prośbę kobiet prezydent Duda skorzystał z prawa łaski i zniósł ten zakaz.

– Nie ułaskawił pedofila, tylko ojca, bo to kobiety chciały już – słyszę. – To, co oni tam wyprawiali, to ich rodzinna sprawa, a nie gazety, jednej czy drugiej. Co to jest, żeby niemieckie gazety nam się tu wtrącały!

Słowa handlarza dżinsem, ale nie on je wymyślił. Powtarza to, co Duda wykrzykuje na wiecach.

– Dzisiaj ten oszczerczy atak to po prostu podłość, to jest najgorszego gatunku brudna kampania! Czy koncern Axel Springer, z niemieckim rodowodem, który jest właścicielem gazety „Fakt”, chce wpłynąć na wybory prezydenckie w Polsce? Niemcy chcą wybierać w Polsce prezydenta? To jest podłość, ja się na to nie zgadzam! – grzmiał w Bolesławcu na Dolnym Śląsku.

Im bardziej jednak prezydent i jego sztabowcy walą w „Fakt” i „zagraniczne media”, tym więcej jego przeciwnicy mówią

o „ułaskawieniu pedofila”. Kiedy Duda przyjedzie do Wrocławia tydzień przed ostatecznym głosowaniem, powita go kilka tysięcy osób zamierzających głosować na jego konkurenta. Wśród nich pani z transparentem, nad którym pracowała przez całą poprzednią noc. Tekst napisała szybko: „A mnie też pan ułaskawi?”. Dużo więcej czasu zajął jej realistyczny portret Mariusza Trynkiewicza narysowany kredkami ołówkowymi obok pytania.

– Myśli pan, że Końskie będą coś mieć z tej debaty, co się tu zaraz odbędzie? – pytam dzinsiarza na koniec.

– Wie pan, ja to bym chciał, żeby nam wyremontowali ten park. Żeby można było sobie po ludzku przyjść, posiedzieć. Ale tak szczerze, to nie sędzę. Tu się wiele nie zmienia. Tak myślę tylko, że jak wygra jednak Trzaskowski, żeby nie chciał się jakoś na nas mścić, że tu Dudę z takimi honorami witaliśmy – mówi, zamykając sklep.

O to samo pytam po wszystkich licealistów w parku. Przynieśli ze sobą kartki z wydrukowanymi ośmioma gwiazdkami: pięć na górze, trzy na dole. Układ jak w „jebać pis”, ale jeszcze nieliczni to wiedzą, więc chłopaki chodzą sobie spokojnie przed kamerami TVP z kartkami w dłoniach.

– Czy coś zostanie z tej debaty? Porysowany parkiet w hali widowiskowej i memy. Ostatnio jak przyjechał Duda i podpisywał ustawę o kolei na pustym peronie, to cała Polska się z nas śmiała – mówi jeden.

Pokazuje mi zdjęcie, a ja przypominam sobie, że rzeczywiście swego czasu zrobiło furorę w internecie: samotny prezydent przy szkolnej ławce na starym zaniedbanym peronie podpisuje ustawę Kolej Plus. Ławka i krzesło do szkoły już nie wracają; zaraz po uroczystości zostają przewiezione do budynku starostwa powiatowego. I wystawione na korytarzu, na tle wielkiej foty z wydarzenia, za złotą barierką. Jak eksponat muzealny.

– A pociągów jak nie było, tak nie ma. Żeby dojechać do większego miasta, do Opoczna trzeba się najpierw dostać – dorzuca licealista.

Za rok pisze maturę. Chce zdać, wyjechać na studia i już nie wracać.

Dudabus rusza z Końskich na Warszawę.

– Cy-kor! Cy-kor! Cy-kor! – krzyczą zwolennicy Trzaskowskiego.

– Trzaskowski to cykor! Cy-kor! Cy-kor! – odpowiadają przeciwnicy.

* * *

– Nie żałujecie, że wasz kandydat nie pojechał do Końskich? – pytam Cezarego Tomczyka na rynku w Ciechanowie.

– Oj nie, na pewno nie! – odpowiada szef sztabu.

– A to nie jest tak, że pretendent do tytułu to powinien się nawet za stodołę napierdalać, jak ma możliwość? – drążę. – Wybacz pan poseł dosadność...

– Gdyby tylko trzeba było się bić za stodołę, to jesteśmy gotowi, ale nie na ustawkę w rządowej telewizji. Zaraz by się okazało, że w Końskich mieszka jakaś pani, którą Trzaskowski wyrzucił z kamienicy. Albo jechała akurat autobusem w Warszawie i uległa wypadkowi. To nie jest walka jednego kandydata z drugim, tylko kandydata opozycji z całą machiną państwa.

Przed chwilą oglądałem przejście Trzaskowskiego z budynku urzędu miejskiego na rynek. Stałem na balkonie lumpeksu z lokalną nauczycielką.

– Rzadko się komu do tego przyznaję, ale skoro pan pisze książkę, to powinien wiedzieć, że tacy ludzie też istnieją. W 2015 głosowałam na Dudę, bo miałam dosyć tego gadania Platformy, że tego się nie da, tamtego też nie. A później nas, nauczycieli, pis zeszmacił po prostu. Nigdy więcej! Nigdy więcej nawet mi przez myśl nie przejdzie, żeby na nich głosować! – powiedziała pani Beata.

Z daleka nie widziałem dokładnie, ale wokół Trzaskowskiego była jakaś przepychanka. Dopiero wieczorem w *Wiadomościach* zobaczyłem, że kandydatowi próbował zadać pytanie dziennikarz TVP. Na drodze stanął mu, oczywiście, Sławomir Nitras.

O dziewiętnastej trzydzieści na pierwszym kanale telewizji publicznej nie ma innych informacji niż te z kampanii. „Trzaskowski prowadzi kampanię kłamstw?”, „Warszawa. Narkomani prowadzą autobusy”, „Zwolennicy Trzaskowskiego niszczą Polaków” – to zaledwie kilka tytułów na pasku. Co wieczór te same archiwalne ujęcia: Trzaskowski z Tuskiem, Trzaskowski na paradzie równości, Trzaskowski klei szybę taśmą.

Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie napisze w raporcie podsumowującym kampanię prezydencką: „W okresie przedwyborczym publiczny nadawca stał się kampanijnym narzędziem urzędującego prezydenta, a część materiałów miała jasny ksenofobiczny i antysemicki wydźwięk”.

W Raciążu na Mazowszu jestem kwadrans przed Trzaskowskim. Mieszka tu pięć tysięcy ludzi. Jeśli nie pracują w żadnym z punktów usługowych na rynku, znaczy to tyle, że dojeżdżają do roboty w Warszawie.

Dowiaduję się tego pod kwiaciarnią, gdzie na krzeselkach wędkarskich wysiaduje czterech facetów. Lokalna starszyczna.

– Przyjedzie, nagada się, a ludzie i tak na Dudę zagłosują – zaczyna kwiaciarz. Bawi się srebrnym zegarkiem na bransolecie.

– Sama prawda – dodaje młodszy gość w koszulce z wielką pumą na piersi. Wyszedł przed chwilą ze sklepu odzieżowego Moda na Sukces. – Tylko, żebyś wiedział, to nie jest tak, że my te debilizmy z *Wiadomości* łykamy jak młode pelikany – zwraca się do mnie. – Nie mieszkam w Warszawie, ale mam znajomych, i dobrze wiem, że wcale tam nie chodzą po kostki w gównie przez awarię w Czajce. A teraz chcą mu przyklepać jeszcze tych kierowców narkomanów. Jak oni to sobie wyobrażają, że prezydent będzie latał i im kubeczki podstawiał, żeby sikali?

Pod tę kwiaciarnię trafiłem po raz pierwszy dwa tygodnie wcześniej. Tak samo jak dziś wjechałem za ekipą Trzaskowskiego. Nie zdążyłem jednak dobrze zaparkować, gdy dostałem wiadomość od koleżanki dziennikarki: „Wracaj, autobus spadł z wiaduktu. Jedna osoba nie żyje. Trzaskowski na pewno wróci i odwoła wydarzenia”. Następnego dnia prokuratura potwierdziła informację, że kierowca znajdował się pod wpływem narkotyków. Tydzień później kolejny kierowca tej samej firmy stracił panowanie nad kierownicą; w jego krwi również znaleziono amfetaminę.

W *Wiadomościach* do samych wyborów leciały ujęcia zwisającego z wiaduktu przepołowionego autobusu.

– Wczoraj widziałem na jedynce jeszcze, że ten drugi kierowca narkoman to nie dość, że narkoman, to jeszcze gej. Olaboga! – ironizuje mój rozmówca. – Tutaj, w Raciążu, naprawdę nikogo nie interesuje, kto kogo wali i od której strony, że tak powiem.

– Byleby dzieci nie adoptowali – włącza się kwiaciarz.

– To jak tak wszyscy wiedzą, że w TVP głupoty, i do gejów nic nie macie, to dlaczego i tak na Dudę? – pytam.

Starszy aż wstaje z krzeselka. Zapina srebrną bransoletę na nadgarstku.

– Ja całe życie zarabiam najniższą krajową – mówi. – Zawsze na etat, umowa o pracę, ale najniższa krajowa. Płaci mi szef, ale podwyżkę dostaję tak jakby od państwa, bo tylko wtedy, jak podwyższają płacę minimalną.

Za pis-u poszła w górę i zapowiadają, że ma dojść do czterech tysięcy. Już wiesz dlaczego?

* * *

Kampania Trzaskowskiego finiszuje na Śląsku, w Rybniku, rodzinnym mieście żony kandydata i jego teściów. Zespół próbuje na scenie, a piątek leje się w ogródkach do kufla. Jeszcze przez kilka godzin nikt tutaj nie będzie przejmował się polityką.

Przez ostatnie dwa tygodnie sztab próbował grać na kilku fortepianach, a Trzaskowski w jednym wystąpieniu żenić ze sobą lewicową wrażliwość i wolnorynkowe postulaty Konfederacji. Robert Biedroń, jako jedyny konkurent z pierwszej tury, poparł go jasno i wyraźnie, już w poniedziałek po przegranej. Z innymi nie poszło tak łatwo. Na wideokonferencji przed własnym wiecem w Pile Trzaskowski musiał grzecznie wysłuchać wymagań, które ekipa Szymona zebrała w „czteropunktowym minimum bezpartyjnej prezydentury”. Panowie porozmawiali, a na koniec Hołownia potwierdził, że na jego głos niedawny rywal może liczyć, ale „moi wyborcy zdecydują sami”.

Ludzie Trzaskowskiego byli tak zdeterminowani, żeby pozyskać te kilkanaście procent głosów, że gdy godzinę później na pilskim placu Konstytucji 3 Maja wypatrzyli w tłumie faceta z banerem Hołowni, od razu próbowali ustawić go wśród publiczności zaraz za ich kandydatem. Problem pojawił się, kiedy gość wyciągnął z kieszeni pomietę papier z napisem „Jebać PO” i zaczął krzyczeć: „Andrzej Duda!”.

– Mieliliśmy najlepszego kandydata, jakiego mogła ta partia wystawić. Bardzo dobrą kampanię. Pis się miotał całe dwa tygodnie. Teraz to już możemy tylko czekać – mówi mi w Rybniku jeden z architektów strategii Trzaskowskiego.

Na wynik wyborów czeka też pan Roman.

– Chociaż to nie do końca mój kandydat, ale na niego zagłosuję – stwierdza pod miejską fontanną przed ostatnim wiecem.

Spokojnie mógłby być bohaterem któregoś z opowiadań Kafki. Nie wychyla się. Inżynier z wykształcenia, pracuje w administracji spółki budowlano-remontowej. Prywatnie wdowiec i ojciec córki studentki. Dwa tygodnie wcześniej zagłosował na Biedronia; należy do tych pięćdziesięciu ośmiu procent, o których z takim podnieceniem nawijali dziennikarzom politycy w Elektrowni Powiśle. Pan Roman odda głos, ale nie zamierza

krzyczeć: „Ra-fał! Ra-fał!”, ani namawiać znajomych, ani wojować w internecie. Wrzuci kartę i poczeka, choć nie za długo, bo w poniedziałek musi wstać do pracy na szóstą.

Trzaskowski wchodzi na scenę z rodziną. Opowiada o teściowej, która „wychowała gorola” i przyjęła go do śląskiej rodziny. Kufle aż drżą od puszczonego z głośników *Snu o Wiktorii*. Pijany chłop pod flagą białoczerwoną z impetem taranuje barierki. Do tłumu przemawia z ekranu Zbigniew Hołdys, Tomek Lipiński z zespołem Tilt tym razem grają na żywo.

Strach nie pozwalał głośno o tym mówić,
Strach nie pozwalał kochać się i śmiać.
Strach nakazywał opuścić w dół oczy,
Strach nakazywał cały czas się bać.

Mieszkańcy miasta i przyjeżdżający,
Tacy zmęczeni i tacy cierpiący,
Przeklinający swój codzienny los.
Słyszałem także taki głos:

Jeszcze będzie przepięknie,
Jeszcze będzie normalnie,
Jeszcze będzie przepięknie, aaa...

I kończy się kampania. I cisza.

Wiadomo, kto głosuje za granicą

– A co, jeśli jutro rano wstaniemy i okaże się, że to jednak nie Duda wygrał wybory, tylko Trzaskowski? – pytam faceta podpartego białoczerwoną flagą.

– Wtedy to wezmę ten kij tutaj, jak stoję, i sam będę napierdalał to LGBT. Kamień na kamieniu nie zostanie! – mówi gość, rozbawiając kolegów, którzy wsuwają kiełbaski z musztardą i keczupem. – Coś słyszałem, że w exit pollach nie biorą pod uwagę głosów z zagranicy. Trochę mnie to martwi, bo wiadomo, kto głosuje za granicą – dodaje.

– Kto?

– No przecież, że pedały.

– Chyba nie tylko pedały. Moi rodzice głosowali. A skoro mnie zrobili, to chyba nie są pedały – odpowiadam.

– A mój brat, cioteczny, głosował i jest pedał – ripostuje.

Dawid i Daria siedzą kawałek dalej, zaraz obok grilla. We wszystkich poprzednich wyborach głosowali za granicą, w Anglii. Dwa tygodnie wcześniej po raz pierwszy w kraju. Są z Pułtusza, więc cieszą się, że mogli przed chwilą poznać wyniki. Kilkanaście metrów od prezydenta RP, choć na niego nie głosowali.

– Tylko w pierwszej turze, na Bosaka – tłumaczy mi Dawid. – Nalej mi coś do picia, sobie też możesz. – Wysła dziewczynę do stołów z żarciem. – Jesteśmy patriotami, dlatego wróciliśmy. Hajsowo nam było dobrze, ale dopiero jak się wyprowadziliśmy z Londynu, bo wcześniej to było takie życie z tygodnia na tydzień, z łapy do papy, jak ja to mówię. Trochę się obawiam, że przez tą koronapanikę roboty nie będzie, ale co tam, poradzimy sobie. W końcu jesteśmy Polakami.

Jeszcze przed dziesięcioma minutami zgromadzeni pod sceną na zamkowym dziedzińcu nerwowo obgryzali paznokcie. Kiedy na ekranie pojawiły się słupki: 50,4 procent przy nazwisku Dudy i 49,6 przy Trzaskowskim, podskoczyli ze szczęścia. Ale szybko do nich dotarło, że to tylko sondaż i że na razie mamy remis.

W poniedziałek Dudzie jeszcze urośnie. Wieczorem Państwowa Komisja Wyborcza ogłosi ostateczne wyniki: Andrzej Sebastian Duda – 51,03, Rafał

Kazimierz Trzaskowski – 48,97 procent.

Ale kilka minut po dwudziestej pierwszej nikt z zajądających pod zamkiem kielbaski nie wiedział, co przyniesie poranek. Zaraz po przemówieniach córki prezydenta, która zaapelowała, żeby nikt nie bał się wychodzić z domu, i jego małżonki, która wykorzystała swoje wejście, żeby wygłosić kilka złośliwości pod adresem dziennikarzy „Wyborczej”, wszyscy wspólnie odśpiewali pieśń dzięczczynną na melodię hitu Leonarda Cohena *Hallelujah*.

Nadzieją bądź na lepsze dni,
będziemy wdzięczni bardzo ci,
w pamięci naszej zawsze pozostaniesz.

Andrzej Duuuda,

Andrzej Duuuda,

Andrzej Duuu-uuu-uu-daaaa.

Łukasz i Monika wzruszeni do łez. Przyszli na wieczór wyborczy z dwójką dzieci.

– To kto wygra jutro? – pytam ich zaraz po ogłoszeniu wyników sondażowych.

– No, mam nadzieję, że my – odpowiada uśmiechnięty Łukasz, bujając wózkiem.

– Czyli pan prezydent Duda, tak jak sondaże pokazują?

– To też. Ale jak pan Duda wygra, to my też wygramy. Zakład wygramy. Trzy tysiące postawiłem w sts-ie. W tym roku z tego tysiąc będzie. To będziemy mieli takie nasze 1000+, dzieciaki się zabierze na wakacje. Pięć lat temu też wierzyliśmy, że wygra, ale ryzyko było większe. Dwa i pół tysiąca postawiliśmy, tylko wtedy z tego było dwa razy więcej – mówi. Kupon czeka w domu, w bezpiecznym miejscu. Jutro wieczorem będzie mógł go rozliczyć.

– On zawsze o pieniądzach, a przecież wygra Polska, tak naprawdę. Co by to było, gdyby ten Trzaskowski jednak wygrał, to ja nie wiem. Dzieci chyba trzeba byłoby ze szkoły wtedy zabrać – dodaje jego żona. – Pan spojrzysz tylko na tę naszą pierwszą rodzinę: dumny ojciec, wierna żona, piękna córka. Piękna, polska, patriotyczna rodzina. Tacy jak my.

Podziękowania

Na każdym etapie pracy starałem się dbać o rzetelność opowieści. Notatki spisywałem czasem tuż po powrocie z wydarzeń, porównywałem ze zdjęciami i z relacjami dostępnymi w sieci. Zdumiewało mnie za każdym razem, że jakiś wymyślny strój discopolaka zapamiętałem zupełnie inaczej, niż wyglądał w rzeczywistości, albo że zmiksowałem w pamięci słowa kilku piosenek w jedną. Zrobiłem, co w mojej mocy, żeby tekst, który znalazł się na wcześniejszych stronach, był jak najbliższy temu, co rzeczywiście działo się w trakcie tego polskiego cyrku.

Mam jednak poczucie, że na sam koniec winien jestem jeszcze jedno ważne wyjaśnienie. Na okładce książki znajduje się jedno nazwisko, moje własne. Nie chciałbym jednak, żeby czytelnik żywił mylne przekonanie, że za taką reporterską produkcją stoi jeden gość. Czułbym się odpowiedzialny za tę skandaliczną wręcz dezinformację – dużo bardziej szkodliwą niż brak precyzji w opisie discopolackich kreacji. Przy tej książce pracował wspaniały zespół ludzi z wydawnictwa – wszystko, co dobre w tej książce, to ich zasługa. Wszystko, co złe, biorę na siebie. Gdyby nie ogromne wsparcie mojej rodziny, bliskich i przyjaciół, na które mogę liczyć na co dzień, nic by z tej pisaniny nie wyszło. Te kilka akapitów na końcu lektury to dobre miejsce, żeby im podziękować.

Pomysł na ten reportaż zrodził się w trakcie wymiany mejli z Łukaszem Najderem. Miałem wielkie szczęście, że spisane w konspekcie wariackie pomysły spotkały się z entuzjazmem wydawnictwa i redaktor naczelnej Moniki Sznajderman. Jeszcze większe szczęście miałem, kiedy zaakceptowano fakt, że w ferworze walki o ciekawą opowieść zboczyłem trochę z drogi wcześniejszych ustaleń. Kiedy już pierwsza wersja tekstu była gotowa – a w mojej naiwnej głowie debiutanta roilo się, że to już koniec ciężkiej orki – zabrał się do jego redakcji Jakub Bożek. Przetrwałem ten etap tylko dzięki cierpliwości, wyrozumiałości i ciągłej gotowości Kuby do dyskusji nad zmianami. A kiedy odpalałem się za bardzo i rozpacziałem nad wykreślonymi fragmentami, mówił po prostu: „Oddychaj”. Wyrazy wdzięczności należą się redaktorce Ewie Charitonow, która przeorała ten tekst i poprawiła wszystkie haniebne błędy pozostawione przeze mnie.

Dziękuję również za korektę Sabinie Szczerbuk i Ewie Saskiej, które naprawiły kolejne babole i wyszlifowały materiał, oraz Zofii Dimitrijević z działu promocji wydawnictwa, która zadbała, żeby ktokolwiek o tej książce usłyszał.

Źle bym się czuł, jeśli nie podziękowałbym politykom. Gdyby nie ich cyrkowe występy, nie miałbym o czym pisać. Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że nawet jeśli w pierwszym odruchu wkurwią ich moje opisy, po latach wrócą do nich z refleksją. Jeszcze bardziej wdzięczny jestem wyborcom, którzy otworzyli się przede mną na tych wszystkich piknikach, wiecach i partyjnych spędach.

Nigdy nie zliczyłem dokładnie, ale z szacunków, które próbowałem kiedyś zrobić, wyszło mi, że aby zebrać ten materiał, wyjeździłem coś pomiędzy dwudziestoma a trzydziestoma tysiącami kilometrów. Przez dużą część tych podróży na fotelu pasażera towarzyszył mi Dawid Żuchowicz, świetny fotograf, trudny typ, ale przede wszystkim gość, z którym na kolejnych wyjazdach udało mi się zaprzyjaźnić. Dziękuję mu za każdą długą rozmowę, kawkę w termosie i jedzenie na drogę. Za zdjęcie, które możecie podziwiać na okładce, dziękuję najbardziej. Czasem w samochodzie jeździli też ze mną Maciek Jaźwiecki i Maciek Piasecki, z którymi zawsze z przyjemnością mogłem się pospierać.

Dziękuję również Mateuszowi Roszakowi, z którym przyjaźnię się jeszcze od liceum. Robimy w tej samej branży do dzisiaj, więc kiedy siadała mi psycha od tej kampanijnej sieczki, wiedziałem, że mogę liczyć na jego zawodową i przyjacielską poradę.

Natychmiast po ostatniej kampanii mogłem przystąpić do intensywnego pisania dzięki Agacie i Janowi Stolum, którzy użyczyli mi swojego pięknego domu. Na kanapie, na której pracuję na co dzień, zajęłoby mi to dużo więcej czasu. Dziękuję.

Planowałem poświęcić temu materiałowi około roku – ostatecznie spędziłem nad nim prawie dwa lata. Przez cały ten czas nie zwalniałem tempa w swojej regularnej robocie w dwóch redakcjach: Krytyki Politycznej i „Gazety Stołecznej”. Bardzo dziękuję redaktorom i redaktorkom każdej z nich za wyrozumiałość i elastyczność, kiedy pisałem: „Nie mogę, bo książka”. Specjalne wyrazy wdzięczności kieruję w stronę Magdy Majewskiej, Juliana Kutyły, Michała Sutowskiego i Kingi Dunin, którzy przeczytali moje dzieło w wersji roboczej i podzielili się ze mną swoimi uwagami. Oprócz redakcyjnych kolegów i koleżanek nad

tekstem pochyłili się autorzy o wiele zdolniejsi ode mnie: Anna Cieplak i Malcolm XD. Bardzo dziękuję za Wasze cenne uwagi i słowa wsparcia na zachętę.

Czytelnikom artykułów publikowanych w obydwu przywołanych tytułach również dziękuję – za to, że listami i komentarzami przypominali mi, że dziennikarstwo ma sens.

Dziękuję rodzicom: Bożenie i Bogdanowi, braciom: Szymonowi i Zachariaszowi, oraz rodzicom mojej partnerki: Iwonie i Darkowi – za wsparcie, kiedy wydawało mi się, że nic z tego nie będzie. I za to, co przez brak lepszych słów nazywamy „mądrością życiową”.

Mam to szczęście, że Natalia, moja partnerka, oprócz tego, że jest najbardziej czułą, empatyczną i błyskotliwą osobą, jaką znam, jest również świetną dziennikarką i bezlitosną redaktorką. Dziękuję Ci za to, że kiedy wracałem po kilku dniach podróży, z cierpliwością wysłuchiwałaś moich opowieści. A kiedy nie miałem siły opowiadać, z tą samą cierpliwością czekałaś, aż zbiorę się w sobie i podzielę przeżyciami. To Ty byłaś pierwszą słuchaczką, a później czytelniczką tych historii. I oczywiście dziękuję, że nadal pozwalasz mi jeździć swoim samochodem nawet po tym, jak dowiedziałaś się, że staranowałem nim autostradowe bramki.

Przypisy

[1] B. Janiszewski, *Chiński Bayer Full*, newsweek.pl, bit.ly/3kvVw1e (dostęp: 23.10.2018).

[2] Przed wyborami parlamentarnymi Michał Syska wystąpił z Wiosny po tym, jak nie znalazł się na pierwszym miejscu wrocławskiej listy wyborczej. „W związku z brakiem demokratycznych struktur w Wiośnie kluczowe decyzje podejmowane są na randkach lidera tej partii i jego partnera, a aktywiści o kolejnych woltach dowiadują się z mediów” – krytykował Biedronia na Facebooku.

[3] jm / PAP, *Starosta sandomierski z zarzutem nieumyślnego spowodowania wypadku drogowego*, polsatnews.pl, bit.ly/2J0vPJc (dostęp: 22.11.2020).

[4] Kilka tygodni po strajku przedsiębiorców spotkam na trasie kampanii Andrzeja Dudy Renatę Beger, była posłankę Samoobrony. Kiedy zapytam o Kołodziejczaka i poproszę o porównanie go do jej partyjnego szefa, odpowie: „Panie redaktorze, świętej pamięci Andrzej był tylko jeden i nikt z nim nie może się równać”.

[5] Fundacja Kasisi, założona przez Szymona Hołownię w kwietniu 2013 roku, skupia się na koordynacji działań największego domu dziecka w Zambii. Prowadzą go siostry zakonne ze Zgromadzenia Sióstr Służebniczek Najświętszej Maryi Panny Niepokalanie Poczętej z polskiej Starej Wsi.